

Marc Levy

*A gdyby to była
prawda...*

Lato 1996

Właśnie zadzwonił mały budzik, stojący na nocnym stoliku z jasnego drewna. Była piąta trzydzieści rano i cały pokój wypełniało złociste światło, jakie pojawia się tylko o świcie w San Francisco.

Dom pogrążony był we śnie. Suczka Kali spała wyciągnięta na dużym dywanie, a Lauren - owinięta kołdrą - w przepastnym łóżu.

Mieszkanie Lauren urzekało przytulnością. Usytuowane na ostatnim piętrze wiktoriańskiej kamienicy przy Green Street, składało się z salonu z aneksem kuchennym w stylu amerykańskim, garderoby, dużej sypialni i przestronnej łazienki z oknem. Podłogę w pokojach stanowił jasny parkiet o szerokich klepkach; w łazience pomalowano ją na białe i za pomocą szablonu podzielono na czarne kwadraty. Na białych ścianach wisiały stare ryciny, barwione na sposób chiński, wyszukane w księgarniach przy Union Street. Sufit ozdobiony był drewnianym gzymsem, wyrzeźbionym przez utalentowanego stolarza z początku wieku. Lauren pokryła gzyms farbą w kolorze karmelu.

Beżowe dywaniki, wykończone jutową tasiemką, wyznaczały granice salonu, jadalni i kącia z kominkiem. Stojąca przed nim obszerna, pokryta bawełną kanapa zachęcała do wygodnego odpoczynku. Na kilku porzucanych w artystycznym nieładzie szafkach i stolikach stały piękne lampy z plisowanymi abażurami. Każdą z nich właścicielka mieszkania kupowała oddzielnie w ciągu trzech ostatnich lat.

Ta noc była zbyt krótka. Lauren, lekarz internista w Memorial Hospital w San Francisco, musiała przedłużyć swój zwykły dwudziestoczegodzinny dyżur, bo tuż przed jego zakończeniem pojawiły się ofiary groźnego pożaru. Pierwsze ambulanse przybyły pod Izbę Przyjęć na dziesięć minut przed końcem zmiany, więc Lauren, nie zwracając uwagi na zdesperowane spojrzenia swojej ekipy, bezzwłocznie zajęła się selekcjonowaniem rannych i wysyłaniem ich do odpowiednich sal zabiegowych. Z prawdziwą wirtuozerią osłuchiwała przez kilka minut każdego pacjenta, przydzielała mu etykietkę, której kolor oznaczał stopień zagrożenia, stawiała wstępną diagnozę, zarządzała przeprowadzenie niezbędnych badań i kierowała noszowych do właściwych gabinetów zabiegowych. Klasyfikacja szesnastu rannych, przybyłych do szpitala w ciągu piętnastu minut po północy, zakończyła się dokładnie o godzinie zero trzydzieści. Wezwani w trybie pilnym chirurdzy mogli kwadrans później rozpocząć pierwsze operacje. Zapowiadała się długa noc.

Lauren asystowała doktorowi Fernsteinowi przy dwóch kolejnych operacjach. Wyszła dopiero po jego stanowczym poleceniu, kiedy zwrócił jej uwagę, że zmęczenie osłabia koncentrację, co może zaszkodzić zdrowiu pacjentów.

W środku nocy usiadła więc za kierownicą swego triumpfa, opuściła szpitalny parking i z dużą prędkością pomknęła do domu opustoszałymi ulicami. „Jestem zbyt zmęczona i jadę za szybko” - powtarzała sobie z minuty na minutę, walcząc z ogarniającą ją sennością; jednak myśl, że mogłaby znów trafić na ostry dyżur, tym razem jako ofiara zbyt szybkiej jazdy, pozwoliła jej zachować przytomność umysłu. Pilotem otworzyła drzwi garażu i zaparkowała stare auto. Podziemnym korytarzem

doszła do frontowych schodów i, przeskakując po dwa stopnie, weszła do mieszkania z uczuciem wielkiej ulgi.

Wskazówki stojącego na kominku zegara wskazywały drugą trzydzieści. Lauren zrzuciła ubranie na środku salonu. Zupełnie naga podeszła do barku, by przygotować sobie zioła. W stojących na etażerze słoikach było mnóstwo najrozmaitszych gatunków, jakby każda pora dnia miała własny ziołowy aromat. Postawiła filiżankę na nocnym stoliku, wsunęła się pod kołdrę i natychmiast zasnęła. Miniony dzień był jednak stanowczo za długi, a mający wkrótce nadejść wymagał wczesnego wstania. Korzystając z dwóch wolnych dni, które tym razem, zupełnie wyjątkowo, wypadły właśnie w weekend, przyjęła zaproszenie przyjaciół mieszkających w Carmelu. Nawet jeśli potworne zmęczenie usprawiedliwiałoby długie wylegiwanie się w łóżku, to jednak nic nie mogło opóźnić jej wyjazdu. Lauren uwielbiała wschód słońca na drodze wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, tej, która łączy San Francisco z zatoką Monterey. Półprzymiotna, szukała po omacku przycisku budzika, aby go wyłączyć.

Zaciśniętymi w piąstki dłońmi przetarła oczy i skierowała wzrok na leżącą na dywanie Kali.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, nie należę już do tej planety. Na dźwięk jej głosu suka radośnie okrążyła łóżko i położyła łeb na brzuchu swej pani. „Opuszczam cię na dwa dni, córeczko. Moja mama przyjdzie po ciebie około jedenastej. Posuń się, zaraz wstanę i dam ci coś do jedzenia”.

Lauren rozprostowała nogi, ziewnęła, przeciągnęła się i wyskoczyła z łóżka. Przechesując palcami włosy, weszła za kuchenny blat, otworzyła lodówkę, ponownie ziewnęła, wyjęła masło, konfitury, tosty, puszkę dla psa, napoczętą paczkę parmeńskiej szynki, kawałek goudy, filiżankę do kawy, dwa pojemniczki mleka, miseczkę z kompotem jabłkowym, dwa

naturalne jogurty, płatki zbożowe i pół grejpfruta - druga połowa została na dolnej półce. Kali spoglądała na nią, potrząsając łbem, aż Lauren popatrzyła na nią groźnie i wrzasnęła:

- Jestem głodna!

I, jak zwykle, najpierw zaczęła przygotowywać posiłek dla swej pupilki w ciężkiej kamionkowej misce.

Następnie przygotowała własne śniadanie i z półmiskiem usiadła przy biurku.

Odwracając lekko głowę, mogła podziwiać stąd Saussalito i jego zbocza pokryte domami, most Golden Gate, niczym nawias spinający dwa brzegi zatoki, rybacki port w Tiburon, a tuż pod oknem dachy, jak stopnie schodów schodzące do Mariny.

Otworzyła szerzej okno, miasto było zupełnie ciche. Tylko smugi mgły unoszącej się nad frachtowcami wypływającymi do Chin i krzyk mew odmierzały czas wczesnego poranka. Znowu się przeciągnęła i z wilczym apetytem zabrała się do tego gargantuicznego śniadania. Poprzedniego dnia nie zjadła kolacji, po prostu zabrakło czasu. Trzykrotnie sięgała po kanapkę, ale przy każdej próbie dźwięk pagera wzywał ją w pilnej sprawie do pacjentów. Kiedy pytano ją o zawód, zwykle odpowiadała:

„Zagoniona”. Po zjedzeniu znakomitej części porannej ucztę wstawiła naczynia do zlewu i poszła do łazienki.

Wsunęła palce między drewniane listewki żaluzji, aby je otworzyć, zrzuciła białą bawełnianą koszulę i stanęła pod prysznicem. Silny strumień letniej wody całkowicie ją rozbudził.

Wyszła spod prysznica i owinęła się ręcznikiem wokół bioder. Stanąwszy przed lustrem z obnażonymi piersiami i nogami, zrobiła zabawny grymas i zdecydowała się na delikatny makijaż; włożyła džinsy oraz koszulkę polo; po chwili zdjęła

spodnie, włożyła spódnicę, zdjęła ją i wróciła do dzinsów. Wyjęła z szafy workowatą płócienną torbę, wrzuciła do niej parę ubrań, kosmetyczkę i stwierdziła, że jest gotowa do drogi. Ogarnęła wzrokiem wszechobecny bałagan: ubrania na podłodze, porozrzucane serwetki, zlew pełen brudnych naczyń i nieposłane łóżko. Przybrała stanowczy wyraz twarzy i oznajmiła głośno, zwracając się do wszystkich tych rzeczy:

- Ani mru-mru, nie gderać! Jutro wrócę wcześniej i zrobię z wami porządek na cały tydzień!

Potem sięgnęła po ołówek, kartkę papieru i napisała krótki liścik, po czym umocowała go na drzwiach lodówki wielkim magnesem w kształcie żaby.

Mamo! Dziękuję za opiekę nad psem. Absolutnie niczego nie sprzątaj, zajmę się wszystkim po powrocie. Przyjadę do Ciebie po Kali w niedzielę, około piątej po południu. Kocham Cię. Twoja ulubiona lekarka

Włożyła płaszcz, czule pogłaskała łeb suczki, pocałowała ją w czoło i zatrzasnęła za sobą drzwi od mieszkania.

Zeszła frontowymi schodami, wewnętrznymi drzwiami dotarła do garażu i wskoczyła do swojego starego kabrioletu.

- Jadę, w końcu naprawdę jadę! Nie mogę w to uwierzyć, to prawdziwy cud! Żebyś tylko chciał zapalić za pierwszym razem! No, zabaw się i ty, przecież możesz tylko raz zakasłać, bo doleję ci syropu do silnika, a potem oddam cię na złom i zastąpię nowiuteńkim samochodem, całym elektronicznym, bez rozrusznika i bez żadnych humorków przy lada chłodzie.

Zrozumiałeś? No to ruszaj!

Trzeba przyznać, że wysłużony „Anglik” wziął sobie do serca groźby swojej pani, bo zapalił od pierwszego przekręcenia kluczyka w stacyjce. Zapowiadał się naprawdę piękny dzień.

Lauren ruszyła powolutku, by nie obudzić sąsiadów. Green Street jest pełną uroku ulicą, ocienioną drzewami i domami. Wszyscy się tu znają, jak w małym miasteczku. Na szóstym skrzyżowaniu przed Van Ness, jedną z tych szerokich arterii przecinających miasto, włączyła wyższy bieg. Blade światło, z minuty na minutę zmieniające swą barwę, odkrywało kolejne wspaniałe perspektywy miasta. Samochód mknął szybko po pustych jeszcze ulicach. Lauren syciła się do upojenia pięknem poranka. Strome ulice San Francisco naprawdę mogą przyprawić o zawrót głowy.

Ostry zakręt w Sutter Street. Pisk opon i miarowy stukot kierunkowskazu. Stromy zjazd w kierunku Union Square; jest szósta trzydzieści, muzyka z włączonej płyty ogłusza, Lauren jest szczęśliwa, już od bardzo dawna nie czuła się tak dobrze. Do diabła ze stresem, szpitalem, obowiązkami! Zaczyna się weekend przeznaczony tylko dla niej, nie ma więc ani chwili do stracenia. Na Union Square panuje spokój. Ale za parę godzin na chodniki wypłynie gęsta lawa turystów i mieszkańców, robiących zakupy w sklepach wokół placu. Będą kursować cable-cars, światło rozjaśni witryny, przed wjazdem na centralny parking pod parkiem ustawi się długa kolejka samochodów, a w ogrodzie zespoły muzyczne rozmienią swoje piosenki na centy i dolary.

Na razie jest cicho; na tętniące życiem miasto trzeba jeszcze poczekać. Wystawy sklepowe są ciemne, a na ławkach śpią kloszardzi. Strażnik parkingu drzemie w swojej budce. Triumph połyka asfalt zgodnie z rytmem skrzyni biegów. Widząc zielone światła, Lauren wrzuca dwójkę, aby lepiej wejść w zakręt w Polk Street, jedną z czterech ulic wokół placu. Oszołomiona, z rozwianym szalem na głowie, ostro skręca przed ogromną fasadą budynku Masy'sa. Samochód idealnie bierze zakręt,

opony lekko piszczą i nagle rozlega się dziwny dźwięk, coś zaczyna stukotać, wszystko dzieje się bardzo szybko, klekotanie miesza się z innymi odgłosami, jakby się ze sobą kłóciły. Gwałtowny trzask! Czas na chwilę stanął w miejscu. Już nie ma żadnego porozumienia między kołami a kierunkiem jazdy, łączność została przerwana. Samochód wpada w poślizg na mokrej jeszcze nawierzchni i zjeżdża z jezdni. Grymas wykrzywia twarz Lauren. Jej dłonie ściskają kurczowo bezwolną kierownicę, pozwalającą kołom kręcić się bez końca jak w próżni, przekreślając wszelkie plany na budzący się właśnie dzień. Triumph wciąż się ślizga, czas zdaje się wydłużać niczym w przeciągłym ziewnięciu. Lauren ma wrażenie, że jej głowa wiruje w zawrotnym tempie, ale to domy i drzewa kręcą się wokół niej. Samochód zachowuje się jak bączek dla dzieci. Nagle opony z całą siłą uderzają w krawężnik, kłapa silnika otwiera się, a przód auta unosi się ku górze i uderza w hydrant. Ostatnim wysiłkiem triumph obraca się wokół własnej osi, wyrzuca kierowcę na zewnątrz, zupełnie jakby znajdujące się we wnętrzu ciało było dla niego za ciężkie, by wykonać ten upiorny piruet, negujący wszelkie prawa grawitacji. Lauren, wyrzucona w powietrze, opada i ląduje na ziemi, uderzając w fasadę dużego sklepu. Ogromna szyba wystawowa rozpryskuje się z hukiem na tysiące odłamków. Pokryte szklaną narzutą ciało młodej kobiety obraca się na chodniku jeszcze przez chwilę, a potem nieruchomieje. Lauren leży z rozrzuconymi w nieładzie włosami, podczas gdy wiekowe auto kończy swoją ostatnią jazdę i całą karierę, stojąc częściowo na jezdni, częściowo na chodniku, kołami do góry. Z jego wnętrza wydobywa się obłoczek pary, stary „Anglik” wydaje z siebie ostatnie tchnienie, jakby pozwolił sobie na ostatni kaprys.

Lauren nie porusza się. Leży spokojna. Twarz ma gładką, oddycha powoli i regularnie. Na wpółotwartych ustach błąka się lekki uśmiech, ma zamknięte oczy i wydaje się pogrążona we śnie. Jej długie włosy okalają twarz, a prawa ręka spoczywa na brzuchu.

Strażnik na parkingu przeciera oczy, widział wszystko „jak w kinie”, ale „tym razem to była prawda” - powie znacznie później. Wstaje, wybiega na ulicę, zaraz jednak zawraca. Drżącą ręką podnosi słuchawkę telefonu i wykreca 911. Wzywa pomocy i karetka natychmiast wyrusza w drogę.

Stołówka w San Francisco Hospital to duże pomieszczenie o wyłożonej białą terakotą podłodze i na żółto pomalowanych ścianach. Znajduje się tu mnóstwo prostokątnych stołów, ustawionych wzdłuż głównego przejścia, które prowadzi od drzwi aż do dystrybutorów z jedzeniem i napojami. Doktor Philip Stern drzemał, leżąc na jednym ze stołów, w dłoni wciąż trzymał filiżankę z resztką zimnej kawy. Nieco dalej jego kolega kiwał się na krześle i niewidzącym wzrokiem wpatrywał w przestrzeń. W kieszeni lekarskiego kitla zabrzęczał pager. Stern otworzył jedno oko i spojrzał na zegarek: jego dyżur kończył się dokładnie za piętnaście minut. „Coś podobnego! Że też na mnie musiało trafić! Frank, połącz się z centralą!” Frank zdjął słuchawkę z wiszącego obok na ścianie telefonu, wysłuchał informacji, rozłączył się i zwrócił do Sterna: „Wstawaj, stary, wzywają nas. Union Square, kod numer trzy, chyba to coś poważnego...”

Obaj pracujący w EMS lekarze podnieśli się i ruszyli w kierunku parkingu, gdzie czekała już na nich karetka, gotowa do odjazdu, z migoczącym na dachu kogutem. Dwa krótkie dźwięki syreny zaanonsowały wyjazd zespołu 02. Była za kwadrans

siódma, ruch na Market Street jeszcze się nie zaczął i ambulans mknął szybko w słonecznym blasku poranka.

- Niech to szlag, w dodatku zapowiada się cudny dzień!

- Musisz tak zrzędzić?

- Muszę, bo konam ze zmęczenia. A w dodatku prześpię cały dzień i nie skorzystam z tak pięknej pogody.

- Skręcaj w lewo, pojedziemy na skróty, pod prąd.

Frank wykonał polecenie i karetka wjechała w Polk Street w kierunku Union Square. „Dodaj gazu, już ich widzę”. Kiedy ambulans dotarł do placu, zobaczyli najpierw wrak starego triumpha zaczepionego o hydrant. Frank wyłączył syrenę.

- Kurczę, ale mu się trafiło - zauważył Stern, wyskakując z wozu. Dwaj policjanci byli już na miejscu, jeden z nich poprowadził Philipa do rozbitej wystawy.

- Gdzie kierowca? - zapytał lekarz.

- Tam, przed panem. To kobieta, jest lekarzem, zdaje się, że pracuje w pogotowiu. Może ją pan zna?

Stern klęczał już obok ciała Lauren i wrzeszczał na kolegę, aby się pospieszył.

Nożyczkami rozciął spodnie i bluzkę leżącej. Na lewej nodze widać było wyraźną deformację, otoczoną rozległym krwiakiem. Wszystko wskazywało na złamanie. Reszta ciała wydawała się nietknięta.

- Przygotuj kroplówkę i elektrokardiograf. Wyczuwam nitkowane tętno, brak ciśnienia, puls czterdzieści osiem, rana na głowie, złamanie prawej kości udowej z wewnętrznym krwotokiem.

Dawaj szyny. Znamy ją? Jest od nas?

- Już ją chyba kiedyś widziałem, jest internistką w Izbie Przyjęć, pracuje z Fernsteinem. Jedyna, która mu staje okoniem.

Philip nie zareagował na tę ostatnią uwagę. Frank sprawnie umieścił siedem elektrod na klatce piersiowej młodej kobiety,

kolorowym przewodem połączył je z przenośnym elektrokardiografem i włączył aparat. Ekran natychmiast rozbłysnął.

- Co się dzieje? - spytał Frank kolegę.

- Niedobrze, tracimy ją. Ciśnienie osiem na sześć, puls sto czterdzieści, wargi sine. Biorę rurkę intubacyjną, siódemkę. Trzeba intubować.

Doktor Stern umieścił kateter we właściwym miejscu, a pojemnik z solą fizjologiczną podał jednemu z policjantów.

- Niech pan to trzyma w górze, muszę mieć wolne ręce.

Odwrócił się do kolegi i polecił mu wstrzyknąć pięć miligramów adrenaliny do kroplówki, sto dwadzieścia pięć miligramów solu-medroli i natychmiast przygotować defibrylator. W tej samej chwili temperatura ciała Lauren zaczęła gwałtownie spadać, a wykres elektrokardiogramu stał się nieregularny.

W dole zielonego ekranu małe czerwone serce pulsowało nierówno. Słysząc było krótkie, powtarzające się buczenie - dźwięk sygnalizujący groźbę migotania komór.

-No, maleńka, trzymaj się! Musi mieć straszny krwotok wewnętrzny. A co z brzuchem?

-Miękki. Krwawi pewnie udo. Gotowy do intubacji?

Nie minęła nawet minuta, a Lauren miała już rurkę w krtani.

Podłączono ją do respiratora. Stern zapytał o bilans danych.

Frank odpowiedział, że oddech stał się regularny, a ciśnienie spadło do pięciu. Nie zdążył dokończyć zdania: krótki, przenikliwy pisk aparatu przerwał mu w pół słowa.

-Jest migotanie, daj trzysta dzuli! Philip potarł o siebie obie elektrody.

-W porządku, możesz ruszać! - zawołał Frank.

-Odsunąć się, włączaj!

Pod wpływem impulsu ciało uniosło się gwałtownie, wygięło w łuk, a potem opadło.

-Za mało!

-Daj trzysta sześćdziesiąt, zaczynamy od nowa!

-Trzysta sześćdziesiąt, chyba to pomoże.

-Odsunąć się!

Ciało znów się uniosło i opadło, bezwładne.

- Daj pięć miligramów adrenaliny i znowu trzysta sześćdziesiąt.

Odsunąć się!

Kolejny impuls, ciało podskoczyło.

- Ciągłe nic! Tracimy ją. Wstrzyknij ampułkę lidokainy do kroplówki. Dobra, odsunąć się!

Ciało wyprężyło się.

- Wstrzyknę pięćset miligramów bretylium, a ty ładuj trzysta osiemdziesiąt. Szybko!

Po następnym wstrząsie ciało Lauren znów się uniosło. Jej serce zdawało się reagować na wstrzyknięte środki i zaczęło bić stałym rytmem, ale trwało to zaledwie chwilę. Gwizd, który ustał na kilka sekund, rozległ się ze zdwojoną siłą...

„Zatrzymanie akcji serca” - stwierdził Frank.

Philip natychmiast przystąpił do masażu serca z jakąś niezwykłą zaciekłością. Starając się utrzymać ją za wszelką cenę przy życiu, błagał: „Nie bądź głupia, jest taka piękna pogoda, wracaj, nie rób nam tego”. Następnie kazał koledze ponownie włączyć aparaturę. Frank próbował go uspokoić: „Philip, to nic nie da”. Ale Stern nie dawał za wygraną i wrzasnął, aby czym prędzej uruchomił defibrylator. Frank usłuchał. Po raz kolejny kazano wszystkim się odsunąć. Ciało dziewczyny podskoczyło, ale zapis elektrokardiogramu pozostał płaski. Philip znów rozpoczął masaż serca, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Zmęczenie potęgowało desperację młodego lekarza, czuł się bezradny.

Kolega zdawał sobie sprawę, że Stern stracił poczucie rzeczywistości. Powinien był przerwać reanimację już kilka minut wcześniej, w momencie zgonu, tymczasem nadal kontynuował masaż.

-Podaj jeszcze pół miligrama adrenaliny i przełącz na czterysta.

-Philip, przestań, to nie ma sensu, ona nie żyje. Co ty wyprawiasz?!

-Stul pysk i rób, co ci każę!

Policjant ze zdziwieniem spojrział na klęczącego obok Lauren lekarza, ale ten nie zwrócił na to uwagi. Frank wzruszył ramionami, wstrzyknął nową dozę leku do kroplówki i naładował defibrylator. Kiedy na aparacie było czterysta, Stern nie poprosił nawet, żeby się odsunąć, i przyłożył elektrody. Wskutek gwałtownego wstrząsu ciało uniosło w górę klatkę piersiową. Zapis pozostał jednak beznadziejnie płaski. Ale lekarz nawet na niego nie spojrział, już wiedział, jaki będzie efekt, zanim podjął ostateczną próbę. Uderzył pięścią w pierś Lauren.

- Cholera, cholera!

Frank objął go mocno ramionami i potrząsnął.

- Uspokój się, Philip, tracisz głowę. Przestań! Masz stwierdzić zgon i wynosimy się stąd. Puściły ci nerwy, musisz odpocząć.

Philip był zlany potem, miał nieprzytomne oczy. Frank podniósł głos, ujął w dłonie głowę przyjaciela i zmusił go do spojrzenia prosto w oczy.

Jeszcze raz nakazał mu spokój, a ponieważ nie było żadnej reakcji, wymierzył siarczysty policzek. Uderzenie odniosło skutek, do Sterna zaczął docierać głos przemawiającego łagodnie kolegi: „Wracamy, bracie, musisz dojść do siebie”.

Frank, wyczerpany, ostatkiem sił podniósł się z ziemi i odszedł, rzucając dookoła bezradne spojrzenie. Znieruchomiali niczym

słupy soli policjanci ze zdumieniem przypatrywali się obu lekarzom. Frank, idąc, oglądał się co chwila za siebie; sprawiał wrażenie zdesperowanego. Philip wciąż klęczał, zwinięty w kłębek. W końcu powoli unióśł głowę i oznajmił zachrypniętym głosem: „Zgon. Jest siódma dziesiąta”. Spojrzał na osłupiałego policjanta, wciąż trzymającego w ręku kroplówkę. „Zabierzcie ją, to koniec. Nie możemy już nic więcej dla niej zrobić”. Wstał, podszedł do kolegi, wziął go pod ramię i pociągnął w stronę karetki. Funkcjonariusze odprowadzili wzrokiem wsiadających do karetki lekarzy. Jakież dziwne te doktorki! -zauważył jeden z nich. Drugi spojrzał na niego poważnie.

-Widziałeś już kiedyś, jak ginie policjant?

-Nie.

-No to nie możesz zrozumieć tego, co przeżyli. Chodź, pomożesz mi. Trzeba ją delikatnie położyć na noszach i zanieść do wozu.

Karetką zniknęła już za zakretem. Funkcjonariusze zabrali z chodnika bezwładne ciało Lauren, położyli na noszach i przykryte kocem wnieśli do radiowozu. Kilku zapóźnionych gapiów rozchodziło się powoli; przedstawienie właśnie się skończyło.

W ambulansie panowała kompletna cisza. Frank pierwszy przerwał milczenie:

-Philip, co z tobą?

-Ona nie ma jeszcze trzydziestki, to lekarka, w dodatku piękna jak marzenie. Można umrzeć z zachwyty.

-Ale ona umarła! Czy to coś zmienia, że jest piękną lekarką? Mogła być paskudna i pracować w supermarkecie. To przeznaczenie, nie można nic na to poradzić, widać wybiła jej godzina. Zaraz wrócimy, pójdziesz się położyć i spróbujesz wziąć się w garść.

Dwie przecznice za nimi radiowóz mijał skrzyżowanie, kiedy zajęła mu drogę taksówka. Rozwścieczony policjant gwałtownie zahamował i włączył syrenę; skruszony kierowca „Limo Service” natychmiast się zatrzymał i grzecznie przeprosił za nieuwagę. Ciało Lauren zsunęło się z noszy na podłogę. Funkcjonariusze otworzyli tylne drzwi, młodszy z nich wziął dziewczynę za nogi, starszy za ramiona. Jego twarz znieruchomiała, kiedy ujrzał poruszającą się klatkę piersiową.

-Ona oddycha!

-Co takiego?

-Mówię ci, że ona oddycha, wskakuj za kierownicę i pędź do szpitala!

-Coś podobnego! Miałem rację, coś mi nie grało z tymi konowalami!

-Zamknij się i jedź. Nic z tego nie rozumiem, ale ci dwaj jeszcze mnie popamiętają!

Radiowóz z ogromną prędkością wyprzedził karetkę. Siedzący w niej lekarze spojrzeli na siebie zaskoczonym wzrokiem. To byli „ich gliniarze”. Philip chciał włączyć syrenę i popędzić za nimi, ale Frank stanowczo zaprotestował. Na dzisiaj miał serdecznie dosyć.

-Dlaczego oni tak gnają?

-A skąd mogę wiedzieć? - odpowiedział Frank. - I wcale nie jestem pewien, czy to byli oni. Wszyscy gliniarze są do siebie podobni.

Dziesięć minut później ambulans zaparkował przed szpitalem obok radiowozu z otwartymi drzwiami. Philip wysiadł z karetki i poszedł w stronę recepcji. Przyśpieszył kroku. Nawet nie pozdrowił dyżurującej pielęgniarki; od razu przystąpił do rzeczy:

-W której jest sali?

-Ale kto, doktorze Stern?

-Ta młoda kobieta, którą właśnie przywieźli

-Jest w bloku trzecim, zajął się nią Fernstein. Zdaje się, że należała do jego zespołu.

W tym momencie starszy z policjantów poklepał go po ramieniu.

-I czego was uczą, panowie doktorzy?

-Przepraszam, nie rozumiem.

Mógł sobie przepraszać, to nie wystarczało. Jak mógł stwierdzić zgon kobiety, która zaczęła oddychać w radiowozie? „Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby nie ja, wsadziliby ją żywą do lodówki?”

Już on nie puści tego płazem. W tej samej chwili podszedł do nich profesor Fernstein, nie zwracał najmniejszej uwagi na policjanta i skierował się bezpośrednio do młodego lekarza:

„Doktorze Stern, ile łącznie adrenaliny zaaplikował pan rannej?” „Dziesięć i pół miligrama” - odpowiedział Philip.

Profesor porządnie go zbeształ. Dodał, że takie postępowanie świadczy o braku równowagi emocjonalnej. Następnie zwrócił się do policjanta i oznajmił, że zanim doktor Stern stwierdził zgon, Lauren nie żyła już od jakiegoś czasu.

Oświadczył, że nie ulega wątpliwości, iż ekipa lekarska popełniła błąd, zbyt długo zajmując się reanimacją i trwoniąc bez potrzeby pieniądze podatników. Aby raz na zawsze zamknąć dyskusję, wyjaśnił, że wstrzyknięty płyn zgromadził się wokół osierdzia. „Kiedy samochód gwałtownie zahamował, płyn przedostał się do serca. Nastąpiła normalna reakcja chemiczna, dlatego zaczęło bić”. Niestety, śmierć mózgu była nieodwracalna. Co się tyczy serca, zatrzyma się ono, jak tylko płyn się rozpuści. „Może nawet teraz, kiedy tu z panem rozmawiam”. Zasugerował, że będąc na miejscu policjanta, przeprosiłby doktora Sterna za zbyt ostrą reakcję, a lekarza

poprosił, by ten, przed wyjściem, zjawił się u niego w gabinecie. Policjant spojrział na Philipa i mruknął pod nosem: „Widzę, że nie tylko policja ma monopol na zawodową solidarność. Wcale nie życzę panu miłego dnia”. Odwrócił się na pięcie i wyszedł ze szpitala. Kiedy wahadłowe drzwi wejściowe przestały się ruszać, rozległ się warkot zapalnego silnika.

Stern stał nieruchomo, z rękami opartymi o kontuar recepcji i zmrużonymi oczami patrzył na pielęgniarkę. „Co się tu tak naprawdę dzieje?” Lecz ona tylko wzruszyła ramionami i przypomniała, że Fernstein z pewnością już na niego czeka. Zapukał do uchylonych drzwi szefa Lauren. Wszechwładny mandaryn zaprosił go do środka. Stał za biurkiem, tyłem do wchodzącego, i wyglądał przez okno. Najwyraźniej czekał, aby to Stern rozpoczął rozmowę. Tak też się stało. Philip przyznał, że nie do końca zrozumiał skierowane do policjanta wyjaśnienia. Fernstein przerwał mu beznamytnym tonem:

- Niech pan mnie uważnie wysłucha, Stern. To, co powiedziałem temu oficerowi, było jedynym wytłumaczeniem, jakie mógł pojąć. W ten sposób odwiódłem go od zamiaru złożenia na pana raportu, bo to zapewne zniszczyłoby pańską karierę. Jest pan przecież doświadczonym lekarzem, a postępował jak sztubak. W naszym zawodzie trzeba umieć pogodzić się ze śmiercią. Nie jesteśmy bogami i nie mamy wpływu na przeznaczenie. Ta młoda kobieta zmarła tuż po waszym przybyciu, a pański upór mógł pana drogo kosztować. -Ale jak może pan wyjaśnić, że znowu zaczęła oddychać?

-Nie mam zamiaru tego wyjaśniać, to nie należy do moich obowiązków. Zresztą nie wiemy wszystkiego. Ona umarła, doktorze Stern. Odeszła, czy to się panu podoba, czy nie. Nic mnie nie obchodzi, że jej płuca się poruszają, a serce się jeszcze telepie. Encefalogram jest płaski! Śmierć mózgu jest

nieodwracalna. Zaczekamy, aż przestaną działać inne organy, i odeślemy ją do kostnicy. Kropka.

-Przecież nie może pan tego zrobić wobec tyłu widocznych oznak!

Fernstein wyraził swoją dezaprobatę niecierpliwym ruchem głowy i podniesionym głosem. Stern nie będzie mu tu udzielać żadnych lekcji. Czy zdaje sobie ponadto sprawę, ile kosztuje jeden dzień reanimacji? A może szpital ma blokować łóżko tylko po to, by utrzymywać przy sztucznym życiu taką „roślinę”? Stern powinien wreszcie wydorosnąć. On, Fernstein, nie odważy się skazywać rodzin takich osób na spędzanie tygodni i miesięcy przy łóżku bezwładnego, pozbawionego inteligencji ciała, „żyjącego” wyłącznie dzięki maszynom. Nie chce być odpowiedzialny za podobne decyzje tylko po to, by zaspokoić lekarskie ego.

Kazał Sternowi wziąć prysznic i zniknąć z pola widzenia. Ale młody lekarz stał jak wrośnięty w ziemię i wynajdował kolejne argumenty. Kiedy stwierdził zgon, serce i płuca pacjentki nie pracowały już od jakichś dziesięciu minut, to prawda. Tak, walczył dalej z jakąś niezrozumiałą determinacją, ale po raz pierwszy w swojej karierze zawodowej wyraźnie czuł, że ta kobieta za nic nie chce umierać. Opisywał, jak w półotwartych oczach Lauren widział nie tylko chęć walki za wszelką cenę, ale i niezgodę na śmierć. Walczył więc razem z nią, nie myśląc o obowiązujących normach, a dziesięć minut później, wbrew wszelkiej logice, wbrew temu, czego się dotąd nauczył, serce znów zaczęło bić, płuca chwytały powietrze, powracało życie. „Ma pan rację - powiedział - jesteśmy tylko lekarzami i nie wiemy wszystkiego. Ona także jest lekarzem”. Błagał Fernsteina, aby dał jej ostatnią szansę. Znano przecież przypadki śpiączki, z której pacjent budził się nagle do życia, choć nikt nie

wiedział, jak to się stało. A ta młoda kobieta zrobiła coś, czego nie zrobił nikt przed nią, do diabła więc z kosztami. „Niech pan nie pozwala jej umrzeć, ona tego nie chce, dała nam to do zrozumienia”. Profesor odezwał się po długiej chwili milczenia.

- Doktorze Stern, Lauren była jedną z moich studentek. Miała prawdziwy talent, choć wredny charakter. Szanowałem ją i wiązałem duże nadzieje z jej karierą, ale myślę także o pańskiej, więc rozmowę tę uważam za skończoną”.

Stern wyszedł z gabinetu, nie zamknąwszy za sobą drzwi. W korytarzu czekał na niego Frank.

-A ty co tu robisz?

-Philip, co ci przyszło do głowy? Wiesz, z kim rozmawiałeś tym tonem?

-I co z tego?

-Facet, do którego mówiłeś, jest profesorem tej młodej, znał ją i widywał codziennie od piętnastu miesięcy. Ocalił już tyle istnień ludzkich, ile ty nie zdołasz przez całą resztę życia. Naucz się w końcu panować nad sobą, bo czasem naprawdę ci odbija.

-Odchrzań się, Frank. Na dzisiaj mam dość słuchania morałów. Doktor Fernstein zamknął drzwi swojego gabinetu, podniósł słuchawkę telefonu, zawahał się przez moment, podszedł do okna, a potem gwałtownym ruchem chwycił za słuchawkę. Zażądał połączenia z blokiem operacyjnym. Natychmiast po drugiej stronie linii rozległ się czyjś głos.

- Tu Fernstein, proszę przygotować salę, operujemy za dziesięć minut. Zaraz prześlę kartę.

Delikatnie położył słuchawkę na widełki, pokiwał głową i wyszedł z gabinetu. W drzwiach wpadł prosto na profesora Williamsa.

-Co słyhać? - spytał ten ostatni. - Zapraszam cię na kawę.

-Nie mogę.

-A co robisz?

-Głupotę. Przygotowuję się właśnie do popełnienia piramidalnej głupoty. Muszę już zniknąć. Zadzwoń do ciebie później. Fernstein wszedł na blok operacyjny w zielonym, przewiązanym w pasie kitlu. Pielęgniarka naciągnęła mu na dłonie sterylne rękawiczki. W ogromnej sali zespół lekarzy otaczał ciało Lauren. Za jej głową monitor migotaniem wskazywał rytm oddechu i bicie serca.

-Co z nią? - spytał Fernstein anestezjologa.

-Stan stabilny. Wprost niewiarygodnie stabilny. Sześćdziesiąt pięć i dwanaście na osiem. Już śpi. Gazometria w normie. Może pan zaczynać.

-Tak, już śpi...

Skalpel naciął udo na całej długości złamania. Kiedy profesor zaczął rozsuwać mięśnie, nieoczekiwanie przemówił do całego zespołu. Nazywając ich „swoimi drogimi kolegami”, wyjaśnił, że mają oto okazję zobaczyć, jak profesor chirurgii z dwudziestoletnim stażem przeprowadza banalną operację, godną studenta piątego roku: złożenia złamanej kości udowej.

- A wiecie chociaż, dlaczego właśnie ja to robię? Bo nawet student piątego nie zgodziłby się na operację osoby, której mózg nie żyje od ponad dwóch godzin.

Poprosił, by nie zadawano mu żadnych pytań. Operacja nie potrwa długo, a on dziękuje wszystkim za włączenie się do tej „gry”. Lauren była jego studentką i wszyscy zgromadzeni w tej sali powinni zrozumieć jego poczynania. Wszedł radiolog i podał profesorowi wyniki tomografii. Na zdjęciach widać było krwiak płata potylicznego. Postanowiono wykonać punkcję odciążającą mózg. Z tyłu czaszki wywiercono otwór, włożono węł cienką igłę, która przebiła się przez opony. Każdy jej ruch kontrolowano na monitorze. W ten sposób chirurg dotarł aż do

krwiaka. Wydawało się, że mózg nie został naruszony. Przez sondę wyciekła cienka strużka krwistego płynu. Niemal jednocześnie spadło ciśnienie śródczaszkowe. Anestezjolog zwiększył strumień tlenu do mózgu przez znajdującą się w tchawicy rurkę. Uwolnionym od nadmiernego ciśnienia komórkom przywrócono normalny metabolizm, zaczęły się stopniowo pozbywać nagromadzonych toksyn. Z minuty na minutę atmosfera na sali rosła. Zespół stopniowo zapominał, że operuje się istotą ludzką klinicznie martwą. To była gra o dużą stawkę, ruchy rąk stały się precyzyjne i profesjonalne. Wykonano prześwietlenie klatki piersiowej, złożono połamane żebra i nakłuto opłucną. Całą operację prowadzono metodycznie i z wielką dokładnością. Pięć godzin później doktor Fernstein ściągnął z trzaskiem gumowe rękawiczki. Poprosił, by pozostali lekarze zszyli rany i przewieźli pacjentkę do sali pooperacyjnej. Po wybudzeniu z narkozy pacjentkę należało natychmiast odłączyć od respiratora.

Jeszcze raz podziękował zespołowi za współpracę i obiecaną dyskrecję. Zanim definitywnie opuścił salę, poprosił jedną z pielęgniarek, Betty, aby go zawiadomiła, jak tylko odłączy respirator. Minał blok operacyjny i szybkim krokiem udał się w kierunku wind. Mijając recepcję, spytał dyżurną, czy doktor Stern przypadkiem jest jeszcze na terenie szpitala. Pielęgniarka zaprzeczyła; młody lekarz wyszedł, wyraźnie przygnębiony. Profesor podziękował za informację i dodał, że będzie w swoim biurze, gdyby ktoś o niego pytał.

Ciało Lauren opuściło blok operacyjny i zostało przewiezione do sali pooperacyjnej. Betty włączyła aparaturę monitorującą pracę serca, encefalograf i respirator. Sprawiało to wrażenie, że na łóżku leży kosmonautka. Pielęgniarka pobrała krew i opuściła salę. Pacjentka spała spokojnie, jej powieki zdawały się

kreślić kontury świata snu, kojącego i głębokiego. Po upływie pół godziny Betty zatelefonowała do Fernsteina. Powiedziała, że Lauren już nie jest pod wpływem narkozy. Zapytał o stan pacjentki. Odrzekła, że jest stabilny, jak się tego spodziewał. Nalegała, by jeszcze raz potwierdził swoje polecenie.

- Odłączy pani respirator. Zaraz tam przyjdę.

Odłożył słuchawkę. Betty weszła do sali i odłączyła rurkę od aparatury, pozostawiając swojej podopiecznej podjęcie próby samodzielnego oddychania. Parę chwil później wyciągnęła rurkę z tchawicy. Odsunęła do tyłu kosmyk włosów z czoła Lauren, popatrzyła na nią ze wzruszeniem i wyszła, gasząc za sobą światło. Mrok pokoju rozjaśniało teraz zielone światelko encefalografu. Wykres ciągle pozostawał płaski. Dochodziło wpół do dziewiątej wieczorem, w szpitalu panowała cisza.

Pod koniec pierwszej godziny końcówka oscylografu zaczęła drgać, początkowo niedostrzegalnie. A potem nagle pisak rysujący linię wystrzelił w górę, wykreślił okazały wierzchołek, potem opadł w dół i znów kreska stała się pozioma.

Nie było świadka tego zdarzenia. Ale tak właśnie działa przypadek; Betty zjawiła się w sali dopiero godzinę później. Sprawdziła stan Lauren, przejrzała kilka centymetrów zapisu na taśmie, zauważyła to dziwne wybrzuszenie, ściągnęła brwi i dalej przeglądała zapis. Widząc, że potem linia jest zupełnie płaska, odłożyła taśmę, nie stawiając sobie dalszych pytań. Podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i zadzwoniła do gabinetu Fernsteina.

- To ja, doktorze. Zapadła w głęboką śpiączkę, ale stan jest stabilny. Co mam robić?

- Znajdzie pani łóżko na piątym piętrze. Dziękuję, Betty. Fernstein odłożył słuchawkę.

Zima 1996

Arthur otworzył pilotem garaż i zaparkował samochód. Wszedł na górę wewnętrznymi schodami i otworzył drzwi swojego nowego mieszkania. Zatrzasnął je nogą, położył teczkę, zdjął płaszcz i padł na kanapę. Stojące na środku salonu kartonowe pudła przypomniały mu, że ma jeszcze mnóstwo roboty. Zdjął garnitur, włożył dżinsy i zabrał się do rozpakowywania znajdujących się w pudłach książek oraz ustawiania ich w biblioteczkach. Parkiet skrzypiał mu pod stopami. Późnym wieczorem, kiedy wszystko było już poukładane, złożył puste kartony, odkurzył salon i dokończył porządki w aneksie kuchennym. Z zadowoleniem obejrzał nowe gniazdko. Chyba zaczynam bzikować - pomyślał. Idąc do łazienki, zastanawiał się, czy wziąć kąpiel, czy prysznic; wybrał kąpiel, puścił wodę, włączył małe radio stojące na grzejniku obok ściennej drewnianej szafy, zrzucił ubranie i wszedł do wanny z westchnieniem ulgi. Podczas gdy Peggy Lee występowała Fever w paśmie 101,3 FM, Arthur kilkakrotnie zanurzył głowę w wodzie. W pewnym momencie zaskoczyła go jakość dźwięku słuchanej piosenki, następnie efekt stereo-fonii, a radio było przecież monofoniczne. Wydawało mu się także, że z szafy dobiegało dziwne stukanie, jakby ktoś wybijał palcami rytm melodii. Zaintrygowany, wyszedł z wanny i zaczął skradać się w kierunku szafy. Stukot stawał się coraz wyraźniejszy. Arthur przez chwilę się zawahał, a potem wziął głęboki oddech i gwałtownie otworzył dwuskrzydłowe drzwi. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia i zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć. Ukryta między wieszakami siedziała młoda kobieta. Miała zamknięte oczy i najwyraźniej zauroczyła ją słuchana piosenka, dlatego strzelała rytmicznie palcami i podśpiewywała pod nosem.

- Kim pani, do licha, jest i co pani tu robi?! – wykrzyknął Arthur.

Kobieta podskoczyła, a w jej szeroko otwartych oczach pojawiło się osłupienie.

-To pan mnie widzi?

-No pewnie, że panią widzę.

Wydawało się, że odpowiedź wprawiła ją w jeszcze większe zdziwienie. Poinformował ją, że przecież nie jest ani głuchy, ani ślepy, i powtórzył pytanie: co właściwie tutaj robi? W odpowiedzi usłyszał, że to wspaniałe. Arthur z kolei nie widział w tym nic „wspaniałego”, coraz bardziej zirytowanym tonem po raz trzeci powtórzył pytanie: co ona robi w jego własnej łazience późną nocą?

-Pan chyba niczego nie rozumie - odpowiedziała. - Proszę dotknąć mojego ramienia! - A ponieważ stał jak wryty, powtórzyła: - Proszę, niech pan dotknie mojego ramienia.

-Nie, nie dotknę. Co się tu, do licha, dzieje?

Wzięła go za rękę i spytała, czy czuje jej dotyk. Ze znużonym wyrazem twarzy oznajmił zwięźle, że ją czuje, widzi i słyszy. Po raz czwarty zapytał, co robi w jego szafie. Zignorowała pytanie, z niekłamanym zachwytem powtórzyła, że to „wspaniałe”, iż widzi ją i słyszy, a nawet może jej dotknąć. Wyczerpany długim dniem Arthur nie miał nastroju do zabawy.

- W porządku, droga pani, wystarczy. To kolejny dowcip mojego współnika? Kim pani właściwie jest? Call-girl, prezentem przed parapetówką?

- Musi być pan grubiański? Czy wyglądam na dziwkę? Arthur westchnął.

-Nie, nie wygląda pani, ale siedzi o północy w mojej szafie.

-Jednak na razie to pan jest goły, nie ja.

Arthur podskoczył jak oparzony, chwycił ręcznik i przewiązał go w pasie. Starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Podniósł głos.

- No dobra, koniec zabawy. Wyłazi pani z szafy i wraca do domu. I powie pani Paulowi, że to kiepski kawał. Bardzo kiepski.

Wcale nie знаła Paula, a jemu poradziła, żeby zmienił ton. Ona w końcu też nie jest głucha, słuch ma doskonały, to tylko inni jej nie słyszą. Arthur był wykończony i nic z tego nie rozumiał, a ona zakłócała mu spokój. Przecież dopiero co się przeprowadził i marzył o odpoczynku!

-Niech pani będzie tak miła i zabierze swoje rzeczy. Proszę wracać do domu. Może w końcu wyjdzie pani z tej szafy?

-Spokojnie, to nie takie proste, jeszcze nie mam odpowiedniej precyzji, chociaż w ostatnich dniach zrobiłam duże postępy.

-Jakie postępy? O czym pani mówi?

-Proszę zamknąć oczy, spróbuję.

-Co pani spróbuje?

-Wyjść z tej szafy, przecież sam pan tego chciał! No, niech pan zamyka oczy i zamilknie na dwie minuty. Muszę się skoncentrować.

-Z pani jest kompletny świr!

-O, jaki pan uprzejmy! Niech pan w końcu zamknie oczy i przestanie gadać! Chce pan tak spędzić resztę nocy?

Arthur, kompletnie zrezygnowany, zamknął oczy. Dwie sekundy później usłyszał dochodzący z salonu głos:

- Całkiem nieźle! Co prawda trochę obok kanapy, ale i tak całkiem nieźle.

Szybko wyszedł z łazienki i zobaczył ją siedzącą na środku pokoju. Zachowywała się, jakby nic się nie stało.

- Widzę, że zostawił pan dywany, bardzo mnie to cieszy, ale ten obraz na ścianie jest naprawdę okropny.

-Wieszam, co chcę i gdzie chcę, a teraz mam zamiar iść spać. Skoro nie chce mi pani powiedzieć, kim jest, przestało mnie to obchodzić. Proszę się stąd wynosić! Czas do domu!

-Ależ ja jestem we własnym domu! To znaczy byłam. To wszystko jest takie dziwne.

Arthur pokiwał głową. Wynajął to mieszkanie dziesięć dni temu i z pewnością to on był teraz u siebie.

-Wiem, to teraz pańskie mieszkanie. Jest pan moim lokatorem post mortem,. Co za zabawna sytuacja!

-Opowiada pani jakieś bzdury. Właścicielką jest kobieta około siedemdziesiątki. Co to ma znaczyć - ten lokator „post mortem”?

-Aleby się ucieszyła, gdyby mogła pana usłyszeć! Ma sześćdziesiąt dwa lata i jest moją matką. W mojej obecnej sytuacji jest także moim pełnomocnikiem. Lecz to ja jestem faktyczną właścicielką mieszkania.

-Ma pani pełnomocnika?

-No tak, w obecnych okolicznościach miałabym spore kłopoty z podpisywaniem dokumentów.

-Leczy się pani w szpitalu?

-Tak, ale już nic więcej nie mogę powiedzieć.

-Muszą się bardzo niepokoić pani nieobecnością. Proszę mi zdradzić, o który szpital chodzi, zawiozę tam panią.

-Niech pan szczerze powie, ma mnie pan za wariatkę, która uciekła ze szpitala?

-Nie, ale...

-Bo jak na pierwsze spotkanie już dość przykrych rzeczy od pana usłyszałam.

Było mu naprawdę wszystko jedno, czy ma do czynienia z call-girl, czy oryginalną wariatką; czuł się wykończony i marzył tylko o łóżku. Nie wstała jednak, tylko ciągnęła dalej:

- Jak mnie pan widzi?

- Nie rozumiem pytania.

-No, jaka jestem, nie widzę siebie w lustrze, więc jaka jestem?

-Podekscytowana, bardzo podekscytowana - odpowiedział niewzruszony.

-Ale ja chcę wiedzieć, jak wyglądam fizycznie.

Arthur zastanowił się chwilę, a potem opisał ją jako wysoką dziewczynę o ogromnych oczach, ładnych ustach i łagodnej twarzy, będącej całkowitym zaprzeczeniem jej zachowania. Mówił o długich, gestykulujących z wdziękiem rękach.

-A gdybym pana spytała, gdzie jest stacja metra, to podałyby pan wszystkie przesiadki na tej linii?

-Pani wybaczy, ale nie rozumiem.

-Czy każdą kobietę opisuje pan tak szczegółowo?

-A pani jak tu weszła? Ma pani zapasowe klucze?

-Nie potrzebuję kluczy. To zupełnie niesamowite, że pan naprawdę mnie widzi.

Nie mogła mówić o niczym innym. Fakt, że jest widziana, był dla niej nieomal cudem. Powiedziała, że bardzo spodobał jej się sposób, w jaki ją opisał. Poprosiła, by usiadł obok niej na podłodze. „To, co zamierzam panu opowiedzieć, jest trudne do zrozumienia, a jeszcze trudniej w to uwierzyć. Jeśli jednak zechciałby pan wysłuchać mojej historii i zaufać mi, to może w końcu uwierzyłby mi pan. To ogromnie ważne, bo chyba jest pan, wcale o tym nie wiedząc, jedyną osobą na świecie, której mogę powierzyć swój sekret”.

Arthur zrozumiał, że nie ma wyboru, będzie musiał wysłuchać tego, co dziewczyna ma mu do powiedzenia. I chociaż nie

pragnął niczego więcej jak pójść wreszcie do łóżka, usiadł obok niej. Miał wysłuchać najbardziej nieprawdopodobnej opowieści, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się usłyszeć.

Nazywała się Lauren Kline, twierdziła, że jest lekarzem. Pół roku temu miała wypadek samochodowy, bardzo poważny wypadek, będący wynikiem awarii układu kierowniczego. „Od tamtej pory jestem w śpiączce. Proszę, niech pan jeszcze nie wysnuwa żadnych wniosków i pozwoli mi to wytłumaczyć”. Przebiegu wypadku w ogóle nie pamiętała. Odzyskała świadomość na sali pooperacyjnej po przebudzeniu z narkozy. Targały nią przedziwne uczucia; słyszała dokładnie wszystko, co się dookoła niej działo, nie mogła jednak ani mówić, ani wykonać najmniejszego ruchu. Początkowo przypisywała to skutkom narkozy. „Ale się myliłam, mijały całe godziny, a ja nie mogłam obudzić się w sensie fizycznym”. Jej świadomość rejestrowała wszystko, ale nie była zdolna porozumieć się z otoczeniem. Przeżyła największy w swym życiu strach, przez wiele dni była przekonana, że jej ciało jest całkowicie sparaliżowane. „Nawet nie potrafi pan wyobrazić sobie, co przeszłam. Do końca życia pozostawać więźniem własnego ciała...”

Bardzo pragnęła śmierci, ale jak można ze sobą skończyć, skoro nie sposób poruszyć nawet palcem u nogi? Matka spędzała całe dni przy jej łóżku. „Uduś mnie - błagała ją w myślach - weź poduszkę i uduś”. A potem do sali wszedł lekarz, poznała go po głosie; to był jej profesor. Pani Kline spytała go, czy Lauren słyszy, kiedy się do niej mówi. Fernstein odpowiedział, że trudno w tej sprawie wyrokować, niektóre badania wskazują, iż ludzie w podobnej sytuacji odbierają jakieś bodźce zewnętrzne. Trzeba więc uważać na to, co się przy niej mówi. „Mama chciała też wiedzieć, czy pewnego dnia się obudzę”.

Odpowiedział spokojnie, że nauka jest tu bezradna, należy jednak zachować nadzieję. Zdarzało się już, co prawda nieczęsto, że po wielu miesiącach śpiączki chorzy nagle się budzili. „Naprawdę wszystko jest możliwe - dodał. - Głęboka śpiączka jest jeszcze tajemnicą dla medycyny”. Te słowa dziwnie pocieszyły Lauren, jej ciało nie było sparaliżowane! Diagnoza nie napawała optymizmem, ale nie brzmiała jak ostateczny wyrok. „Bo, wie pan, na paraliż nie ma ratunku. W śpiączce tkwi jednak iskierka, maleńka iskierka nadziei”. Tygodnie wlokły się wolno, coraz wolniej. Aby o nich zapomnieć, zaczęła żyć w świecie wspomnień, wyobrażała sobie, że przebywa w innych miejscach, jak najdalej od szpitala. Marzyła pewnej nocy o świecie za drzwiami sali, wyobraziła sobie znajdujący się tam korytarz, pielęgniarki obładowane aktami chorych lub pchające wózki, kolegów lekarzy, zaglądających kolejno do sal...

- Wtedy zdarzyło się to po raz pierwszy: nagle znalazłam się pośrodku korytarza, który tak intensywnie sobie wyobrażałam. Początkowo myślałam, że to wyobraźnia płata mi takie figle; przecież dobrze znam to miejsce, w końcu pracuję w tym szpitalu. Jednak było to bardzo realistyczne. Widziałam dokładnie szpitalny personel, Betty otwierała szafę, brała z niej opatrunki, zamykała drzwi, Stefan spieszył się gdzieś i drapał po głowie. To taki tik nerwowy, jeszcze ciągle go ma.

Słyszała otwierające się drzwi windy, czuła zapach jedzenia dostarczanego dyżurnym lekarzom. Jednak nikt jej nie widział, ludzie przechodzili obok, nawet nie próbując jej wyminąć, kompletnie nieświadomi jej obecności. Poczula się bardzo zmęczona i wróciła do leżącego na łóżku ciała.

Podczas kilku następnych dni nauczyła się przemieszczać po terenie szpitala. Pomyślała o stołówce - i za chwilę tam była,

podobnie w Izbie Przyjęć: ciach-mach, i już jest na miejscu. Po trzech miesiącach swoistego treningu nabrała takiej wprawy, że wyszła poza teren szpitala. Siedziała z francuskim małżeństwem przy stoliku jednej ze swych ulubionych restauracji, obejrzała w kinie połowę filmu i spędziła kilka godzin w mieszkaniu matki: „Więcej nie powtórzyłam tego eksperymentu, to za bardzo boli być tam i nie móc nawiązać żadnego kontaktu”. Ale Kali wyczuła jej obecność, kręciła się w kółko, warcząc, co doprowadzało Lauren do szaleństwa. Wróciła więc tutaj, w końcu to przecież było jej mieszkanie, tu czuje się najlepiej.

- Żyję w absolutnej samotności. Nie jest pan w stanie wyobrazić sobie, jak to jest, gdy nie można z nikim porozmawiać, gdy nikt pana nie widzi, nie istnieje się w czyimś życiu. Więc chyba zrozumie pan moje podniecenie i zdumienie, kiedy przemówił pan do mnie, w tej szafie. Zupełnie nie wiem, dlaczego tak się stało, że to pan widzi mnie i słyszy, ale niech to trwa, Boże kochany, tak bardzo chcę mówić, mogłabym mówić godzinami, w głowie kłębi mi się z tysiąc zdań.

Po tym niepowstrzymanym potoku słów nastąpiła chwila ciszy. W kącikach jej oczu zalśniły łzy. Dłonią otarła policzki i nos. Spojrzała na Arthura.

- Chyba bierze mnie pan za wariatkę?

Arthur był spokojny, wzruszył się jej nabrzmiałym emocjami głosem, a to niewiarygodne opowiadanie w jakiś sposób go przejęło.

-Nie, nie, to wszystko jest bardzo, jak by to ująć, wstrząsające, zdumiewające i niezwykle. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Chciałbym pani pomóc, ale nie wiem, jak.

-Niech mi pan pozwoli tu zostać, będę cicha jak myszka, na pewno nie będę przeszkadzać.

-Czy pani naprawdę wierzy w to wszystko, co mi opowiedziała?

-Nie uwierzył pan w ani jedno słowo? Pewnie w tej chwili myśli pan sobie, że siedzi przed panem dziewczyna, której kompletnie pomieszało się w głowie. Od początku wiedziałam, że nie mam żadnych szans.

Prosił, by postawiła się na jego miejscu. Gdyby to ona znalazła się w środku nocy z lekko podekscytowanym facetem, ukrytym w łazienkowej szafie, który przekonywałby ją, że jest czymś w rodzaju ducha, bo jego fizyczne ciało jest w stanie śpiączki?

Jaka byłaby jej pierwsza reakcja?

Twarz Lauren rozpuściła się, poprzez łzy wyjrzał cień uśmiechu. Wyznała, że z pewnością zaczęłaby wrzeszczeć jak opętana, a więc w jego zachowaniu można znaleźć okoliczności łagodzące. Podziękował jej za to z przekąsem.

- Arthurze, błagam, niech mi pan uwierzy. Nikt nie potrafiłby wymyślić podobnej historii.

- Ależ tak, mój współnik ma szczególny talent do tego rodzaju dowcipów.

-Niech pan w końcu zapomni o swoim współniku! To naprawdę nie jest dowcip.

Kiedy zapytał, skąd zna jego imię, odpowiedziała, że bywała tu jeszcze przed jego przeprowadzką. Widziała, jak oglądał mieszkanie i z agentem nieruchomości podpisywał umowę na kuchennym blacie. Była także wtedy, gdy pojawiły się kartony; widziała, jak w trakcie ich rozpakowywania połamano model samolotu. I choć jest jej przykro z tego powodu, to musi szczerze wyznać, że jego wściekłość w tym momencie bardzo ją rozbawiła. Również w jej obecności wieszano ten ohydny obraz nad łóżkiem.

-No i niezły z pana maniak: dwadzieścia razy jeździć kanapą, żeby ustawić ją w jedynym właściwym miejscu! To było takie

oczywiste, że miałam ochotę to panu podpowiedzieć. Jestem tu z panem od pierwszego dnia. Przez cały czas.

-I jest pani ze mną, kiedy leżę w łóżku lub biorę prysznic?

-Nie jestem żadną podglądaczką! Zresztą jest pan zupełnie nieźle zbudowany, tylko trzeba się wziąć za te fałdki tłuszczu. A poza tym wszystko ma pan w porządku.

Arthur zmarszczył brwi. Wydawała się bardzo przekonująca, czy może raczej bardzo przekonana, ale on od tego wszystkiego czuł zamęt w głowie; cała ta historia nie miała najmniejszego sensu. Skoro chciała, aby jej uwierzył, to już był jej problem; nie musiał udowadniać, że to wierutne bzdury, nie był jej psychiatrą. Chciał iść spać, zaproponował więc, że ją przenocuje. Sam położył się w salonie na kanapie, „dla której tak trudno było mu znaleźć właściwe miejsce”, a ona może zająć sypialnię. Jutro rano wróci do siebie, do szpitala, zresztą gdziekolwiek zechce, i ich drogi rozejdą się. Ale Lauren ani myślała się zgodzić. Stała przed nim nadąsana, gotowa zmusić go do wysłuchania tego, co miała do powiedzenia. Wzięła głęboki oddech i przytoczyła zdumiewający ciąg zdarzeń z jego życia w ostatnich kilku dniach. Przypomniała o telefonicznej rozmowie, którą odbył z Carol-Ann dwa dni temu, około jedenastej wieczorem. „Trzasnęła słuchawką, kiedy wygłaszał jej pan wykład na temat moralności, zresztą dość pompatyczny i tłumaczący przyczyny waszego rozstania”. „Uwierz mi!” Przypomniała, jak stłukł dwie filiżanki, gdy wyjmował je z pudła. „Uwierz mi!” Jak zasnął i poparzył się pod prysznicem. „Uwierz mi!” Jak miotał się po mieszkaniu, szukając kluczyków do samochodu. „Uwierz mi w końcu, do diabła!” A tak przy okazji - to jest chyba bardzo roztargniony, kluczyki leżały na stoliku w przedpokoju. Telefon założono mu we wtorek o siedemnastej, pracownik telekomunikacji kazał na siebie czekać

pół godziny. „A jedząc kanapkę z pastrami, poplamił pan sobie marynarkę, więc przebrał się pan przed powrotem do biura”.

-Czy teraz mi pan wierzy?

-Szpieguje mnie pani od wielu dni, tylko nie rozumiem, dlaczego.

-A dlaczego miałabym pana szpiegować?! To nie jakieś Watergate! Tu nie ma ukrytych kamer i mikrofonów!

-A dlaczego by nie? To by nawet pasowało do pani opowiastki, czyż nie?

-Proszę wziąć kluczyki do samochodu!

-A mamy gdzieś jechać?

-Do szpitala. Chcę, żeby mnie pan zobaczył.

-No jasne! Jest prawie pierwsza w nocy, mam się telepać do szpitala na drugim końcu miasta, potem poprosić dyżurną pielęgniarkę, żeby zechciała mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju pewnej kobiety, której wprawdzie nie znam, ale za to jej duch urzęduje w moim mieszkaniu. Ja co prawda chcę się wyspać, ale ten fantom jest uparty jak osioł, więc wizyta nocą u chorej jest jedynym sposobem, żeby mnie pozostawił w spokoju.

-A widzi pan inny?

-Inny co?

-Sposób. Bo nie powie pan chyba, że mógłby teraz zasnąć.

-Cóż Ci takiego uczyniłem, dobry Boże, że właśnie mnie wybrałeś?

-Przecież nie wierzy pan w Boga, sam to pan powiedział przez telefon swojemu wspólnikowi przy okazji jakiegoś kontraktu: „Paul, nie wierzę w Boga. Jeśli dostaniemy ten kontrakt, to dlatego, że byliśmy najlepsi; jeśli go stracimy, trzeba będzie wyciągnąć wnioski i zmienić sposób działania”. No więc teraz niech pan zmieni sposób działania, na pięć minut, to wszystko, o

co proszę. Czy tak trudno mi uwierzyć? Potrzebuję pana, jest pan jedyną osobą...

Arthur chwycił słuchawkę telefonu i wystukał numer współlnika.

-Obudziłem cię?

-Skądże znowu, jest dopiero pierwsza w nocy. Czekałem na twój telefon i dlatego nie mogłem zasnąć.

-A miałem zadzwonić?

-Nie, nie miałeś. A odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak, obudziłeś mnie. Czego ty chcesz o tej porze?

-Żebyś z kimś pogadał. A ja powiem tylko, że twoje kawały są coraz bardziej kretyńskie.

Arthur podał słuchawkę Lauren i zażądał, żeby porozmawiała z jego współlnikiem. Ale ona nie mogła wziąć telefonu, wyjaśniła, że nie może utrzymać w rękach żadnego przedmiotu.

Tymczasem Paul wściekał się na drugim końcu linii i dopytywał się, z kim właściwie Arthur rozmawia. Ten uśmiechnął się i nacisnął guzik z napisem „głośnik”.

-Słyszysz mnie, Paul?

-Jasne, że słyszę. Powiedz, w co ty chcesz się bawić? Bo ja jestem śpiący.

-Też chciałem iść spać. Zamknij się na chwilę. Lauren, niech pani powie coś do niego, proszę.

Wzruszyła ramionami.

- Skoro tego pan chce... Witam, Paul, z pewnością mnie pan nie słyszy, ale pański współlnik nadal w to nie wierzy.

- Słuchaj, Arthurze, jeśli dzwonisz tylko po to, żeby nic nie mówić, to ja o tej porze nie mam poczucia humoru.

-Odpowiedz jej!

-Ale komu?

-Osobie, która do ciebie mówiła.

-Ty jesteś osobą, która do mnie mówi, a ja ci odpowiadam.

-Nie słyszałeś nikogo innego?

-Słuchaj no, Joanno d'Arc, musisz być naprawdę przemęczony.

Lauren spoglądała na niego z pobłażliwym wyrazem twarzy.

Arthur pokręcił głową. To przecież jasne, skoro tych dwoje

zawiązało spisek, to tak łatwo się nie zdradzą. Przez głośnik

Paul dopytywał się, z kim, do licha, jego wspólnik rozmawia.

Arthur poradził mu zapomnieć o wszystkim i przeprosił za

telefon o tak późnej porze. Ale Paul zaniepokoił się, spytał, czy

na pewno wszystko jest w porządku, a może ma przyjechać?

Arthur zapewnił go, że nic złego się nie dzieje, i podziękował za

dobre chęci.

- Nie ma za co, stary, możesz mnie budzić o każdej porze i

opowiadać głupoty, bynajmniej się nie krępuj, jesteśmy przecież

wspólnikami na dobre i na złe. A jak dopadnie cię podobna

chandra, zbudź mnie i przelej na moje barki część ciężarów.

Mogę już iść spać, czy masz coś jeszcze?

-Dobrej nocy, Paul.

Odłożył słuchawkę.

-Jedźmy do szpitala. Już od dawna mogliśmy tam być.

-O nie, nie pojedziemy. Jeśli przekroczyć próg tego domu, będzie

to oznaczać, że dałem wiarę tej idiotycznej historii. Droga pani,

jestem naprawdę zmęczony i idę spać. Więc albo zajmie pani

sypialnię, a ja kanapę, albo proszę stąd wyjść. To moje ostatnie

słowo.

-W porządku, widzę, że ktoś tu jest bardziej uparty niż ja.

Proszę zająć sypialnię, nie potrzebuję łóżka.

-I co będzie pani robić?

-A co to pana obchodzi?

-Obchodzi mnie, to wszystko.

-Posiedzę sobie w salonie.

-Dobrze, do rana. A jutro...

-Tak, do jutrzejszego ranka. Dzięki za wspaniałomyślną gościnność.

-I nie przyjdzie pani szpiegować mnie w sypialni?

-Skoro mi pan nie wierzy, niech pan zamknie drzwi na klucz. Jeśli chodzi o to, że sypia pan goły, to przecież już pana widziałam.

-A podobno nie jest pani podglądaczką!

Przypomniała mu, że nie tak dawno w łazience musiałyby być chyba ślepa, by nie zauważyć jego nagości. Zarumienił się i życzył jej dobrej nocy. „No właśnie, dobrej nocy, Arthurze, życzę panu przyjemnych snów”. Wszedł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. „Co za wariatka! -mruczał wściekły. - To jakaś kretyńska historia”. Padł na łóżko. Fosforyzujące zielonym blaskiem wskazówki radio-budzika pokazywały pierwszą trzydzieści. Obserwował ich ruch aż do drugiej jedenaście. Potem jednym susem wyskoczył z łóżka, włożył gruby sweter, dżinsy, skarpetki i z impetem wszedł do salonu. Lauren siedziała na parapecie ze skrzyżowanymi nogami. Odezwała się, nie odwracając głowy.

-Lubię ten widok, a pan? To dlatego zakochałam się w tym mieszkaniu. Lubię patrzeć na most, latem otwieram okno i słucham okrętowych syren. Zawsze chciałam policzyć fale, które rozbijają się o burtę statków, zanim przepłyną pod Golden Gate.

-No dobra, jedziemy - usłyszała w odpowiedzi.

-Naprawdę? Tak nagle się pan zdecydował?

-Zarwała mi pani noc. Już i tak mam przechłapanę, więc chcę definitywnie zakończyć tę sprawę. Jutro czeka mnie ciężki dzień i obiad z ważnym klientem. Muszę się przespać przynajmniej ze dwie godziny, dlatego pojedziemy tam teraz. Niech się pani pospieszy.

-Może pan iść, dogonię pana.

-Gdzie mnie pani dogoni?

-Sam pan zobaczy, proszę mi przez chwilę zaufać. Uważał, że i tak, zważywszy na okoliczności, obdarzył ją dużym zaufaniem. Przed wyjściem spytał ją o nazwisko. Podała mu je wraz z piętrem i numerem sali, w której rzekomo miała przebywać: piąte piętro, sala numer 505. Dodała, że łatwo to zapamiętać, same piątki. Miał na ten temat odmienne zdanie; to, co go czekało, wcale nie było łatwe. Wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi, zbiegł po schodach i znalazł się w garażu. Lauren siedziała już w samochodzie, rozparta na tylnym siedzeniu.

-Nie wiem, jak pani to robi, ale jestem pod wrażeniem. Chyba musiał panią uczyć sam Houdini.

-Kto taki?

-Houdini, magik, prestidigitator.

-Jest pan świetnie zorientowany!

-Proszę usiąść z przodu, nie jestem pani szoferem.

-Mógłby się pan zdobyć na odrobinę wyrozumiałości, mówiłam przecież, że brak mi jeszcze precyzji. I tak dobrze, że trafiłam na tylne siedzenie, mogłam wylądować na masce.

Skoncentrowałam się na wnętrzu samochodu. Zapewniam, że naprawdę robię postępy.

Usiadła obok niego. Lauren wyglądała przez okno, w samochodzie zapadła cisza. Przerwał milczenie, pytając, jak ma się zachować, gdy będą już na miejscu. Zaproponowała, żeby podał się za mieszkającego w Meksyku kuzyna, który właśnie dowiedział się o wypadku i pędził cały dzień i noc, aby ją zobaczyć. Wczesnym rankiem miał wsiąść do samolotu odlatującego do Anglii i wrócić dopiero za pół roku. Zdaje sobie sprawę z niezwyklej i niezgodnej z regulaminem pory

odwiedzin, ale wyjazd i chęć zobaczenia ukochanej kuzynki są chyba wystarczającym usprawiedliwieniem. Arthur zauważył, że w ogóle nie jest podobny do południowca, a w taką bajeczkę nikt nie uwierzy.

Zganiła go za negatywne nastawienie i zaproponowała, żeby wobec tego przyjechać do szpitala nazajutrz. Nie powinien się tak niepokoić. Ale jego niepokoiła jej wyobraźnia. Saab wjechał na teren szpitala. Kazała mu skrócić na prawo, potem wjechać w drugą uliczkę na lewo i zaparkować pod srebrnym świerkiem. Kiedy wysiedli z auta, końcem palca pokazała mu dzwonek, radząc, by nie naciskał zbyt długo, bo to je denerwuje. „Kogo?” - spytał. „Pielęgniarki, które często muszą przejść cały długi korytarz, a nie znają jeszcze zasad teleportacji. Niech się pan wreszcie obudzi!” „Bardzo bym tego pragnął” - wykrztusił.

Arthur wysiadł z auta i dwukrotnie nacisnął lekko dzwonek. Pojawiła się niska kobieta, jej oczy spoglądały zza okularów w rogowej oprawie. Uchyliła drzwi i spytała, czego sobie życzy. Starał się, jak mógł najlepiej, opowiedzieć swoją bajeczkę, ale pielęgniarka przerwała mu, mówiąc, że to wbrew regulaminowi, a przepisów nie należy łamać. W tej sytuacji najlepiej będzie przełożyć lot i przyjść do szpitala rano.

Błagał, powoływał się na to, że nie ma reguł bez wyjątków. Już gotów był zrezygnować i odejść ze ściśniętym sercem, kiedy zauważył, że pielęgniarka mięknie i spogląda na zegarek.

- Muszę iść na obchód - powiedziała. - Może iść pan ze mną. Proszę tylko niczego nie dotykać, nie hałasować i za kwadrans opuścić szpital.

Podniósł do ust jej dłoń i ucałował w dowód wdzięczności.

- Czy wszyscy Meksykanie są tacy szarmanccy? - spytała, kryjąc uśmiech.

Wpuściła go do budynku i poleciła iść za sobą. Doszli do wind i pojechali od razu na piąte piętro.

- Zaprowadzę pana do jej pokoju. Zrobię obchód i przyjdę po pana. Proszę niczego nie dotykać.

Otworzyła drzwi sali 505, panował w niej półmrok. Leżąca w łóżku kobieta, oświetlona słabym światłem nocnej lampki, zdawała się spać głębokim snem. Stojący w progu Arthur nie mógł rozpoznać rysów śpiącej. Pielęgniarka odezwała się półgłosem:

- Zostawię otwarte drzwi, proszę wejść. Ona z pewnością się nie obudzi, ale proszę uważać na każde wypowiedziane do niej słowo, bo z pacjentami w śpiączce nigdy nic nie wiadomo. Tak w każdym razie uważają lekarze, choć ja mam na ten temat własne zdanie.

Arthur nie szedł, tylko wprost skradał się do łóżka. Lauren stała przy oknie i zachęcała, żeby się do niej zbliżył:

- No, śmiało, przecież pana nie ugryzę.

A on wciąż się zastanawiał, co tu właściwie robi. Podeszedł do łóżka i spojrział. Były do siebie podobne jak dwie krople wody. Cera leżącej kobiety była tylko bledsza od cery uśmiechającego się do niego sobowtóra, ale oprócz tego szczegółu nic ich nie różniło. Cofnął się o krok.

-Ja chyba śnię! Czy to pani siostra bliźniaczka?

-Naprawdę można przy panu wpaść w czarną rozpacz. Nie mam żadnej siostry. To ja tam leżę, we własnej osobie. Niech mi pan pomoże, czasem trzeba uwierzyć w rzeczy niewiarygodne. To nie żaden szwindel ani sen. Arthur, mam tylko pana, proszę mi w końcu uwierzyć i nie odwracać się do mnie plecami. Nie dam rady bez pańskiej pomocy, jest pan jedyną osobą na ziemi, do której mogę przemówić po sześciu miesiącach milczenia. Tylko pan czuje moją obecność i słyszy, co mówię.

-Ale dlaczego ja?!

-Nie mam najmniejszego pojęcia. W tym wszystkim brakuje logiki.

-, „W tym wszystkim” - to brzmi przerażająco.

-A pan sądzi, że ja się nie boję?

Swoim strachem mogłaby odzielić całe miasto. Przypatrywała się przecież własnemu ciału, widziała, jak nieubłaganie więdnie - niczym warzywo - podłączone do cewnika i kroplówki. Nie potrafi odpowiedzieć mu na pytania; sama je sobie zadaje od dnia wypadku. „Mam tak wiele znaków zapytania, że trudno to sobie wyobrazić”. Była smutna, mówiła mu o swoich wątpliwościach i lękach: jak długo trwać będzie ta niesamowita sytuacja? Czy choć na parę dni mogłaby stać się kobietą z krwi i kości, twardo stąpającą po ziemi i przytulającą do serca tych, których kocha? Po co tyle lat poświęciła medycynie, skoro miała skończyć w ten sposób? Ile jeszcze dni będzie biło jej serce? Przeczuwała rychły koniec i oblatywał ją blady strach. „Jestem ludzką zjawą, Arthurze, duchem i człowiekiem”.

Odwrócił wzrok, unikając jej spojrzenia.

- Aby umrzeć, trzeba przedtem odejść. A pani wciąż tu jest.

Wracajmy lepiej do domu. Jestem bardzo zmęczony, pani także. Zabieram panią.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił, jakby chciał pocieszyć.

Odwrócił się do wyjścia i niemal wpadł na pielęgniarkę, która mu się dziwnie przyglądała.

-Skurcz pana złapał?

-Nie, dlaczego?

-Trzyma pan ramię uniesione w górę. I dłoń jest zaciśnięta. To z pewnością skurcz.

Arthur gwałtownie puścił ramię Lauren i rękę trzymał teraz wzdłuż tułowia.

-Pani naprawdę jej nie widzi?

-Kogo?

-Nikogo!

-Nie chciałby pan odpocząć przed wyjściem? Nagle zmienił się pan na twarzy.

Pielęgniarka usiłowała go pocieszyć. Taki widok zawsze wywołuje szok, „to całkiem normalne”, „to minie”. Arthur odpowiedział bardzo powoli, zupełnie jakby brakowało mu słów: „Nie, dziękuję, lepiej już sobie pójdę”. Zapytała, czy odnajdzie drogę do wyjścia. Zebrał się w sobie i odparł, że wyjście znajduje się na końcu korytarza.

- No to zostawiam pana, mam jeszcze coś do zrobienia w pokoju obok. Muszę zmienić pościel, zdarzył się mały wypadek.

Arthur pożegnał się i ruszył przed siebie korytarzem. Patrząca za nim pielęgniarka zobaczyła, że znowu uniósł ramię do góry, i usłyszała szept: „Wierzę pani, Lauren, naprawdę pani wierzę”. Zmarszczyła brwi, a potem pokiwała głową ze zrozumieniem: „Tak, tak, to prawdziwy wstrząs. Trzeba czasu, żeby się pozbierać”. Oni tymczasem wsiedli do windy. Arthur wbił oczy w podłogę. Nie odzywał się; ona także milczała. Wyszli ze szpitala. Od zatoki wiał północny wiatr, przynosząc ze sobą zacinający deszcz. Zrobiło się przejmująco zimno. Arthur podniósł kołnierz płaszcza i otworzył drzwi od strony pasażera. „Na razie koniec z magicznymi sztuczkami, proszę wsiąść normalnie jak wszyscy”. Uśmiechnęła się do niego i grzecznie usiadła.

W drodze powrotnej nie zamienili ze sobą ani słowa. On koncentrował się na drodze, ona oglądała chmury. Przemówiła dopiero pod domem:

-Zawsze lubiłam noc, dla jej ciszy, sylwetek bez cieni, spojrzeń, jakich nie spotka się za dnia. To jakby dwa światy, które dzielą

się miastem, wzajemnie się nie znając, nie domyślając się nawet swojego istnienia. O zmroku pojawia się wiele istot ludzkich, by potem zniknąć o świcie. Nie wiadomo, dokąd idą. Znamy ich tylko my, pracownicy szpitala.

-Musi jednak pani przyznać, że to zwariowana historia. Trudno w nią uwierzyć.

-Zgadzam się, ale chyba nie będziemy tego roztrząsać przez resztę nocy i zaczynać wszystkiego od początku! Zresztą ile jeszcze tej nocy mi zostało? Niewiele! Proszę zaparkować samochód. Zaczekam na górze.

Arthur zaparkował przed domem, nie chciał budzić sąsiadów otwieraniem garażu. Schodami dotarł do drzwi mieszkania. Lauren siedziała po turecku na środku salonu.

-Nie trafiła pani w kanapę? - spytał rozbawiony.

-Nie, celowałam w dywan i proszę, udało mi się.

-Kłamczucha! Jestem pewien, że chciała pani usiąść na kanapie.

-A ja powtarzam, że na dywanie!

-Kiepska z pani aktorka.

-Chciałam panu zrobić herbatę, ale... Powinien pan się położyć, niewiele snu panu zostało.

Chciał znać szczegóły wypadku. Opowiedziała mu o humorach starego „Anglika”, uwielbianego przez nią triumpha, o planach spędzenia weekendu w Carmelu na początku ubiegłego lata i jak jej wyprawa znalazła finał na Union Square. Nie pamiętała, jak to się stało.

-A pani chłopak?

-Co mój chłopak?

-Jechała pani do niego?

-Wcale nie o to chce mnie pan zapytać. - Lauren uśmiechnęła się. - Pytanie miało brzmieć: „Czy ma pani chłopaka?”

-No więc: czy miała pani chłopaka?

-Dzięki za czas przeszły! Zdarzało mi się, że miałam.

-To nie jest odpowiedź.

-A co to pana obchodzi?

-Nie obchodzi. Nie będę się mieszał w cudze sprawy.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku sypialni. Ponownie zaproponował, żeby Lauren zajęła łóżko, a on się prześpi w salonie. Podziękowała mu za uprzejmość i oznajmiła, że na kanapie będzie jej doskonale. Był zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad wydarzeniami mijającej nocy. Mogli zresztą porozmawiać o tym jutro. Życzył jej dobrej nocy i już miał zamknąć drzwi, kiedy nagle spytała: „Mógłby pan pocałować mnie w policzek?” Zaskoczony, odwrócił głowę. „Wygląda pan jak dziesięcioletni chłopiec, a przecież proszę tylko o niewinnego buziaka w policzek. Od pół roku nikt nie trzymał mnie w ramionach”. Zawrócił, podszedł do niej i mocno uściśnął. Ucałował w oba policzki. Lauren przytuliła głowę do jego piersi. Arthur poczuł się niezręcznie, ogarnęło go wzruszenie. Niezgrabnie objął rękami jej szczupłe biodra. Przycisnęła policzek do jego ramienia.

- Dziękuję, Arthurze, dziękuję za wszystko. Niech pan już idzie spać, rano będzie pan wykończony. Obudzę pana.

Poszedł do sypialni, zdjął sweter i koszulę, spodnie rzucił na krzesło i wśliznął się pod kołdrę. Zasnął prawie natychmiast. Pozostała w salonie Lauren zamknęła oczy, skoncentrowała się i wylądowała na oparciu fotela stojącego obok łóżka, z trudem utrzymując równowagę. Uważnie przyjrzała się śpiącemu. Arthur miał pogodną twarz, dostrzegła nawet błąkający się w kącikach ust uśmiech. Przypatrywała się dłuższy czas, aż w końcu i ją zmorzył sen. Spała po raz pierwszy od wypadku. Kiedy obudziła się koło dziesiątej, Arthur pogrążony był w głębokim śnie. „Niech to diabli!” - wrzasnęła. Usiadła obok

łóżka. Mocno potrząsnęła śpiącym. „Wstawać! Jest strasznie późno!” Przekręcił się na drugi bok i wymamrotał:

-Nie tak mocno, Carol-Ann.

-Przyjemniaczek, ale z niego przyjemniaczek, hej, budzimy się! To nie Carol-Ann i w dodatku jest już pięć po dziesiątej.

Arthur najpierw otworzył ostrożnie oczy, potem je wytrzeszczył i gwałtownie usiadł na łóżku.

-Porównanie nie wypadło na moją korzyść? - spytała.

-Naprawdę tu jesteś? To nie był tylko sen?

-Mogłeś sobie darować tę uwagę, chociaż powinnam się jej spodziewać. Musisz się pospieszyć, już dawno minęła dziesiąta.

-Co takiego?! - Teraz on wrzasnął. - Czy przypadkiem nie miałas mnie obudzić?!

-Nie jestem głucha, a może Carol-Ann była niedosłysząca? Bardzo mi przykro, zmorzył mnie sen, po raz pierwszy, od kiedy znalazłam się w szpitalu. Myślałam, że jakoś wspólnie uczymy ten fakt, ale widzę, że humor ci raczej nie dopisuje. Lepiej się pośpiesz do pracy.

-Słuchaj, odpuść sobie ten ironiczny ton, przez ciebie zarwałem noc, a rano się mnie czepiasz. Może byś dała spokój?

-Rankiem jesteś wyjątkowo urokliwy. Wolę cię śpiącego.

-Będziesz mi robić sceny?

-Ale masz marzenia! Czy możesz w końcu się ubrać, bo znowu powiesz, że to wszystko przeze mnie?

-No pewnie, że przez ciebie. Czy mogłabyś stąd wreszcie wyjść? Leżę pod kołdrą zupełnie nagi.

-I nagle zrobiłeś się wstydlivy?

Poprosił, żeby nie urządziła mu małżeńskich scen od samego rana. Miał jednak pecha, bo dodał, że „Jeśli nie...” „Jeśli nie - to o dwa słowa za dużo!” - zirytowała się na dobre. Cierpkim tonem życzyła mu udanego dnia i natychmiast zniknęła. Arthur

rozejrzał się po pokoju, zawahał na moment, ale w końcu zawołał: „Lauren! Już wystarczy, wiem, że tu jesteś. Naprawdę masz wredny charakter. No, wylaż, przestań się wygłupiać”. Stał nagi na środku pokoju, gestykulując, kiedy w oknie naprzeciwko dostrzegł sąsiada, przyglądającego mu się z niekłamanym zdumieniem. Dopadł kanapy, pledem owinął biodra i poszedł do łazienki, mrużąc: „Latam na golasa po salonie, gadam sam do siebie i jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak spóźniony. Kompletna paranoja!”

Wszedł do łazienki, otworzył drzwi szafy i zapytał łagodnym tonem: „Lauren, jesteś tam?” Nie otrzymał żadnej odpowiedzi i poczuł się dziwnie przygnębiony. Błyskawicznie wziął prysznic. Pobiegł do sypialni, zawrócił, znów zajrzał do szafy w łazience - nikogo w niej nie było - i szybko wskoczył w garnitur. Trzy razy usiłował zawiązać krawat, zaklął pod nosem: „Ależ mam dzisiaj dwie lewe ręce!” Gotowy do wyjścia, wyrzucił do góry nogami wszystko, co znajdowało się na kuchennym blacie, w poszukiwaniu kluczy. Okazało się, że miał je w kieszeni. W pośpiechu wybiegł z mieszkania, zawahał się i zawrócił. Ponownie otworzył drzwi: „Lauren, wciąż cię nie ma?” Cisza. Przekręcił klucz w zamku. Wewnętrznymi schodami zbiegł do garażu, zaczął szukać samochodu, przypomniał sobie, że zaparkował go przed domem, korytarzem wrócił do głównego wyjścia i w końcu znalazł się na ulicy. Spojrzał w górę i znowu spostrzegł w oknie sąsiada o niewzruszonym wyrazie twarzy. Posłał mu zażenowany uśmiech, usiłował trafić kluczem w zamek, w końcu otworzył drzwi samochodu, usiadł za kierownicą i ruszył z piskiem opon. Kiedy wreszcie dotarł do biura i wszedł do hallu, spotkał tam swojego współnika, Paula, który na jego widok pokiwał głową, skrzywił się, a potem stwierdził:

-Chyba powinieneś wziąć parę dni urlopu.
-To ty weź i odchrzań się ode mnie!
-Co za uprzejmość, jestem zaszczycony!
-Ty też chcesz mi zrobić drakę?
-Widziałeś się z Carol-Ann?
-Nie, nie widziałem się z Carol-Ann. Dobrze wiesz, że z nią wszystko skończone.
-Tylko Carol-Ann mogła cię doprowadzić do takiego stanu. A może jest jakaś inna?
-Nie ma żadnej innej, przesuń się, i tak już jestem spóźniony.
-Co ty powiesz, przecież jest dopiero za kwadrans jedenasta. Jak ma na imię?
-Niby kto?
-A przejrzałeś się dzisiaj w lustrze?
-Bo co?
-Bo wyglądasz, jakbyś spędził całą noc z dzikim kociakiem. No, opowiadaj!
-Nie mam nic do opowiadania.
-A twój telefon w środku nocy? Wygadywałeś jakieś głupoty. Kto u ciebie był?
Arthur popatrzył na współnika.
- Słuchaj, najadłem się wczoraj wieczorem jakiegoś świństwa. Całą noc dręczyły mnie koszmary, prawie w ogóle nie spałem. Naprawdę nie mam nastroju na żarty, więc przepuść mnie. I tak jest dostatecznie późno.
Paul ustąpił. Kiedy Arthur przechodził obok, poklepał go lekko po ramieniu, mówiąc: „Chyba wiesz, że jestem twoim przyjacielem?” A kiedy Arthur odwrócił się, dodał: „Gdybyś wpadł w tarapaty, powiedziałbyś mi o tym?”
-Co cię nagle napadło? Po prostu źle spałem tej nocy, a ty robisz z tego aferę.

-Już dobrze, dobrze. Spotkanie jest o trzynastej, jesteśmy umówieni w Hyatt Embarcadero. Jeśli chcesz, możemy pojechać razem, a potem wrócę do biura.

-Nie, wezmę samochód, jestem później umówiony.

-Jak chcesz!

Arthur wszedł do swego gabinetu, odłożył teczkę i usiadł. Poprosił asystentkę o kawę, obrócił się wraz z fotelem w kierunku okna, odchylił głowę na oparcie i zamyślił się głęboko. Chwilę później Maureen zastukała do drzwi, w jednej ręce trzymała stos papierów, w drugiej - filiżankę z kawą i pączek. Postawiła gorący płyn na stoliku.

-Dolałam mleka, chyba nie pił pan dzisiaj kawy.

-Dziękuję, Maureen. Aż tak to widać? Jak wyglądam?

-Jakby chciał pan powiedzieć: „Dzisiaj nie piłem jeszcze kawy”.

-To prawda. Dzisiaj nie piłem jeszcze kawy!

-Było parę telefonów, ale proszę zjeść spokojnie, to nic pilnego. Przyniosłam pocztę do podpisania. Naprawdę nic panu nie jest?

-Naprawdę nic. Jestem tylko bardzo zmęczony.

I właśnie w tym momencie w gabinecie pojawiła się. Nie udało jej się, jak zamierzała, trafić na brzeg biurka. Na chwilę zniknęła Arthurowi z pola widzenia, a potem wylądowała na dywanie.

Poderwał się z fotela.

-Nic ci się nie stało?

-Nic, nic, w porządku - odpowiedziała.

-Co takiego miałyby mi się stać? - spytała zaskoczona Maureen.

-Nie pani - odparł.

-A komu? Nie ma nas znowu tak dużo w tym pokoju.

-Po prostu głośno myślałem.

-Myślał pan głośno, że coś mi się stało?

-Ależ nie, myślałem o kimś innym i powiedziałem to na głos.

Nigdy się to pani nie zdarza?

Lauren rozsiadła się po turecku na końcu stołu. Postanowiła przywołać Arthura do porządku.

-Nie musisz mnie porównywać do nocnego koszmaru.

-Wcale nie nazwałem cię koszmarem!

-No tak, tylko tego brakowało. Ciekawa jestem, czy znajdzie pan koszmar, który będzie przygotowywał panu kawę!

-Maureen, ja wcale nie mówiłem do pani!

-Może cierpię na częściową ślepotę, w pokoju jest jakiś duch, tylko ja go nie widzę?!

-Proszę mi wybaczyć, Maureen, to idiotyczne. Zachowuję się jak kretyn. Jestem wykończony, mówię na głos, a myślami jestem zupełnie gdzie indziej.

Maureen spytała, czy słyszał o depresji wynikającej z przemęczenia. „Trzeba zareagować na pierwsze objawy, bo potem leczenie wymaga wielu miesięcy”.

- Maureen, nie cierpię na depresję, miałem po prostu bardzo kiepską noc.

Lauren natychmiast podchwyciła temat:

- No tak, kiepska noc, koszmar...

- Przestań, proszę, daj mi odetchnąć.

-Przecież nic nie powiedziałam! - zdenerwowała się Maureen.

-Maureen, proszę, niech mnie pani zostawi samego, muszę się skupić. Zrelaksuję się i wszystko będzie w porządku.

-Będzie się pan teraz relaksował? Martwię się o pana, Arthurze, bardzo się martwię.

-Niepotrzebnie. Wszystko będzie dobrze.

Poprosił, żeby wyszła z pokoju i z nikim go nie łączyła.

Potrzebował chwili spokoju. Maureen niechętnie opuściła gabinet i zamknęła za sobą drzwi. W korytarzu natknęła się na Paula i poprosiła go o krótką rozmowę w prywatnej sprawie.

Arthur został wreszcie sam. Popatrzył na Lauren.

-Nie możesz tak pojawiać się ni z tego, ni z owego. Stawiasz mnie w idiotycznej sytuacji.

-Chciałam cię przeprosić za dzisiejszy ranek. Byłam naprawdę nieznośna.

-Nie, to ja byłem okropny, miałem podły nastrój.

-Chyba nie będziemy się przeproszać przez całe przedpołudnie? Miałam ochotę z tobą pogadać.

Paul wszedł bez pukania.

-Możemy chwilkę porozmawiać?

-Właśnie zacząłeś, więc mów.

-Przed chwilą rozmawiałem z Maureen. Co ci jest?

-Odczepcie się ode mnie! Wystarczy, że się spóźnię i jestem zmęczony, a już posądza się mnie o depresję!

-Wcale nie powiedziałem, że masz depresję.

-Ty nie, ale Maureen tak. Zdaje się, że wyglądam dziś jak zjawa.

-Nie jak zjawa. Wyglądasz raczej, jakbyś ujrzał zjawę.

-No bo ujrzałem.

-Jak to? Spotkałeś kogoś?

Arthur rozłożył ręce i skinął głową, mrugając okiem.

- Sam widzisz, nic się przede mną nie ukryje, byłem tego pewien. Znam ją?

- Z pewnością nie.

-No to opowiadaj! Kto to jest? Kiedy mi ją pokażesz?

-Z tym mogą być pewne kłopoty. Ona jest zjawą, spektrum. Moje mieszkanie jest nawiedzone, odkryłem to przypadkiem wczoraj wieczorem. Ta kobieta fantom zamieszkała w szafie w łazience. Spędziłem z nią noc, tylko nie wyobrażaj sobie, nic z tych rzeczy, potraktowałem ją z pełnym szacunkiem. Jest bardzo ładna jak na ducha, wcale nie... - zrobił minę przedstawiającą monstrum - ...nie, naprawdę, to śliczny duch, właściwie to nawet nie duch, należy raczej do tych, którzy jeszcze pozostali,

bo, wiesz, ona jeszcze nie całkiem odeszła, to wyjaśnia całą tę sytuację. Czy teraz zacząłeś rozumieć?

Paul patrzył na przyjaciela ze współczuciem.

- W porządku, zabieram cię do lekarza.

-Paul, przestań. Czuję się znakomicie. Zwrócił się do Lauren:

-Widzisz? To wcale nie będzie takie proste.

-Co nie będzie proste? - zapytał Paul.

-Nie do ciebie mówiłem.

-A więc mówiłeś do ducha? Jest w tym pokoju?

Arthur przypomniał mu, że chodzi o kobietę, i poinformował, że siedzi ona na biurku, tuż obok niego. Paul przyglądał mu się ze zdziwieniem i przesunął powoli dłoń po blacie biurka swego współnika.

-Słuchaj, wiem, że często robiłem ci kretyńskie dowcipy, ale ty mnie naprawdę przerażasz, Arthurze. Masz mętny wzrok, wyglądasz, jakbyś wypił coś mocniejszego.

-Jestem zmęczony, kiepsko spałem i z pewnością nie mam tęgiej miny, ale zapewniam cię, że wewnętrznie czuję się doskonale.

Mówię ci, wszystko jest w porządku.

-Wewnętrznie wszystko w porządku? Bo na zewnątrz wyglądasz jak z krzyża zdjęty. A samopoczucie ogólne?

-Paul, daj mi wreszcie pracować, jesteś moim przyjacielem, nie moim psychiatrą. Zresztą nie mam psychiatry. Wcale go nie potrzebuję.

Paul poprosił, żeby Arthur nie szedł na spotkanie, podczas którego zamierzano podpisać kontrakt. Przez niego mogliby go stracić. „Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy ze stanu, w jakim się znajdujesz. Wzbudzasz strach”. Arthur zerwał się jak oparzony, złapał teczkę i ruszył do drzwi.

-Jasne, straszę ludzi, wyglądam jak pijany, no to wracam do domu. Odejdź od drzwi, wychodzę! Lauren, wychodzimy!

-Arthurze, jesteś geniuszem. Nikt nie wymyśliłby takiego numeru! - zawołał Paul.

-To żaden numer, Paul. Twój mózg rozumuje... jak by to powiedzieć... zbyt konwencjonalnie, aby dostrzec to, co ja dostrzegam. Nawet nie mam ci tego za złe, ja sam dopiero wczoraj przeszedłem prawdziwą ewolucję.

-Ale przecież opowiadasz niestworzone rzeczy!

-Już mi to powiedziałaś. A teraz posłuchaj. Skoro sam chcesz podpisać ten kontrakt, nie ma sprawy. Rzeczywiście mało spałem, pójdę się położyć. Dziękuję ci za wszystko, jutro przyjdę w znacznie lepszej formie.

Paul zaproponował mu kilka dni urlopu, do końca tygodnia; przeprowadzka musiała go przecież porządnie zmęczyć. Zaoferował swoją pomoc podczas weekendu, gdyby była taka potrzeba. Arthur podziękował mu ironicznym tonem, wyszedł z gabinetu i zbiegł po schodach. Na chodniku przed budynkiem zaczął rozglądać się za Lauren.

- Jesteś tu?

Pojawiła się na masce jego samochodu.

-Przysparzam ci samych kłopotów, jest mi naprawdę przykro.

-Nie ma sprawy. Zresztą już tak dawno tego nie robiłem.

-Czego?

-Nie wagarowałem. A teraz cały dzień wagarów!

Paul ze zmarszczonym czołem obserwował go przez okno. Widział, jak jego wspólnik rozmawia sam ze sobą na środku chodnika, bez żadnego powodu otwiera i zamyka drzwi od strony pasażera, okraża auto i siada za kierownicą. Był przekonany, że jego przyjaciel wpadł w głęboką depresję wskutek przepracowania lub zapadł na jakąś chorobę mózgu. Tymczasem siedzący w samochodzie Arthur położył dłonie na

kierownicy i westchnął. Przyglądał się Lauren i uśmiechał się. Pomimo zażenowania odwzajemniła uśmiech.

-To denerwujące, gdy cię biorą za czubka, prawda? No, ale przynajmniej nie wziął cię za dziwkę!

-Nie rozumiem. Czy moje wyjaśnienia były niejasne?

-Ależ skąd, wprost przeciwnie! Dokąd jedziemy?

-Zjemy w końcu śniadanie, a ty mi opowiesz całą historię. Ze wszystkimi szczegółami.

Paul wciąż obserwował Arthura z okna swego gabinetu. Zobaczył, jak przyjaciel nieustannie rozmawia ze sobą w pustym samochodzie, zwracając się do niewidzialnej osoby. Postanowił zadzwonić do niego na komórkę. Kiedy Arthur odebrał, powiedział mu, żeby jeszcze nie odjeżdżał. Zaraz zejdzie na dół, ma mu coś ważnego do zakomunikowania.

-Co takiego? - spytał Arthur.

-Powiem ci, jak zejść!

Paul biegiem pokonał schody, minął dziedziniec, dotarł do samochodu i otworzył drzwi od strony kierowcy. Niemal usiadł na kolanach przyjaciela.

-Posuń się!

-Zwariowałaś? Wsiadaj z drugiej strony!

-Nie będzie ci przeszkadzać, że ja poprowadzę?

-Nic z tego nie rozumiem, mamy porozmawiać czy gdzieś jedziemy?

-Jedno i drugie. No, dalej, przesiadaj się!

Paul popchnął Arthura na siedzenie obok kierowcy, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył z parkingu. Dojechał do najbliższego skrzyżowania i ostro zahamował.

-Na razie jedno pytanie: twoja zjawa jest teraz z nami w samochodzie?

-Tak, musiała się przesiąść do tyłu, zważywszy na sposób, w jaki tu wtargnąłeś.

Paul otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i pochylił do przodu oparcie fotela. Zwrócił się do Arthura:

- Bądź łaskaw powiedzić swojemu Casperowi , żeby wysiadł i zostawił nas na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy, bez świadków.

Lauren pojawiła się przy oknie od strony pasażera.

-Będę na North-Point - oznajmiła. - Pospaceruję tam trochę. Słuchaj, to zbyt skomplikowane, nie musisz mi wszystkiego opowiadać. Nie chcę stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

-To mój wspólnik i najlepszy przyjaciel, nie mogę go okłamywać.

-Pogadaj o mnie ze schowkiem na rękawiczki! - wtrącił Paul. -

Wiesz, a ja wczoraj wieczorem otworzyłem lodówkę, zobaczyłem światło, włożyłem do środka i co najmniej przez pół godziny rozmawiałem o tobie z masłem i główką sałaty.

-Nie rozmawiam o tobie ze schowkiem na rękawiczki, ale z nią!

-Ach tak, no to poproś swoją Lady Casper, żeby poszła poprawić sobie makijaż, a my w końcu będziemy mogli pogadać!

Lauren zniknęła.

-Już sobie poszedł? - spytał Paul, lekko zdenerwowany.

-To jest ONA, nie ON! Tak, już jej tu nie ma, ale ty jesteś grubiański! Gadaj, co znowu kombinujesz?

- Co kombinuję? - spytał Paul nadąsany.

Auto ruszyło.

-Niczego nie kombinuję, chciałem tylko, żebyśmy zostali sami.

Chcę z tobą pomówić na tematy osobiste.

-Ale o czym?

-O skutkach ubocznych. Czy wiesz, że mogą pojawić się nawet wiele miesięcy po rozstaniu?

Paul wygłosił prawdziwą tyradę. Carol-Ann nie była dla Arthura odpowiednią dziewczyną, uważa, że przysporzyła mu wiele cierpień i wcale nie była go warta. Jednym słowem, nie potrafi dać mężczyźnie szczęścia. Powinien szczerze przyznać, że nie zasługiwała na to, aby się przez nią znaleźć w podobnym stanie. Od czasu rozstania z Karine jeszcze nigdy nie był tak zdruzgotany. Ale to można zrozumieć, to była Karine. Natomiast Carol-Ann...

Arthur przypomniał mu, że w czasach sławetnej Karine miał zaledwie dziewiętnaście lat i tak naprawdę nawet z nią nie flirtował. A Paul rozprawiał o niej od dwudziestu lat i tylko dlatego, że pierwszy ją poznał. Paul zaprzeczył, wcale o niej nie wspominał. „Co najmniej dwa, trzy razy w roku!” -odparował Arthur. - Ciągłe pojawia się w twoich wspomnieniach. A ja nawet nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy!”

Paul zaczął gestykulować, wyglądał na speszonego.

-Dlaczego nigdy nie chciałeś powiedzieć prawdy o tym, co was łączyło? Do diaska, mógłbyś się wreszcie przyznać, że z nią chodziłeś. A poza tym sam twierdzisz, że minęło już dwadzieścia lat, więc chyba teraz mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy.

-Paul, jesteś upierdliwy! Chyba nie tylko po to wybiegłeś jak wariat z biura i wozisz mnie po mieście, żeby rozmawiać o Karine Lowenski! A tak przy okazji, dokąd właściwie jedziemy?

-Podobno nie pamiętasz nawet, jak wygląda, ale pamiętasz jej nazwisko!

-Czy właśnie o tym chciałeś ze mną tak pilnie pomówić?

-Nie. Chcę porozmawiać o Carol-Ann.

-Ale po co? Dzisiaj mówisz o niej już po raz trzeci. Powtarzam: nie widziałem się z nią ani do siebie nie telefonowaliśmy. Jeśli tak cię to martwi, to zapewniam, że nie musisz z tego powodu wieść mnie aż do Los Angeles; właśnie minęliśmy port i jesteśmy już w South-Market. O co tu chodzi, czyżby zaprosiła cię na obiad?

-Jak w ogóle może ci przyjść do głowy, że chciałbym zjeść obiad z Carol-Ann? Nawet kiedy byliście ze sobą, nie sprawiało mi to zbyt dużej przyjemności, chociaż ty też siedziałeś przy stole.

-No więc o co w końcu chodzi? Dlaczego każesz mi zwiedzać pół miasta?

-Chcę tylko z tobą porozmawiać i żebyś ty ze mną porozmawiał.

-Ale o czym?

-O tobie!

Paul gwałtownie skręcił w lewo i wjechał na parking przed czteropiętrowym budynkiem. Fasadę domu wyłożono białymi kafelkami.

-Paul, wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale ja naprawdę spotkałem ducha!

-Arthurze, wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale ja naprawdę zabieram cię na badania!

Patrzący na przyjaciela Arthur odwrócił nagłym ruchem głowę i zobaczył napis na budynku z białymi kafelkami.

-Przywiozłeś mnie do kliniki? Naprawdę? Nie wierzysz mi?

-Ależ wierzę! A jeszcze bardziej uwierzę, jak zrobisz tomografię.

-Chcesz, żebym zrobił tomografię?

-Posłuchaj mnie w końcu, ty stary osłe. Gdybym pewnego dnia zjawiał się w biurze z facjatą gościa, który na miesiąc zaklinował się na ruchomych schodach, potem wyleciałbym wściekły, choć nigdy nie tracę panowania nad sobą, a przez okno zobaczyłbyś,

że idę chodnikiem z wyciągniętą poziomo ręką, otwieram samochód od strony nieistniejącego pasażera i, jakby tego było mało, po wejściu do samochodu gestykuję w najlepsze, jakbym do kogoś mówił, chociaż nie ma przy mnie nikogo, naprawdę nikogo, i wyjaśniałbym ze stoickim spokojem, że po prostu spotkałem ducha, to mam nadzieję, że ty też byś się zmartwił, tak jak ja teraz martwię się o ciebie.

Arthur spróbował się uśmiechnąć.

-Kiedy znalazłem ją w szafie, pomyślałem, że wyciąłeś mi jakiś numer.

-Teraz idziesz ze mną. Muszę się uspokoić.

Arthur pozwolił zaciągnąć się do rejestracji. Dyżurna pielęgniarka nie spuszczała z nich wzroku. Paul posadził Arthura na krzesło i kazał mu się nie ruszać z miejsca.

Traktował go jak niezbyt grzeczne dziecko, którego za nic nie można spuścić z oka. Następnie podszedł do recepcji i przywołał pielęgniarkę.

-Pilny przypadek! - rzekł.

-A jakiego typu? - zapytała pielęgniarka dość swobodnym tonem, wyraźnie kontrastującym z niepokojem i zdenerwowaniem Paula.

-Raczej typa. Siedzi tam, w fotelu.

-Pytam o rodzaj schorzenia.

-Uraz czaszki!

-Jak to się stało?

-Miłość jest ślepa, a on tą białą laską dostaje bez przerwy w łeb, więc ostatecznie musiało się to skończyć urazem!

Odpowiedź wydała jej się zabawna, choć całkowicie nie była pewna, czy wszystko dobrze zrozumiała. Ale bez umówionej wcześniej wizyty i zapisu nie może nic zrobić, bardzo jej przykro. „Proszę zaczekać, przykro pani będzie dopiero potem!”

„Sama się przekona” - dodał autorytatywnym tonem i zapytał, czy to klinika doktora Bresnika. Potwierdziła skinieniem głowy. Wtedy wyjaśnił lekko podniesionym głosem, że sześćdziesięciu pracowników jego firmy architektonicznej przeprowadza każdego roku kontrolne badania właśnie w tej klinice, rodzi tu dzieci, przyprowadza je na szczepienia, na leczenie kataru, grypy, anginy i innych tego typu świństw.

Nawet nie przerwał, by złapać oddech, i dodał, że wszyscy ci sympatyczni pacjenci, a jednocześnie klienci tej placówki medycznej, są ślepo zapatrzeni w swoich chlebodawców: jednego z nich ma przed sobą, a drugi siedzi na fotelu z niepewną miną.

- A więc, droga pani, albo ten doktor natychmiast zajmie się moim współnikiem, albo obiecuję, że żaden z naszych współpracowników nie przestąpi progu tej pompacyjnej kliniki, nawet gdyby miał wrzód na tyłku!

Nie minęła nawet godzina, kiedy Arthur, z nieodstępującym go na krok Paulem, został poddany kompleksowym badaniom. Najpierw musiał przez dwadzieścia minut pedałować na rowerku, oblepiony na piersiach elektrodami, aby lekarz mógł mieć wynik elektrokardiogramu wysiłkowego, potem pobrano mu krew (Paul wolał wyjść z gabinetu). Następnie lekarz przeprowadził kilka testów neurologicznych (Arthur musiał podnosić nogę z otwartymi lub zamkniętymi oczami, młoteczką uderzano go w łokcie, kolana i brodę, a nawet igłą drapano w stopę). W końcu, na wyraźne żądanie Paula, zgodzono się wykonać tomografię. Pomieszczenie przedzielała szklana ściana. Z jednej strony stała pokaźna robiąca wrażenie cylindryczna maszyna, wewnątrz której kładziono pacjenta (dlatego tak często urządzenie to nazywane jest sarkofagiem). Po drugiej stronie była sala techniczna, wypełniona pulpitemi i

monitorami, połączonymi ze sobą pękami czarnych kabli. Arthura położono na przykrytej białym prześcieradłem wąskiej platformie; głowę i biodra przymocowano pasami. Doktor nacisnął guzik i platforma wjechała do wnętrza aparatu. Między ciałem pacjenta a ścianą tuby było zaledwie kilka centymetrów wolnej przestrzeni, Arthur nie mógł więc wykonywać żadnych ruchów. Lekarz uprzedził go, że może doznać uczucia głębokiej klaustrofobii.

Był zupełnie sam w trakcie tego badania, ale przez cały czas mógł rozmawiać z Paulem i lekarzem, którzy znajdowali się po drugiej stronie szklanej ściany. Nisza, w której leżał, wyposażona była w dwa niewielkie głośniki, dzięki nim mógł porozumiewać się z salą kontrolną. Przez naciśnięcie małej plastikowej gruszki, którą wsunęto mu w dłoń, mógł uruchomić mikrofon. Gdy zamknięto drzwi, maszyna zaczęła emitować przejmujące dźwięki.

- Czy to badanie można jakoś wytrzymać? - zapytał Paul, rozbawiony.

Operator odparł, że jest to dosyć nieprzyjemne. Cierpiący na klaustrofobię pacjenci nie wytrzymują tego i żądają przerwania całej procedury.

-To zupełnie bezbolesne, ale uczucie odosobnienia i hałas sprawiają, że system nerwowy ciężko to znosi.

-Czy można z nim rozmawiać?

Mógł porozumiewać się z przyjacielem po naciśnięciu żółtego guzika. Operator wyjaśnił, że najlepiej to zrobić, kiedy maszyna nie wydaje dźwięków, ponieważ ruchy szczęki Arthura podczas pracy aparatury mogą zniekształcić obraz.

-Zobaczy pan wewnątrz jego mózgu?

-Tak.

-I co takiego można tam odkryć?

-Różne anomalie, na przykład tętniaki...

Zadzwoił telefon, lekarz podniósł słuchawkę. Rozmawiał kilka minut, potem przeprosił Paula. Musiał na chwilę wyjść.

Poprosił, żeby Paul niczego nie dotykał, aparatura działa automatycznie, a on zaraz wróci.

Kiedy lekarz wyszedł, Paul popatrzył na przyjaciela z dziwnym uśmiechem. Zerknął na żółty guzik mikrofonu. Zawahał się chwilę, a potem przycisnął.

- Arthurze, to ja. Doktorek musiał wyjść, ale nic się nie martw, zostałem tu i wszystko mam pod kontrolą. Nie wyobrażasz sobie, ile tu jest różnych guzików. Jakbym był w kokpicie samolotu. W tej chwili ja prowadzę, bo pilot wyskoczył ze spadochronem! No to co, mój stary, będziesz teraz gadał? Mówisz, że nie chodziłeś z Karine, ale chyba się z nią przespałeś, tak czy nie?

Kiedy opuścili parking kliniki, Arthur trzymał w ręku mnóstwo kopert. Znajdujące się wewnątrz nich wyniki stwierdzały doskonały stan zdrowia ich właściciela.

-No i co, teraz mi wierzysz? - zapytał.

-Podwieź mnie do biura, a potem jedź do domu i odpocznij, jak było ustalone.

-Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy teraz, kiedy już wiesz, że nie mam guza na mózgu, wierzysz mi czy nie?

-Posłuchaj, wypocznij, prześpij się. To wszystko naprawdę może być z przemęczenia.

-To ty posłuchaj. Zatańczyłem, jak mi zagrałeś, zgodziłem się na te badania. Teraz kolej na twój taniec.

-Wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę tańczyć. Pogadamy o tym później, teraz muszę pędzić na spotkanie, wezmę taksówkę. Zadzwonię do ciebie wieczorem.

Arthur został sam. Wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku North-Point. W głębi duszy poczuł, że cała ta historia i jej bohaterka zaczynają mu się podobać, a nawet związane z tym kłopoty.

Restauracja turystyczna znajdowała się na stromej skale, schodzącej wprost do Pacyfiku. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Wiszące nad barem dwa telewizory umożliwiały jednoczesne oglądanie dwóch meczów baseballowych. Kibice robili zakłady.

Usiedli przy oknie z widokiem na zatokę. Właśnie miał zamówić cabernet-sauvignon, kiedy poczuł dreszcz; zrozumiał, że ona głaszcze go bosą stopą. Na jej twarzy pojawił się zwycięski uśmiech, oczy spoglądały uszczypliwie. Ugodzony do żywego, złapał ją za kostkę i przesunął dłoń w kierunku kolana.

- Ja też cię czuję!

-Chciałam się o tym przekonać.

-No to teraz już wiesz.

Przyjmująca zamówienie kelnerka spojrzała na niego zdumiona.

-Co takiego pan czuje?

-Nie, nic. Niczego nie czuję.

-Przecież powiedział pan przed chwilą: „Ja też cię czuję”.

Spojrzał na Lauren.

Uśmiechała się radośnie.

-Jak tak dalej pójdzie, to niedługo mnie zamkną.

-Chybaby się to panu przydało - zezłościła się kelnerka i odwróciła się na pięcie, wzruszając ramionami.

-Czy mogę złożyć zamówienie?! - zawołał.

-Przyślę panu Boba, będzie mógł się pan przekonać, czy jego także pan czuje!

Bob pojawił się po kilku minutach; wyglądał bardziej kobieco niż jego koleżanka. Arthur zamówił jajecznicę z łososiem i sok

pomidorowy z przyprawami. Tym razem zaczekał, aż kelner odejdzie, i zwrócił się do Lauren z pytaniem o jej samotność w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Bob stanął jak wryty na środku sali i z konsternacją spojrzął na mówiącego do siebie klienta. Lauren natychmiast przerwała Arthurowi w pół zdania i spytała, czy ma przy sobie telefon komórkowy. Nie widział w jej pytaniu żadnego związku, ale przytaknął ruchem głowy. „Wyjmij go i udawaj, że do kogoś telefonujesz, w przeciwnym razie naprawdę cię przymkną”. Arthur rozejrzał się dookoła i przekonał się, że siedzący obok goście przestali jeść, jakby zażenowani obecnością rozmawiającego ze sobą osobnika. Wyciągnął komórkę, udał, że dzwoni, i głośno powiedział: „Halo!” Obserwowano go jeszcze przez chwilę, ale sytuacja stawała się normalna, powrócono więc do przerwanych rozmów i posiłków. Arthur powtórzył zadane pytanie, tym razem do słuchawki. Przez pierwsze dni niewidzialność ją bawiła. Opisała mu uczucie niesamowitej wolności, jakiego doznała na początku przygody. Żadnego problemu z ubieraniem się, czesaniem, pal sześ z wyglądem, przecież i tak nikt cię nie widzi. Koniec z obowiązkami, planem dyżurów, ze staniem w kolejce, wystarczy przejść przed wszystkimi i nikomu nie przeszkadzać, nikt nie osądza twojego postępowania. Nie trzeba udawać, że jest się dyskretnym, można bez skrupowania słuchać cudzych rozmów, widzieć niewidzialne, słyszeć niesłyszalne, znaleźć się tam, gdzie normalnie nie masz prawa się znaleźć. I nikt cię nie słyszy.

- Mogłam przysiąść na brzegu biurka w Gabinetce Ovalnym i wysłuchać największych tajemnic państwowych, przycupnąć na kolanach Richardowi Gere'owi albo wziąć prysznic z Tomem Cruise'em.

Nagle niemal wszystko stało się dostępne: mogła zwiedzać muzea po godzinach zamknięcia, wchodzić na gapę do kina, spać w pałacach, latać myśliwcami, asystować przy najbardziej skomplikowanych operacjach, zakradać się do tajnych laboratoriów lub spacerować po filarach Golden Gate. Z uchem przy telefonie zapytał, czy wykorzystała którąś z tych możliwości.

-Nie, mam zawroty głowy i panicznie boję się latania samolotem. Nie potrafię przemieszczać się na duże odległości, więc Waszyngton jest za daleko. Tej nocy spałam po raz pierwszy, no to pałace nie są mi potrzebne. Co się tyczy sklepów, po co mam tam wchodzić, skoro niczego nie mogę dotknąć?

-A Richarda Gere'a i Toma Cruise'a?

-Nic z tego, jest tak samo jak w sklepach!

Zwierzyla mu się z rozbrajającą szczerością, że bycie duchem wcale nie jest zabawne. Uważała, że to raczej patetyczne. Niby wszystko jest dostępne, a jednak niemożliwe. Brakowało jej osób, które kochała. W żaden sposób nie mogła nawiązać z nimi łączności. „Ja już nie istnieję. Mogę ich widzieć, ale bardziej mnie to boli, niż cieszy. Może tak właśnie wygląda czyściec, taka wieczna samotność?”

- Wierzysz w Boga?

-Nie. W mojej sytuacji zaczyna się wątpić w to, w co się przedtem wierzyło lub nie. W duchy przecież też nie wierzyłam.

-Ja też nie - powiedział.

-Więc nie wierzysz w duchy?

-Ale ty nie jesteś duchem.

-Tak uważasz?

-Ty nie umarłaś, Lauren. Gdzieś tam bije twoje serce, a dusza żyje gdzie indziej. One się tylko na jakiś czas rozdzieliły, to

wszystko. Trzeba zrozumieć, dlaczego tak się stało, i połączyć je na nowo.

-Musisz jednak przyznać, że z takiego punktu widzenia ten rozwód jest bardzo brzemienny w konsekwencje.

Rzeczywiście, całe to zjawisko przekraczało zdolności logicznego rozumowania, ale wcale nie zamierzał poprzestać jedynie na stwierdzeniu tego faktu. Trzymając ciągle telefon przy uchu, podkreślił z naciskiem, że zamierza wszystko zrozumieć, postara się znaleźć sposób na połączenie ducha z ciałem. A przede wszystkim Lauren musi wyjść ze śpiączki, bo te dwa zjawiska są od siebie zależne.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że wykonałeś milowy krok na drodze twych badań!

Pominał milczeniem sarkazm w jej głosie. Zaproponował, żeby wrócili do domu i poszperali w Internecie. Miał zamiar odnaleźć wszystko na temat śpiączki, interesowały go badania naukowe, raporty medyczne, bibliografia, dane historyczne, relacje świadków. Zwłaszcza tych, którzy obudzili się z długiej śpiączki. „Powinniśmy ich odnaleźć i przepytąć. Ich relacje mogą okazać się bardzo ważne”.

-Po co właściwie to robisz?

-Bo nie masz innego wyboru.

-Odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy uświadamiasz sobie, jak ta sprawa może skomplikować ci życie osobiste? I ile czasu może zająć? Masz przecież swoją pracę, różne obowiązki.

-Jesteś kobietą pełną sprzeczności.

-Nieprawda, ja po prostu mocno stąпам po ziemi. Nie zauważyłeś, w jaki sposób wszyscy tu na ciebie patrzyli, kiedy przez dziesięć minut mówiłeś sam do siebie? Czy wiesz, że kiedy znowu przyjdiesz do tej restauracji, powiedzą ci, że wszystko jest już zajęte? Ludzie nie lubią odmieńców i drażni

ich, że jakiś typ przy stoliku głośno rozprawia i jeszcze gestykuluje.

-W tym mieście jest ponad tysiąc restauracji. Zawsze to daje nam możliwość wyboru.

-Arthurze, jesteś bardzo miłym i dobrym człowiekiem, ale nie masz za grosz poczucia rzeczywistości.

-Nie chciałbym zranić szanownej pani, ale w tej dziedzinie wysforowałaś się do przodu tak, że nie mam szans cię dogonić.

-Lepiej nie rzucaj słów na wiatr, Arthurze. Nie składaj obietnic bez pokrycia, nigdy nie uda ci się rozwiązać tej zagadki.

-Nigdy nie rzucam słów na wiatr. A poza tym wcale nie jestem miły.

-Nie budź we mnie niepotrzebnej nadziei. Na rozwiązanie tej sprawy zabraknie ci czasu.

-Nie znoszę robić tego w restauracji, ale widzę, że nie mam wyjścia. Przepraszam na chwilę.

Arthur udał, że zakończył rozmowę, zerknął na Lauren, włączył telefon i wystukał numer swego współnika. Podziękował za poświęcenie mu rankiem tyle czasu i za troskę. W kilku zdaniach zapewnił, że czuje się całkiem nieźle, ale rzeczywiście przeżywa kryzys wynikający z przepracowania. Tak więc i dla niego, i dla firmy lepiej będzie, jeśli nie pojawi się w pracy przez kilka dni. Podał parę informacji dotyczących bieżących spraw i zapewnił, że Maureen będzie zawsze do dyspozycji. Nie zamierza nigdzie wyjechać, jest zbyt zmęczony, będzie więc w domu i zawsze można do niego zadzwonić.

- Sama teraz widzisz, nie mam żadnych obowiązków zawodowych, tak więc proponuję, abyśmy natychmiast rozpoczęli nasze poszukiwania.

-Nie wiem, co powiedzieć.

-Lepiej mi pomóż w zbieraniu materiałów medycznych. Jesteś przecież lekarką.

Zjawił się Bob z rachunkiem, zerkał na klienta podejrzliwie. Arthur nagle wytrzeszczył oczy, na twarzy pojawił mu się przerażający grymas, wywalił język i zerwał się na równe nogi. Bob cofnął się o krok.

- Bob, tego się po tobie nie spodziewałem. Jestem głęboko rozczarowany. Chodź, Lauren. To miejsce nie jest nas godne. Już w samochodzie wiozącym ich do domu Arthur wyjaśnił jej metodologię poszukiwań, które właśnie zamierzali rozpocząć. Wymienili uwagi, omówili szczegóły. Plan batalii był gotowy. Po powrocie do domu Arthur od razu zasiadł za biurkiem. Włączył komputer i wszedł do Internetu. Przeglądarki, te „informatyczne autostrady”, umożliwiły mu natychmiastowy dostęp do setek baz danych na interesujący go temat. Sformułował pytanie, wpisując po prostu jedno słowo „koma” w odpowiednią rubrykę, a „Web” zaproponował mu listę adresów, pod którymi można znaleźć publikacje, relacje świadków, opracowania i internetowe czaty na ten właśnie temat. Lauren uśmieła się w rogu biurka.

Na początku połączyli się z serwerem Memorial Hospital, z rubryką: Neuropatologia i traumatologia mózgu. Znaleźli tam najnowszą publikację profesora Silverstone'a na temat urazów czaszki, co pomogło im sklasyfikować różne typy śpiączki według skali z Glasgow: trzy cyfry wskazywały reakcję na bodźce wzrokowe, słuchowe i czuciowe. Przypadek Lauren odpowiadał cyfrom 1.1.2, a ich suma określała śpiączkę klasy czwartej, czyli tak zwaną komę głęboką. Inny serwer wskazał im bibliotekę informatyczną, w której znajdowały się dane statystyczne dotyczące ewolucji choroby w poszczególnych

typach śpiączki. Wynikało z nich, że jeszcze nikt nie powrócił z podróży, jeśli „jechał” właśnie tą „czwartą klasą”...

Liczne diagramy, przekroje aksonometryczne, wykresy, syntezy i źródła bibliograficzne zostały wprowadzone do pamięci komputera Arthura, a następnie wydrukowane. Zebrało się tego łącznie około siedmiuset stron wyselekcjonowanych informacji, wybranych i podzielonych na grupy tematyczne.

Arthur zamówił pizzę i dwa piwa, zatarł ręce i oświadczył, że teraz pozostało tylko czytanie. Lauren ponownie zapytała, dlaczego to wszystko robi. Odpowiedział: „Chcę spłacić dług wobec kogoś, kto w tak krótkim czasie tak wiele mnie nauczył, a przede wszystkim tego, jak może smakować szczęście. Wiesz przecież, że za marzenia trzeba płacić!” I wrócił do lektury, notując to, czego nie rozumiał, czyli praktycznie niczego. W miarę postępu prac Lauren wyjaśniała mu terminologię i sposób rozumowania lekarzy.

Do deski kreślarskiej Arthur przypiął duży arkusz papieru i zaczął wypisywać na nim wnioski i spostrzeżenia. Zebrane informacje dzielił na grupy, zakreślał je i łączył ze sobą w zależności od istniejących między nimi powiązań. Wykreślił w ten sposób gigantyczny diagram; musiał dopiąć następny arkusz, na którym zapisywał zebrane konkluzje.

Poświęcił dwie doby na próbę zrozumienia tego wszystkiego i znalezienia klucza do zagadki, którą oboje usiłowali rozwikłać. Dwie długie doby zajęło im dojście do wniosku, że śpiączka jest i jeszcze długo pozostanie, może na całe lata, ciemną strefą, w której ciało żyje, oddzielone od ożywiającego je ducha.

Wyczerpany, z zaczerwienionymi oczami, zasypiał nawet na podłodze, a Lauren, siedząc przy kreślarskiej desce, wpatrywała się w diagram, dotykając narysowanych na nim strzałek końcem

palca. Nagle zauważyła ze zdumieniem, że papier marszczy się pod jej dotykiem.

Przykucnęła obok śpiącego, potarła dłonią o dywan, a potem pogładziła nią delikatnie przedramię Arthura. Porastające je włoski uniosły się - także zareagowały na dotyk. Uśmiechnęła się radośnie, pogładziła go po włosach i ułożyła się obok, zamyślona.

Obudził się siedem godzin później. Lauren siedziała ciągle przy desce kreślarskiej.

Przetarł oczy i uśmiechnął się do niej. Natychmiast odpowiedziała mu uśmiechem.

-Byłoby ci wygodniej w łóżku, ale spałeś tak smacznie, że nie miałam odwagi cię budzić.

-Jak długo spałem?

- Kilka godzin, ale nie tyle, żeby nadrobić zaległości.

Chciał wypić kawę i wrócić do przerwanej pracy, ale ona ostudziła jego entuzjazm. Co prawda takie zaangażowanie ogromnie ją wzruszało, uważała jednak, że to stracony czas. On nie był lekarzem, a ona jest tylko internistką, nie potrafią więc rozwiązać zagadki związanej ze śpiączką.

- Co wobec tego proponujesz?

- Żebyś wypił tę swoją kawę i wziął prysznic. A potem pójdziemy do miasta. Nie możesz żyć jak pustelnik tylko dlatego, że trzymasz w domu ducha.

Postanowił wypić kawę, a później coś zdecydować. I bardzo chciałby, żeby więcej nie wyjeżdżała z tym „duchem”. Można ją porównać do wszystkiego innego, tylko nie do ducha.

Koniecznym chciała wiedzieć, co miał na myśli, mówiąc „wszystkiego innego”, ale odmówił odpowiedzi. „Powie ci coś miłego, a potem będziesz miała pretensje”.

Lauren ze zdumienia uniosła brwi i spytała, co to ma być - to „coś miłego”. Kazał jej zapomnieć wszystko, co powiedział, ale nie miał wątpliwości, że skutek będzie odwrotny. I nie pomylił się. Stała przed nim, oparła dłonie na biodrach i spytała ponaglająco:

-Co to ma być to „coś miłego”?

-Lauren, zapomnij, co powiedziałem. Nie jesteś osobą z zaświatów, to wszystko.

-No to kim jestem?

-Kobietą, śliczną kobietą. A teraz wreszcie chcę wziąć prysznic. Wyszedł z salonu, nie oglądając się za siebie. Lauren znów pogładziła dywan palcami. Wyglądała na uszczęśliwioną. Pół godziny później Arthur włożył dżinsy, gruby kaszmirowy sweter i wyszedł z łazienki. Oświadczył, że ma ochotę na porządny kawałek mięsa. Zauważyła, że jest dopiero dziesiąta rano. Odpowiedział, że w Nowym Jorku jest właśnie pora lunchu, a w Sydney je się teraz obiad.

-No tak, ale nie jesteśmy ani w Nowym Jorku, ani w Sydney. Jesteśmy w San Francisco.

-Nie zmienia to mojego apetytu na mięso.

Chciała, żeby wrócił do normalnego życia, i powiedziała mu o tym. Życie ma się tylko jedno i trzeba ten fakt wykorzystać. Nie miał prawa tak po prostu wszystkiego porzucić. Arthur uznał, że Lauren dramatyzuje. W końcu to tylko kilka wolnych dni. Ona jednak uważała, że dał się wciągnąć w niebezpieczną grę, z której na dodatek nie ma wyjścia. Słyszając to, wybuchnęła:

- To cudowne słyszeć coś takiego z ust lekarza! Zawsze myślałem, że przeznaczenie nie istnieje, że dopóki jest jakaś forma życia, jest także nadzieja i wszystko może się zdarzyć. Dlaczego właśnie ja wierzę w to bardziej niż ty?

Bo ona była lekarzem, nie on, dlatego musiała trzeźwo ocenić sytuację. Uważała, że tracą czas, jego czas.

- Arthurze, nie powinienes się do mnie przywiązywać, ja nie mam nic do zaoferowania, nie mogę niczego ci dać, niczego z tobą dzielić. Nawet głupiej kawy nie mogę ci zrobić!

- A niech to szlag! Skoro nie możesz parzyć mi kawy, to rzeczywiście nie ma dla nas przyszłości. Ja się do ciebie nie przywiązuję, Lauren, ani do ciebie, ani do nikogo innego. Nie prosiłem o dziewczynę w szafie, ale ty po prostu się tam znalazłaś. Takie jest życie, tak czasem bywa. Nikt cię nie słyszy, nie widzi i nie może się z tobą porozumieć.

To prawda - kontynuował - że zajmowanie się jej sprawą jest ryzykowne dla nich obojga, zwłaszcza dla niej, bo budzi, być może, płonne nadzieje. A także dla niego, bo pochłonie to bardzo dużo czasu i wprowadzi cholerny zamęt w jego dotychczasowym życiu. Ale życie jest właśnie takie i nic nie można na to poradzić. Nie miał wyboru. Była tu, przy nim, w jego (a także w jej) mieszkaniu, znalazła się w kłopotliwej sytuacji, więc się nią zaopiekował. „Tak się postępuje w cywilizowanym świecie, nawet jeśli pociąga to za sobą pewne ryzyko”. Uważał, że danie dolara kloszardowi przed supermarketem nie jest żadnym szlachetnym gestem, bo, prócz dolara, to nic nie kosztuje. „Tylko ten, kto sam mało posiada, a jednak się tym dzieli z innymi, daje naprawdę”. Niewiele o nim wiedziała, niech więc się dowie, że jest konsekwentny i ma zamiar doprowadzić całą sprawę do końca.

Prosił, by nie protestowała. Nalegał, mówiąc, że to jedyna rzecz z realnego życia, która jej pozostała: mogła przyjąć jego pomoc. Miała rację, uważając, że nie przemyślał całej sprawy, zanim się w nią zaangażował. Bo nie przemyślał. „Widzisz, kiedy robisz

chłodne kalkulacje, analizujesz wszystkie za i przeciw, to właśnie na tym upływa ci życie i nic się w nim nie dzieje".

- Jeszcze zupełnie nie wiem, jak, ale wyciągniemy cię z tego.

Gdybyś naprawdę miała umrzeć, już by się to stało. A ja zjawilem się chyba właśnie po to, aby do tego nie dopuścić.

W końcu poprosił, żeby zaakceptowała jego propozycję, jeśli nawet nie dla siebie samej, to przynajmniej dla tych, których za kilka lat będzie leczyć.

- Wiesz co, mógłbyś być adwokatem.

-Mógłbym być lekarzem.

-To dlaczego nim nie jesteś?

-Bo moja mama zbyt wcześnie umarła.

-Ile miałaś wtedy lat?

-O wiele za mało, ale wolałbym nie poruszać tego tematu.

-Dlaczego nie chcesz o tym mówić?

Przypomniał jej, że jest internistką, nie psychoanalitykiem. Nie chciał o tym mówić, bo było to zbyt bolesne; wspomnienie matki wywoływało w nim smutek. „Przeszłość jest, jaka jest, i nie da się tego zmienić”. Kierował firmą architektoniczną i to dawało mu wiele satysfakcji.

-Lubię to, co robię, i ludzi, z którymi pracuję.

-To twój tajemniczy ogród?

-Nie, w ogrodzie nie ma nic z tajemnicy. To jest dar. Tylko nie nalegaj, to należy wyłącznie do mnie.

Matkę stracił, gdy był małym chłopcem, a ojca jeszcze wcześniej. Jak długo mogli, dawali mu z siebie wszystko, co najlepsze. Takie było jego życie, ze wszystkimi dobrymi i złymi stronami.

-Ciągle mam wilczy apetyt. Więc chociaż nie jesteśmy w Sydney, zrobię sobie przynajmniej jajecznicę na bekonie.

-Kto cię wychowywał po śmierci rodziców?

-Czy ty przypadkiem nie jesteś uparta?
-Nic a nic.
-W tej historii nie ma nic ciekawego. Zostawmy to, na głowie mamy ważniejsze sprawy.
-Ale mnie to interesuje.
-Co cię tak interesuje?
-Coś musiało się wydarzyć, skoro jesteś do tego zdolny.
-Zdolny? Do czego?
-Do tego, że nagle rzucasz wszystko, żeby zająć się cieniem kobiety, której nie znasz. I nawet nie robisz tego dla seksu. No więc bardzo mnie to intryguje.
-Nie poddawaj mnie tu psychoanalizie, bo ani tego nie potrzebuję, ani nie mam na to ochoty. Tu nie ma strefy cienia, rozumiesz? Jest tylko przeszłość, coś bardzo konkretnego i definitywnego, bo to już przeszłość.
-Więc nie mam prawa cię poznać?
-Ależ tak, masz prawo, jasne, że masz, ale teraz chcesz poznać moją przeszłość, nie mnie.
-Czy tak trudno ją zrozumieć?
-Nie, ale to moja prywatna sfera intymności. Zresztą moja historia wcale nie jest wesoła, jest za to długa. A teraz zajmujemy się zupełnie czymś innym.
-Przecież nie spieszymy się na pociąg. Przez pełne dwie doby zajmowaliśmy się tylko śpiączką, więc teraz możemy zrobić sobie przerwę.
-Wiesz co, to ty powinnaś zostać adwokatem!
-Ale jestem lekarzem! Odpowiedz mi, proszę!
Wymówił się pracą. Nie ma teraz czasu na opowiadania. Bez słowa zjadł jajka, wstawił talerz do zlewu i usiadł przy biurku. Lauren siedziała na kanapie, odwrócił się w jej stronę.
-Miałeś dużo kobiet? - spytała, nie podnosząc głowy.

-Kiedy się kocha, to się nie liczy!

-I twierdzisz, że nie potrzebujesz psychoanalityka! A dużo było tych, które „się liczy”?

-A jak z tym było u ciebie?

-Ale to ja zadałam pytanie.

Odpowiedział, że trzy razy był naprawdę zakochany, raz -kiedy był nastolatkiem, drugi raz - we wczesnej młodości, i po raz trzeci - jako „trochę starszy młody mężczyzna”. Właśnie wtedy stawał się dorosły; gdyby był bardziej dojrzały, pewnie do tej pory by się nie rozstali. Uznała, że odpowiedź jest „fair play”, ale od razu chciała wiedzieć, dlaczego im się nie udało. Sądził, że był zbyt bezkompromisowy. „Zaborczy?” - zapytała, ale upierał się przy słowie „bezkompromisowy”.

- Matka karmiła mnie historiami o idealnej miłości. To ciężkie kalectwo żyć ideałami.

-Dlaczego?

-Bo bardzo wysoko stawia się poprzeczkę.

-Temu komuś?

-Nie, sobie samemu.

Koniecznienie chciała, żeby rozwinął temat, ale usiłował się wykręcić. Bał się, że wyda się staroświecki i nieco śmieszny. Ale ona nie miała zamiaru rezygnować. Widząc, że nie uda mu się jej odwieść od interesującego ją wątku, opowiedział o pierwszym takim ideale.

- Rozpoznać szczęście, które ma się u stóp; mieć determinację i odwagę, by się po nie schylić, wziąć je w ramiona... i zatrzymać. To mądrość serca. Bez mądrości serca pozostaje tylko logika, czyli bardzo niewiele.

-A więc to ona cię zostawiła!

Arthur nie odpowiedział.

-I jeszcze nie całkiem się wyleczyłeś.

-Nie musiałem się leczyć, bo nie byłem chory.

-Nie umiałeś jej kochać?

-Nikt z nas nie jest jedynym właścicielem szczęścia. Czasem mamy szansę wydzierżawić jakąś cząstkę i stać się jego lokatorem. Wtedy należy regularnie płacić czynsz, bo szybko może nas ono eksmitować.

-To, co mówisz, napawa otuchą.

-Wszyscy boją się codzienności, jakby chodziło o jakiś fatalizm prowadzący do nudy i przyzwyczajenia. A ja w ten fatalizm nie wierzę...

-A w co wierzysz?

-Wierzę, że codzienność może być źródłem porozumienia i, zupełnie odwrotnie niż w przypadku przyzwyczajenia, można do niej wprowadzić „zbytek i banalność”, nadmiar i powszedniość.

Mówił o niezebranych owocach, które psuły się, leżąc na ziemi. O „nektarze szczęścia, który nigdy nie zostanie wypity wskutek zaniedbania, zbytnej pewności siebie czy zarozumiałstwa”.

-A ty eksperymentowałeś?

-Tak naprawdę nigdy. To tylko teoria, trzeba by sprawdzić ją w praktyce. Wierzę w rozwijającą się namiętność.

Dla Arthura nic nie było bardziej oczywiste i pełne niż para krocząca razem przez czas i życie, akceptująca fakt, że kiedyś czułość i porozumienie zastąpią namiętność. Ale jak to osiągnąć, skoro się dąży do absolutu? Uważał, że nie jest błędem zachowanie w sobie cząstki dziecka i marzeń.

-W końcu zawsze stajemy się różni, ale na początku wszyscy byliśmy dziećmi. A ty też kochałeś?

-A ile znasz osób, które nie kochały? Chcesz wiedzieć, czy kocham? Nie. Tak i nie.

-Dostało ci się od życia?

-Proporcjonalnie do mojego wieku. Można powiedzieć, że całkiem sporo.

-Nie jesteś zbyt rozmowna. Kto to był?

-Jest, nie był. Wciąż żyje. Trzydzieści osiem lat, filmowiec, ładny chłoptaś, bardzo zalatany, trochę egoista... idealny facet.

-No i?

-No i tysiące lat świetlnych dzieli nas od miłości, którą opisałeś.

-No wiesz, każdy ma swój świat! Trzeba tylko zapuścić korzenie w takiej glebie, która najbardziej nam odpowiada.

-Zawsze mówisz takimi metaforami?

-Często. To sprawia, że to, co mówię, brzmi o wiele ładniej. No więc jaka jest ta twoja historia?

Dzieliła cztery lata życia ze swym filmowcem, cztery lata zsywania i prucia. To historia, w której aktorzy wiele razy zbliżali się do siebie, a potem oddalali, jakby dramaturgia chciała dodać kolejny wymiar egzystencji. Uważała ten związek za egotyczny i niezbyt interesujący, podtrzymywany głównie przez fascynację ciał. „Jesteś bardzo zmysłowa?” - chciał wiedzieć. Uznała, że pytanie jest bezwstydne.

-Nie musisz odpowiadać.

-I wcale nie miałam zamiaru! W końcu to on zerwał, na dwa miesiące przed wypadkiem. Tym lepiej dla niego, teraz przynajmniej nie musi czuć się za nic odpowiedzialny.

-Nie żal ci?

-Teraz nie, żałowałam w chwili zerwania. Dzisiaj już wiem, że jedną z podstawowych zasad bycia we dwoje jest hojność dawania.

Przeżyła przynależną jej dawkę przygód miłosnych, które zawsze kończą się z tych samych powodów. Niektórzy tracą swe ideały w miarę upływu lat, ale z Lauren stało się wręcz odwrotnie. Im więcej przybywało jej lat, tym większą była

idealistką. „Powtarzam sobie, że aby móc dzielić z kimś kawałek życia, trzeba samemu przestać wierzyć i sprawić, aby ten ktoś zaczął wierzyć, że oto zaczyna się między nami coś ważnego, chyba że nie jest się jeszcze gotowym do dawania. Nie można dotykać szczęścia koniuszkami palców. Albo dajesz, albo bierzesz. Ja zawsze najpierw daję, zanim coś wezmę, ale definitywnie postawiłam krzyżyk na egoistach, facetach skomplikowanych i takich, którzy wkładają zbyt mało serca w urzeczywistnienie swoich marzeń i pragnień". Doszła do wniosku, że nadszedł czas na szczerą rozmowę z samym sobą i sprecyzowanie, czego tak naprawdę oczekuje się od życia. Arthur uznał jej wypowiedź za zbyt porywczą. „Stanowczo za długo dawałam się uwodzić temu, co było zaprzeczeniem moich marzeń. Przebywałam na antypodach tego, co pomogłoby mi rozwinąć skrzydła" - odpowiedziała.

Miała ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza, wyszli więc z domu. Arthur zaprowadził ją na Ocean Drive.

- Lubię być nad wodą - powiedział, chcąc przerwać przedłużające się milczenie.

Lauren, zapatrzona w horyzont, nie od razu odpowiedziała.

Wzięta Arthura pod ramię.

-Co takiego przytrafiło ci się w życiu? - spytała.

-Skąd to pytanie?

-Bo nie jesteś taki jak inni.

-Czyżbym miał dwa nosy i to cię tak krępuje?

-Nic mnie nie krępuje, po prostu jesteś inny.

-Inny? Wcale nie czuję się inny. Inny niż kto? Albo niż co?

-Jesteś taki pogodny.

-To wada?

-Gdzie tam, wcale nie, tylko to peszy, zbija z tropi. Wydaje się, że dla ciebie nie istnieją żadne problemy.

-Zawsze szukam rozwiązania, toteż nie boję się problemów.
-Nie, to co innego.
-No proszę, znów ten OPP.
-Jaki znów OPP?
-Osobisty Podręczny Psychiatra.
-Nie musisz odpowiadać. Nie jestem Wielką Inkwizycją, ale mam prawo oceniać pewne rzeczy.
-Rozmawiamy jak stare małżeństwo. Lauren, ja nie mam nic do ukrycia, żadnej strefy cienia, tajemniczych ogrodów i traumatycznych przeżyć. Jestem, jaki jestem, pełen wad. Nie lubił siebie w jakiś szczególny sposób, ale też nie czuł do siebie niechęci. Potrafił być wolny i niezależny od schematycznych ram życia. Może to właśnie w nim wyczuwał;. „Nie należę do żadnego systemu, zawsze z tym walczyłem. Spotykam się tylko z tymi ludźmi, których lubię, chodzę tam gdzie zechcę, czytam książkę dlatego, że mi się podoba, a nie dlatego, że absolutnie wypada ją przeczytać". Robił to, na co miał ochotę, i nie zadawał sobie pytań Jak" i „dlaczego", resztą nie zaprzatając sobie głowy.
- Nie chciałabym, żebyś mną zaprzatał sobie głowę.
Na chwilę przerwali rozmowę. Weszli do mocno ogrzanej hotelowej kawiarni. Arthur pił cappuccino i chrupał ciasteczka.
- Uwielbiam to miejsce - powiedział. - Panuje tu rodzinna atmosfera, a ja lubię obserwować rodziny.
Na kanapie obok siedział może ośmioletni chłopczyk, przytulony do matki. Trzymała w ręku otwartą książkę i opowiadała mu o oglądanych wspólnie ilustracjach. Palcem lewej ręki głaskała go po policzku łagodnym ruchem, pełnym czułości. Dwa dołeczki na buzi chłopca promieniały jak dwa małe słońca. Arthur długo nie odrywał od nich oczu.
-Na co tak patrzysz? - spytała Lauren.

-Na chwilę prawdziwego szczęścia.

-Gdzie?

-Spójrz na to dziecko. Popatrz na jego buzię, jest w siódmym niebie, to jego własne niebo.

-To budzi w tobie wspomnienia?

Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się do niej. Wiedział, że chciała spytać, jak się układało między nim a jego matką.

- Mama umarła wczoraj, chociaż od tego wczoraj upłynęło już wiele lat. A wiesz, co mnie najbardziej zdumiało nazajutrz po jej odejściu? To, że domy ciągle stały na swoim miejscu, po dwóch stronach ulic, że po tych ulicach jak dawniej jeździły samochody, po chodnikach chodzili ludzie i wcale nie zdawali sobie sprawy, że właśnie zawalił się cały mój świat. Ja o tym dobrze wiedziałem, bo moje życie zmieniło się w pustkę, niczym prześwietlona klisza. Nagle miasto stało się ciche, nie słysząc było żadnego dźwięku, jakby wszystkie gwiazdy spadły na łeb na szyję albo po prostu zgasły. W dzień jej śmierci, przysięgam ci, pszczoły nie wyleciały z ula, ani jedna z nich nie fruwała po rozarium, zupełnie jakby i one wiedziały. Jakżebym chciał, choćby na pięć minut, znowu być małym chłopcem, tulonym w jej ramionach i kołysanym dźwiękiem jej głosu! Poczuć znowu to drżenie wzdłuż pleców, kiedy prowadziła mnie bezpiecznie od porannych przebudzeń do wieczornego zaśnięcia, głaszcząc mi palcem podbródek. Nic złego nie mogło mi się wtedy przytrafić; nie obchodziła mnie złośliwość wielkiego Steve'a Hacchenbacha ani wrzaski profesora Mortona, że nie nauczyłem się lekcji, ani wstrętne zapachy dochodzące ze stołówek. Usiłuję ci wytłumaczyć, dlaczego, jak to określiłaś, jestem „pogodny”. Bo w życiu nie można przeżyć wszystkiego, trzeba więc przeżyć to, co najważniejsze, tę „esencję” życia. I każdy z nas ma tę swoją własną, prywatną esencję.

-Chciałabym, żeby wysłuchały cię niebiosy i pomyślały też o mnie, bo moja esencja jest jeszcze ciągle przede mną.

-Właśnie dlatego nie możemy z niej zrezygnować. Trzeba wracać do domu i wziąć się do roboty.

Arthur zapłacił rachunek i udali się w stronę parkingu. Kiedy doszli do samochodu, Lauren pocałowała go w policzek.

„Dziękuję za wszystko” - szepnęła. Arthur uśmiechnął się, poczerwieniał i bez słowa otworzył drzwi auta.

Arthur spędził prawie trzy tygodnie w bibliotece miejskiej - ogromnym neogotyckim gmazysku wzniesionym na początku stulecia, gdzie w dziesiątkach sal pod majestatycznymi sklepieniami panuje swoista atmosfera, nieporównywalna z innymi miejscami. W salach gromadzących miejskie archiwa można często spotkać przedstawicieli najwyższych klas społecznych San Francisco, gawędzących swobodnie z nawróconymi na właściwą drogę hippisami, opowiadających sobie anegdotki i wymieniających poglądy na temat historii miasta. Arthura przypisano do sali numer 27, gdzie znajdowały się książki medyczne. Zajmował miejsce w rzędzie 48, tuż obok dzieł z dziedziny neurologii. W ciągu kilku zaledwie dni pochłonął tysiące stron na temat śpiączki, utraty przytomności i urazów czaszki. Lektura pozwoliła mu lepiej zrozumieć sytuację i stan Lauren, ale żadne z opracowań nie przybliżyło go do rozwiązania problemu. Zamykając jedną książkę, miał niezmienną nadzieję, że druga naprowadzi go na jakiś ślad. Przychodził do biblioteki zaraz po jej otwarciu, zasiadał przy swoim stoliku z mnóstwem podręczników i zatapiał się w lekturze, jakby odrabiał zadaną lekcję. Czasami przerywał czytanie, podchodził do komputera i za pośrednictwem Internetu wysyłał pytania do największych słów medycznych.

Niektórzy odpowiadali, zaintrygowani celem jego poszukiwań. Potem wracał do stolika i znów zatapiał się w lekturze. Robił sobie przerwę na lunch, szedł do bibliotecznej kafeterii z plikiem czasopism medycznych pod pachą. Kończył pracowite dni około dwudziestej drugiej, kiedy zamykano budynek. Wieczorem zastawał w domu Lauren i przy kolacji zdawał jej relację z tego, co przeczytał. Zaczynały się długie dyskusje, podczas których zapominała, że Arthur nie jest studentem medycyny. Zdumiewała ją szybkość, z jaką przyswajał sobie terminologię medyczną. Spierali się, argumentowali, dochodzili do podobnych, a czasem różnych wniosków. Dyskusje przeciągały się do późnej nocy, niekiedy aż do kompletnego wyczerpania. Wczesnym rankiem, jedząc śniadanie, Arthur przedstawiał jej plan na kolejny dzień. Nie chciał, żeby chodziła z nim do biblioteki, twierdził, że jej obecność mogłaby go rozpraszać. I chociaż nigdy nie pozwolił sobie przy niej na okazanie najmniejszych oznak rozczarowania czy zniechęcenia, a raczej wydawał się tryskać optymizmem, to obydwójce czuli, że chyba są z góry skazani na porażkę. Pewnego piątku, trzeciego tygodnia pracy, wyszedł z biblioteki wcześniej niż zwykle. W samochodzie nastawił radio na cały regulator i słuchał muzyki Barry'ego White'a. Uśmiechnięty, ruszył z piskiem opon w kierunku California Street, aby zrobić zakupy. W bibliotece nie znalazł dziś nic odkrywczego, ale zapragnął nagle przygotować uroczystą kolację. Postanowił, że nakryje wykwintnie do stołu, zapali świece, nastawi dobrą muzykę i zaprosi Lauren do tańca. Żadnych medycznych dyskusji na dzisiaj! Zachodzące słońce spowijało zatokę niesamowitym blaskiem, kiedy zaparkował samochód przed małym wiktoriańskim domem przy Green Street. Wbiegł na schody tanecznym krokiem, wykonał kilka piruetów, zanim

udało mu się wprowadzić klucz do zamka, i obładowany paczkami wszedł do mieszkania. Nogą zamknął za sobą drzwi i pozbył się zakupów, zrzucając je na kuchenny blat.

Lauren siedziała na parapecie w salonie. Wpatrywała się w pejzaż za oknem i nawet nie odwróciła głowy w jego kierunku. Pozdrowił ją nieco ironicznym tonem. Jednak widać było, że popadła w podły nastrój, bo nagle zniknęła. Z sypialni dobiegł go jej złorzeczący głos:

-Nawet nie mogę trzasnąć porządnie drzwiami!

-Masz jakiś problem?! - zawołał.

-Odczep się ode mnie!

Arthur zdjął płaszcz, szybkim krokiem ruszył w stronę sypialni i wszedł do środka. Zobaczył, że stoi przy oknie z twarzą zakrytą dłońmi.

-Płaczesz?

-Jak mogę płakać, skoro nie mam łez?

-Jednak płaczesz! Co się stało?

-Nic. Nic a nic.

Chciał, żeby na niego spojrzała, ale odrzekła, by zostawił ją w spokoju. Podszedł do niej powoli, otoczył ramionami i delikatnie odwrócił, aby zobaczyć jej twarz. Spuściła głowę, ale podniósł ją, unosząc palcem brodę, i spojrzał prosto w oczy.

-Co ci jest?

-Chcę z tym skończyć!

-Kto z czym chce skończyć?

-Byłam rano w szpitalu, mama też tam była. Przekonali ją, że należy wykonać eutanazję.

-Co ty opowiadasz? Kto ją do tego przekonał?

Matka Lauren, jak zwykle co rano, przyszła do Memorial Hospital. Przy łóżku czekało na nią trzech lekarzy. Kiedy weszła do pokoju córki, psycholog, kobieta w średnim wieku, podeszła

do niej i poprosiła o rozmowę w cztery oczy. Wzięła panią Kline pod rękę i posadziła na krześle. Mówiła długo i przekonująco, dysponowała mnóstwem argumentów. Próbowiła przekonać panią Kline, że należy pogodzić się z tym, czego matka nie mogła zaakceptować. Lauren była tylko ciałem pozbawionym świadomości, sztucznie podtrzymywanym przy życiu z woli rodziny. Oczywiście, łatwiej jest za pomocą aparatury utrzymywać przy życiu ukochaną osobę niż pogodzić się z jej śmiercią, ale koszty takich zabiegów są zbyt wysokie dla społeczeństwa. Trzeba umieć zaakceptować nieodwracalność losu. Prawda, że to trudne, ale należy podjąć tę bolesną decyzję i nie mieć poczucia winy. Lekarze nie mogą już nic więcej zrobić. Ta decyzja nie będzie wyrazem tchórzostwa; wręcz odwrotnie, wymaga wielkiej odwagi. Doktor Clomb podkreślała wzajemne uzależnienie córki i matki i tłumaczyła tragizm takiej relacji. Pani Kline wyrwała gwałtownym ruchem rękę i energicznie potrząsała głową na znak protestu. Nie mogła i nie chciała tego zrobić. Jednak psycholog umiejętnie wyciszała emocje, zapewniając o humanitarnych i rozważnych aspektach takiej decyzji. Stosując subtelną retorykę, przekonywała, że odmowa byłaby czymś niesłychanie niesprawiedliwym, okrutnym dla niej i dla bliskich, egoistycznym i złym. Udało jej się w końcu zasiać ziarno wątpliwości. W taktowny sposób, delikatnie używała coraz mocniejszych argumentów, znalazła nawet słowa potępienia. Córka pani Kline zajmowała miejsce na oddziale intensywnej terapii, a to sprawiało, że inny pacjent nie miał szans na przeżycie, co pogrążało w rozpacz jego rodzinę. Poczucie winy wobec innych pacjentów i ich rodzin miało więc zastąpić poczucie winy wobec własnej córki. Wątpliwości stawały się coraz większe.

Lauren była obecna przy tej dyskusji, z przerażeniem obserwowała, jak powoli słabnie determinacja matki. Opór pani Kline złamał się po czterech godzinach namów i przekonywam Zalana łzami, przyznała w końcu rację lekarzom. Zgodziła się przemyśleć decyzję o eutanazji córki. Postawiła wszakże jeden warunek - prosiła, by zechcieli poczekać cztery dni, aby miała czas „upewnić się w swej decyzji”. Był czwartek, do poniedziałku nie wolno było podejmować żadnych działań. Musiała się psychicznie przygotować i uprzedzić najbliższych. Lekarze okazali pełne zrozumienie współczucie, maskując głęboką satysfakcję, że to matka rozwiąże w końcu ich problem, którego, pomimo całej wiedzy, nie udało się im rozstrzygnąć: co zrobić z istotą ludzką ani żywą, ani martwą?

Hipokrates nie przewidział, że medycyna zetknie się pewnego dnia z takimi dramatami. Lekarze wyszli z pokoju, zostawiając matkę sam na sam z córką. Pani Kline wzięła ją za rękę, przytuliła twarz do jej łona i, szlochając, błagała o wybaczenie. „Nie wytrzymam tego dłużej, córeńko. Tak bardzo chciałabym leżeć w tym łóżku zamiast ciebie”. Stojąc w drugim końcu pokoju, Lauren obserwowała matkę, sparaliżowana strachem, smutkiem, wręcz przerażeniem. Objęła ją mocno ramionami, ale ta niczego nie poczuła. A w windzie doktor Clomb gratulowała sobie sukcesu, rozmawiając z kolegami.

-Nie obawiasz się, że może zmienić zdanie? - spytał Fernstein.

-Nie, nie sędzę. A jeśli nawet, to znów z nią porozmawiam.

Lauren opuściła swoje ciało i siedzącą przy nim matkę, zostawiając je same. Nie ma cienia przesady w twierdzeniu, że krążyła potem jak duch. Następnie wróciła na swój parapet, chcąc jeszcze raz napawać się widokiem wszystkich światłał, krajobrazem, zapachami i całym tym miastem pulsującym życiem. Arthur objął ją ramionami i czule przytulił.

-Jesteś ładna nawet wtedy, gdy płaczesz. Wytrzymaj łzy, ja im w tym przeszkodzę.

-Ale jak? - spytała.

- Daj mi parę godzin na zastanowienie.

Odsunęła się od niego i znów podeszła do okna.

- I po co? - powiedziała, wpatrując się w latarnię na ulicy. -
Może tak będzie lepiej, może to oni mają rację?

Co miało znaczyć to: „Może tak będzie lepiej?” Zadała pytanie pełnym agresji tonem, ale nie otrzymała na nie żadnej odpowiedzi. Zazwyczaj tak silna, dziś się poddała. Szczerze mówiąc, żyła przecież jakby połowicznie, rujnowała życie matce i sama mówiła, że „nikt na nią nie czeka na końcu tunelu”. „Gdybym mogła się obudzić...”, jednakże takie niespodziewane odzyskanie przytomności było bardzo wątpliwe.

-Chyba nie sądzisz, że umierając ostatecznie, przyniesiesz ulgę swojej matce!

-Milutki jesteś - przerwała mu.

-A co ja takiego powiedziałem?

-Nic takiego, tylko „umierając ostatecznie” tak mi miło zabrzmiało, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

-Uważasz, że matka zdoła wypełnić sobie pustkę, którą po sobie pozostawisz? Poddajesz się, bo myślisz, że tak będzie dla niej najlepiej? I dla mnie?

-Co dla ciebie?

-To ja będę na ciebie czekał po przebudzeniu. Może jesteś niewidzialna dla innych, ale nie dla mnie.

-Oświadczasz mi się?

Zabrzmiało to jak szyderstwo.

-Nie jesteś zbyt uprzejma - rzekł oschle.

-No więc po co to wszystko robisz? - zaatakowała.

-A ty dlaczego mnie atakujesz i jesteś tak agresywna?

-Po co właściwie tu jesteś, tak blisko mnie, i po co się tak poświęcasz?! - krzyknęła. - Co ci chodzi po głowie, może zbzikowałeś? Jaki masz w tym cel?!

-No, teraz jesteś wyjątkowo złośliwa!

-Więc mi odpowiedz, tylko szczerze!

-Usiądź koło mnie i uspokój się wreszcie. Opowiem ci pewną prawdziwą historię, a wtedy zrozumiesz. Kiedyś, niedaleko Carmelu, odbywało się u nas przyjęcie. Miałem wtedy najwyżej siedem lat...

I Arthur opowiedział jej historię, którą przekazał mu stary przyjaciel rodziców, uczestniczący w tym właśnie przyjęciu. Doktor Miller był wybitnym chirurgiem okulistą. Tego wieczoru dziwnie się zachowywał, sprawiał wrażenie przejętego i onieśmielonego, a to nie było do niego podobne. Matka Arthura zaniepokoiła się i spytała, co mu się stało. Wtedy właśnie opowiedział tę historię. Dwa tygodnie wcześniej operował małą dziewczynkę, niewidomą od urodzenia. Nie wiedziała, jak wygląda, nie rozumiała, czym jest niebo, nie знаła ani kolorów, ani nawet twarzy swojej matki. Cały zewnętrzny świat był dla niej wielką niewiadomą, a mózg nigdy nie przyswoił żadnego obrazu. Przez całe życie odgadywała kształty i kontury rzeczy, nie mogła jednak wytworzyć obrazu tego, o czym opowiadały jej ręce.

I właśnie Coco, jak nazywali doktora bliscy przyjaciele, zdecydował się przeprowadzić tę „niewykonalną” operację, stawiając wszystko na jedną kartę. Tego ranka, w dniu przyjęcia, wszedł zupełnie sam do pokoju małej i zaczął zdejmować jej bandaż.

-Zanim skończę zdejmować opatrunek, zaczniesz coś widzieć. Przygotuj się.

-A co zobaczę? - spytała dziewczynka.

-Już ci to tłumaczyłem, zobaczysz światło.

-Ale co to jest światło?

-To życie. Zaczekaj jeszcze chwilę...

I tak jak obiecał, kilka chwil później światło dnia dotarło do jej oczu. Weszło przez źrenicę, szybsze niż rzeka zrywająca tamę, z wielką prędkością przekroczyło soczewki i wprowadziło do dna każdego oka miliardy informacji, które ze sobą przyniosło.

Stymulowane po raz pierwszy od narodzin dziecka, miliony komórek rozpoczęły nowe życie, wywołując niezwykle złożoną, a zarazem cudowną reakcję chemiczną, która spowodowała przetworzenie dostarczonych informacji w obrazy. Impulsy natychmiast przedostały się do mózgu nerwami wzrokowymi, obudzonymi z długiego snu. W ułamku sekundy mózg rozszyfrował wszystkie dostarczone mu dane, przetworzył w ożywione obrazy, a innym organom nakazał rozumieć je i przyswoić. Najstarszy, najbardziej złożony, a zarazem najmniejszy na świecie procesor graficzny zaczął prawidłowo działać.

Dziewczynka była niecierpliwa i przerażona zarazem. Chwyliła rękę Coco i powiedziała: „Zaczekaj, bardzo się boję”. Zrobił przerwę, przytulił ją do siebie i kolejny raz opowiedział jej, co się stanie, kiedy skończy zdejmowanie bandażu. Dotrze do niej tysiące nowych informacji, które będzie musiała przyswoić, zrozumieć i porównać z tym wszystkim, co do tej pory tworzyła jedynie jej wyobraźnia. A potem powrócił do usuwania opatrunków.

Kiedy w końcu otworzyła oczy, najpierw przyjrzała się swoim dłoniom; obróciła nimi jak kukiełkami. Potem zaczęła się uśmiechać, śmiać się i płakać, nie mogąc oderwać wzroku od swych dziesięciu palców, jakby chciała nimi przepędzić

wszystko, co realne, a co ją najprawdopodobniej przerażało. Następnie wzrok jej spoczął na lalce, tej formie uszytej z gałganków, towarzyszących jej przez wszystkie pogrążone w mroku dnie i noce.

W drugim kącie pokoju otworzyły się drzwi, matka dziewczynki weszła bez słowa. Mała podniosła głowę i patrzyła na nią uważnie przez kilka chwil. Jeszcze nigdy jej nie widziała! A jednak gdy kobieta znalazła się blisko niej, wyraz twarzy dziewczynki natychmiast się zmienił. W ciągu ułamka sekundy stał się buzią każdej małej dziewczynki, rozpościerającej szeroko ręce i bez najmniejszego wahania wołającej do „nieznajomej” pani: „Mamusiu!”

- Gdy Coco skończył swoją opowieść, zrozumiałem, że od tej pory posiadał jakąś ogromną siłę, bo wiedział, iż dokonał czegoś ogromnie ważnego. Więc pomyśl sobie po prostu, że to, co robię dla ciebie, poświęcam pamięci Coco Millera. A teraz, jeśli się już uspokoiłaś, pozwól mi się zastanowić.

Lauren nic na to nie odpowiedziała, wymruczała tylko pod nosem coś, czego nie można było zrozumieć. Arthur usiadł na kanapie i zaczął obgryzać ołówek, który znalazł na niskim stoliku. Siedział tak przez długie minuty, potem nagle zerwał się, usiadł przy biurku i zaczął coś chaotycznie notować. Zajęło mu to prawie godzinę, w tym czasie Lauren obserwowała go bacznie, niczym kocica śledząca uważnie motyla czy muchę. Przekrzywiała głowę, zaintrygowana każdym jego gestem, reagowała na każdą przerwę w pisaniu i kiedy ponownie zabierał się do pracy. Gdy skończył, zwrócił się do niej z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

-Jakie zabiegi i czynności wykonuje się z twoim ciałem w szpitalu?

-Oprócz tych związanych z toaletą?

-Chodzi mi o zabiegi medyczne.

Powiedziała, że jest podłączona do kroplówki, bo nie mogła się odżywiać w inny sposób. Zapobiegawczo wstrzykiwano jej trzy razy w tygodniu jakieś antybiotyki. Opisała, jak masowano jej biodra, łokcie, kolana i ramiona, aby nie dopuścić do powstania odleżyn. Oprócz tego sprawdzano jej stan ogólny i mierzono temperaturę. Nie była podłączona do respiratora.

- Oddycham samodzielnie i na tym polega cały ich problem. W innym przypadku mogliby po prostu wyłączyć aparaturę. To mniej więcej wszystko.

- Więc dlaczego twierdzą, że to wszystko jest takie kosztowne?
-Z powodu łóżka.

I wyjaśniła mu, dlaczego miejsce w szpitalu jest tak drogie. Nie brano tu właściwie pod uwagę typu kuracji, jakiej poddawany był poszczególne pacjent. Kalkulacja ograniczała się do dzielenia kosztów utrzymania placówki przez liczbę znajdujących się w niej łóżek i liczbę dni, w czasie których były one zajęte. Otrzymywano w ten sposób dzienny koszt hospitalizacji na poszczególnych oddziałach: neurologii, intensywnej terapii, ortopedii...

-Chyba uda się nam za jednym zamachem rozwiązać oba te problemy. Nasz i ich - oznajmił Arthur.

-Co masz na myśli?

-Zajmowałeś się już kiedyś pacjentami w takim stanie?

„Tak, ale tylko w Izbie Przyjęć, przez krótki okres, natomiast nigdy, gdy już trafiali na oddział”. „Ale umiałybyś to zrobić?”

Przypuszczała, że poradziłyby z tym sobie, zwłaszcza że w zasadzie było to zajęcie dla wykwalifikowanej pielęgniarki, chyba że przypadek okazałby się skomplikowany. „A więc umiałybyś to zrobić?”

Nie rozumiała do końca, do czego zmierzał.

-Kroplówka to coś bardzo skomplikowanego?- drążył dalej.

-W jakim sensie?

-Można ją zdobyć? Na przykład kupić w aptece?

-W szpitalnej tak.

-A w aptekach publicznych?

Zastanowiła się chwilę, a potem przytaknęła. Płyn można zrobić samemu. Należałoby kupić glukozę, antykoagulant i sól fizjologiczną i odpowiednio je wymieszać. Tak, jest to możliwe. Zresztą przebywający w domu chorzy też czasem brali kroplówki, które pielęgniarki zamawiały w aptecce centralnej.

- No to teraz muszę zadzwonić do Paula.

- Po co?

-Chodzi o ambulans.

-O jaki znowu ambulans? Co ty planujesz? Mogę się w końcu dowiedzieć?

-Porwiemy cię!

Nie od razu zrozumiała, co miał na myśli, ale zaczęła się niepokoić.

-Porwiemy cię. Nie ma ciała, nie ma eutanazji!

-Kompletnie zwariowałeś!

-Nie aż tak.

-Jak zamierzasz mnie porwać? Gdzie ukryjemy ciało? Kto będzie się nim opiekował?

-Za dużo pytań naraz!

Ona zaopiekowałaby się swoim własnym ciałem, miała przecież odpowiednie doświadczenie. Należy tylko znaleźć sposób na zdobycie płynu do kroplówki, ale z jej wypowiedzi wynikało, że nie jest to zbyt trudne. Trzeba będzie, być może, zmieniać od czasu do czasu aptekę, aby nie zwracać na siebie uwagi.

-A skąd weźmiesz recepty? - spytała.

-To część twojego pierwszego pytania: jak?

-No więc?

Ojczyz Paula był mechanikiem samochodowym, zajmował się naprawą wozów strażackich, policyjnych i ambulansów.

„Wypożyczą” karetkę, ukradną białe fartuchy, pojedą po nią do szpitala i zabiorą pod pretekstem przewozu do innej kliniki. Lauren ogarnął nerwowy śmiech: „Ale przecież to nie takie proste!”

Przypomniała mu, że do szpitala nie wchodzi się tak jak do supermarketu. Na przewóz pacjenta trzeba załatwić wiele formalności. Potrzebne jest zaświadczenie szpitala, który przejmuje opiekę nad chorym, zezwolenie na wypis pacjenta, podpisane przez lekarza prowadzącego, kartę przewozu z pogotowia wraz z listem przewozowym zawierającym dane o sposobie transportu.

- I właśnie w tym momencie wchodzisz do gry, Lauren.

Pomożesz mi przygotować wszystkie te dokumenty.

-Ależ ja nie mogę, nie potrafię niczego wziąć do ręki!

-Ale przecież wiesz, gdzie są?

-Wiem, i co z tego?

-No to ja je gwizdnę. Znasz te formularze?

-Jasne, podpisywałam je codziennie, zwłaszcza gdy miałam dyżur w Izbie Przyjęć.

Opisała, jak wyglądają. To były formularze w kolorze niebieskim, różowym i zielonym, z nagłówkiem i znakiem firmowym szpitala lub firmy przewozowej.

- Odtworzymy je - zakończył sprawę. - A teraz chodź ze mną.

Arthur wziął kurtkę i klucze. Zachowywał się jak w transie, a jego determinacja nie pozostawiała Lauren żadnego pola manewru; nie potrafiła przekonać go, jak nierealny jest ten plan. Wsiedli do samochodu, Arthur pilotem otworzył drzwi garażu i wyjechali na Green Street. Była już noc. Miasto było spokojne,

ale nie on: pędził do Memorial Hospital, jakby się paliło. Zaparkował na parkingu przed Izbą Przyjęć. Lauren zapytała go, co ma zamiar zrobić, ale tylko się uśmiechnął kącikiem ust i szepnął: „Chodź ze mną, tylko, na miłość boską, nie waż się śmiać!”

Kiedy podszedł do drzwi wejściowych, zgiął się wpół i tak „cierpiący” wszedł do środka. Dyżurna pielęgniarka spytała, co mu jest. Obrazowo opisał straszne skurcze, które złapały go w dwie godziny po posiłku. Dwa razy powtórzył, że wycięto mu kiedyś wyrostek robaczkowy, ale od tego czasu miewał już takie ataki ostrego bólu. Pielęgniarka poleciła mu położyć się na kozetce i poczekać na przyjście internisty. Siedząca na oparciu fotela Lauren nie mogła powstrzymać uśmiechu. Arthur z tak wielkim talentem odgrywał komedię, że sama zaczęła się o niego niepokoić, gdy tak wchodził, zgięty bólem, do Izby Przyjęć.

- Nawet nie wiesz, w co się pakujesz - zdążyła mu szepnąć, zanim nadszedł lekarz.

Doktor Spacek przedstawił się i poprosił chorego, by udał się z nim do jednej z sal usytuowanych wzdłuż długiego korytarza. Nie było między nimi ścian, tylko proste zasłony. Pomógł pacjentowi ułożyć się na kozetce i wypytywał o rodzaj dolegliwości. Słuchając, czytał trzymaną w ręku kartę z notatkami dyżurnej pielęgniarki. Wypytała go szczegółowo o wszystko, jak na policyjnym przesłuchaniu. Może zabrakło tylko informacji, kiedy Arthur po raz pierwszy uprawiał seks. Lekarzowi opisał potworne bóle. „W którym miejscu?” - spytał doktor. „W całym brzuchu” - odparł, dodając, że czuje się jak zbity pies. „Już wystarczy, nie przesadzaj - wyszeptwała Lauren - bo zrobisz ci zastrzyk usmierzający, zatrzymając na noc, a jutro

rano dostaniesz wlew kontrastowy z barytem, zrobią ci prześwietlenie, gastrokopię i wziernikowanie okrężnicy".

-Tylko żadnych zastrzyków! - wyrwało mu się mimo woli.

-Przecież nic nie mówiłem o zastrzykach. - Doktor Spacek podniósł głowę znad karty.

- Wiem, ale wołałem o tym uprzedzić. Nie znoszę klucia.

Lekarz zapytał, czy jest z natury człowiekiem nerwowym, co Arthur potwierdził skinieniem głowy. Rozpoczęło się badanie palpacyjne. Doktor pytał, w którym miejscu pacjent odczuwa ostrzejszy ból. Położył dłonie jedną na drugiej i naciskając raz mocniej, raz słabiej, badał brzuch chorego.

-Czy tu pana boli?

-Tak - odpowiedział po krótkim namyśle.

-A tu?

- Tu nie powinno cię boleć- wyszeptała uśmiechnięta Lauren. Arthur natychmiast zaprzeczył, w tym miejscu nic go nie bolało. I tak przeprowadziła go przez całe, długie badanie. Lekarz w końcu postawił diagnozę: bóle miały podłoże nerwowe, pacjent musi przyjmować środki rozkurczowe; otrzyma je ze szpitalnej apteki na receptę, którą zaraz dostanie. Dwa uściski dłoni, trzy „dziękuję, doktorze" i Arthur opuścił salę. Lekkim krokiem poszli długim korytarzem do oficyny. Arthur promieniał; trzymał w ręku trzy różne dokumenty, wszystkie opatrzone nagłówkiem i znakiem firmowym Memorial Hospital. Niebieski, różowy i zielony! Jeden był receptą, drugi rachunkiem, a trzeci kartą wypisu. Na tym ostatnim widniał wielki drukowany napis „Karta wypisu / Karta przeniesienia", a pod spodem, kursywą: Niepotrzebne skreślić. Arthur uśmiechał się od ucha do ucha, już dawno nie był z siebie tak zadowolony. Otoczył ramieniem kroczącą obok niego Lauren. „Mimo wszystko stanowimy całkiem niezły duet!"

Po powrocie do domu włączył komputer i włożył do skanera wszystkie trzy dokumenty, aby je skopiować. Od tej chwili mógł dysponować nieograniczoną liczbą potrzebnych papierów, w dowolnym kolorze i kształcie, opatrzonych nadrukiem i logo Memorial Hospital.

-Jesteś naprawdę bardzo sprytny- zauważyła Lauren, patrząc na wyrzucane przez maszynę druki, wszystkie z odpowiednimi napisami.

-Za godzinę zadzwonię do Paula - oznajmił.

- Ale przedtem porozmawiamy o twoim planie, Arthurze. Przyznał jej rację, musiała mu najpierw opowiedzieć, jak odbywa się transfer chorego do innego szpitala. Ona jednak nie o tym chciała z nim rozmawiać.

- To o czym?

-Arthurze, twój pomysł naprawdę mnie wzruszył. Ale wybaczyć, jest nierealny, szalony i dla ciebie za bardzo ryzykowny. Jeśli cię przyłapią, pójdiesz do więzienia. Cholera, w imię czego miałbyś się tak narażać?!

-Wiesz, dlaczego? Bo jeśli tego nie zrobimy, to chyba ty bardziej będziesz narażona! Lauren, mamy tylko cztery dni!

-Nie możesz tego zrobić, Arthurze, nie mam prawa ci na to pozwolić. Wybacz mi.

-Miałem kiedyś przyjaciółkę, która przepraszała za każde wypowiedziane zdanie. Przesadziła z tym do tego stopnia, że obawialiśmy się zaproponować jej szklankę wody ze strachu, iż zaraz zacznie nas przepraszać, że chce się jej pić.

-Arthurze! Przystań zgrywać idiotę, dobrze wiesz, co mam na myśli! Twój pomysł jest zupełnie zwariowany.

-To sytuacja jest zwariowana, Lauren! Nie mam innego wyjścia!

-A ja nie pozwolę ci tak dla mnie ryzykować!

-Lauren, zamiast zawracać mi teraz głowę i narażać na stratę czasu, powinnaś raczej pomóc. Tutaj stawką jest twoje życie.

-Musi być jakieś inne wyjście.

Ale Arthur widział tylko jeszcze jedno ewentualne rozwiązanie. Należało porozmawiać z matką Lauren i przekonać ją do zmiany powziętej decyzji, ale realizacja tego pomysłu była bardzo trudna. Nigdy nie zostali sobie przedstawieni, a więc jej zgoda na spotkanie wydawała się mało prawdopodobna. Nie zgodziłyby się spotkać z nieznanym. Mógłby podać się za bliskiego znajomego jej córki, ale Lauren wiedziała, że to się nie uda, matka znała wszystkich jej przyjaciół. Może więc mógłby spotkać ją niby przypadkiem, gdzieś, gdzie zwykła często bywać. Należało tylko zlokalizować takie miejsce.

Lauren zastanowiła się.

-Codziennie rano wyprowadza psa i idzie do Mariny - powiedziała.

-Tak, ale wtedy sam musiałbym mieć psa na smyczy.

-Dlaczego?

-Bo gdybym spacerował z samą smyczą, chybabym się natychmiast zdyskredytował w jej oczach!

-Przecież możesz po prostu tam biegać.

Ten pomysł wręcz ją zauroczył. Będzie sobie biegał wzdłuż Mariny w porze spaceru Kali, zachwyci się suczką, pogłaszcze.

Wyda się naturalne, że potem nawiąże rozmowę z jej matką.

Uznał, że można spróbować. Najlepiej nazajutrz rano.

Następnego dnia wstał bardzo wcześnie, włożył płócienne spodnie w kolorze ecru i koszulkę polo. Zanim wyszedł z mieszkania, poprosił Lauren, żeby objęła go z całej siły.

Speszyla się.

-Co cię nagle napadło? - spytała.

-Nic. Nie mam teraz czasu ci tłumaczyć. To dla psa. Podeszła do niego, objęła ramionami i westchnęła, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Doskonale - oznajmił energicznie, wyzwalając się z jej objęć. - Lecę już, bo się spóźnię.

Nawet nie zdążył powiedzieć „do widzenia”, wybiegł z mieszkania jak bomba. Słyszając trzask zamykanych drzwi, Lauren wrzusiła ramionami i westchnęła: „Bierze mnie w ramiona tylko z powodu psa!”

Gdy zaczynał spacer, Golden Gate drzemał jeszcze, otulony gęstą mgłą niczym watowaną kołdrą. Tylko jeden z wysokich szczytów czerwonego mostu wystawał ponad kłębiące się nisko chmury. Uwięzione w zatoce morze było spokojne, poranne mewy zataczały szerokie kręgi w poszukiwaniu ryb, ogromne chodniki przy nadbrzeżnym bulwarze były jeszcze mokre od rosy, a cumujące statki kołysały się łagodnie. Wokół było cicho i spokojnie, nieliczni biegacze cieszyli się powietrzem przesyconym wilgocią i świeżością porannego chłodu. Już za parę godzin nad wzgórzami Saussalito i Tiburon zawiśnie ogromne słońce i przepędzi zwisające nad mostem mgły.

Zobaczył ją z daleka, doskonale pasowała do opisu Lauren. Kali dreptała kilka kroków od niej. Pani Kline szła zatopiona we własnych myślach, można było przypuszczać, że dźwiga na barkach cały ciężar swoich trosk i zmartwień. Suczka znalazła się obok Arthura i nagle przystanąła. Wciągnęła powietrze w zaciekawione nozdrza, zbliżyła się, obwąchała dół jego spodni i zaraz potem ułożyła się na chodniku, skamłąc cichutko. Jej ogon merdał zapamiętale, drżała z zachwytu i niekłamanej radości. Arthur przyklęknął obok i pogłaskał ją delikatnie. Natychmiast zaczęła lizać mu rękę, coraz intensywniej, piszcząc i skamłąc.

Matka Lauren podeszła do nich. Na jej twarzy widać było bezbrzeżne zdumienie.

-Czy wy się znacie? - spytała.

-Czemu pani tak sądzi? - Podniósł się z klęczek.

-Bo zazwyczaj jest bardzo bojaźliwa. Nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie, a do pana najwyraźniej Ignie.

-Nie wiem, być może. Jest wprost niewiarygodnie podobna do suczki mojej przyjaciółki. Przyjaciółki bardzo mi bliskiej.

-Do kogo? - Pani Kline poczuła, że serce za chwilę rozsadzi jej pierś.

Suczka usiadła u stóp Arthura i zaczęła go łapać.

- Kali! - Starsza pani spojrzała karcąco. - Zostaw pana w spokoju!

Arthur wyciągnął rękę i przedstawił się. Kobieta zawahała się chwilę, a potem podała mu dłoń. Uważała, że suka zachowuje się co najmniej dziwnie, i przeprosiła za jej natręctwo.

-Ależ nic nie szkodzi, uwielbiam zwierzęta, a ona jest wyjątkowo miła.

-Tak, ale zazwyczaj to prawdziwa dzikuska, tymczasem teraz zachowuje się, jakby dobrze pana znała.

-Psy zawsze się do mnie garną, chyba wyczuwają, że ktoś je lubi. Ma śliczny łepiek.

-To najprawdziwszy mieszaniec, pół seter, pół labrador.

- To nie do wiary, jak ona przypomina mi suczkę Lauren!

Pani Kline zachwiała się, rysy jej twarzy stały się ostre.

-Czy pani dobrze się czuje? - spytał Arthur, biorąc ją za rękę.

-Zna pan moją córkę?

-A więc to jest pies Lauren? A pani jest jej matką?

-Znał ją pan?

-Znałem. Znałem ją bardzo dobrze, byliśmy sobie dość bliscy.

Nigdy o nim nie słyszała i chciała wiedzieć, jak się poznali. Powiedział, że jest architektem, a Lauren poznał w szpitalu. Miał drobny wypadek na motorze, a ona zszyla mu paskudną ranę. Poczuli do siebie sympatię i zaczęli się spotykać, nawet dosyć często. „Od czasu do czasu jadłem z nią lunch, gdy miała dyżur w szpitalu; czasem szliśmy razem na obiad, jeśli kończyła wcześniej dyżur”.

- Lauren nigdy nie miała czasu na lunch i zawsze wracała późno z pracy.

Nic nie odpowiedział, tylko spuścił głowę.

-W każdym razie Kali zdaje się dobrze pana znać.

-Tak mi przykro z powodu tego, co ją spotkało. Po wypadku odwiedzałem ją dosyć często.

-Nigdy tam pana nie spotkałam.

Zaproponował wspólny spacer. Szli wzdłuż zatoki i Arthur, stwierdziwszy, że dawno już nie był w szpitalu, zaryzykował pytanie o stan zdrowia Lauren. Odpowiedziała, że nic się nie zmienia i to sprawia, że jest coraz mniej nadziei na polepszenie.

Ani słowem nie wspomniała o swojej decyzji, ale opisywała stan córki w taki sposób, jakby chciała przekonać samą siebie.

Arthur milczał jakiś czas, a potem, niczym adwokat, zaczął przemówienie obrończe. „Tak naprawdę lekarze nie wiedzą nic na temat śpiączki...” „Pacjenci w komie słyszą, co się przy nich mówi...” „Niektórzy zbudzili się nawet po siedmiu latach...”

„Nie ma nic świętszego od życia, skoro więc tli się ono w ciele, poza wszelkim zrozumieniem i wbrew logice, to oznacza, że jest przecież nadzieja, nie można się poddawać”. Przywołał na pomoc nawet Boga: „Jedynie On może stanowić o życiu i śmierci”. Pani Kline zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła mu prosto w oczy.

-Pan nie spotkał mnie tutaj przypadkiem. Kim pan jest i czego pan chce?

-Ależ ja tylko spacerowałem, proszę pani. A skoro uważa pani, że nasze spotkanie nie jest dziełem przypadku, sama musi pani odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego? Nie wytresowałem psa Lauren po to, żeby do mnie podbiegł. A jednak to zrobił, choć go nie wołałem.

- Czego pan ode mnie chce? I za kogo się pan uważa, żeby w tak autorytatywny sposób wygłaszać opinie o życiu i o śmierci? Nic pan nie wie, nie rozumie, co to znaczy przebywać tam dzień w dzień, patrzeć, jak leży nieruchoma, i czekać, żeby drgnęła choć jedna rzęsa. Widzieć, że oddycha, ale z obojętną, zamkniętą dla świata twarzą.

W przypiływie wzburzenia opowiedziała mu o spędzonych przy szpitalnym łóżku dniach i nocach, podczas których mówiła do córki w szalonej nadziei, że ta ją usłyszy. Życie przestało dla niej istnieć, odkąd Lauren odeszła. Mówiła, jak czekała, sparaliżowana strachem, na telefoniczną wiadomość ze szpitala, że to już koniec. Przecież dała jej życie. Przez lata dzieciństwa budziła ją co rano, ubierała i odprowadzała do szkoły.

Wieczorami opatulą kołdrą i opowiadała bajki. Zawsze miała czas, by dzielić z nią każdą radość i każdy smutek. „Kiedy zaczęła dorastać, nauczyłam się znosić jej wybuchy złości bez powodu, dzieliłam z nią pierwsze miłosne zauroczenia, pracowałam po nocach na jej studia, razem przygotowujemy się do egzaminów. Kiedy trzeba było, umiałam się usunąć. Brakowało mi jej nawet wtedy, kiedy żyła jak wszyscy, pełniąc życia. A teraz... tego nie może pan wiedzieć. Od jej narodzin budziłam się i zasypiałam, myśląc tylko o niej...”

Pani Kline przerwała, wzruszenie i tłumione łzy nie pozwalały jej mówić. Arthur wziął ją pod rękę i zaczął przeproszać.

- Już nie mogę dłużej tego wytrzymać - odezwała się zduszonym głosem. - Proszę mi wybaczyć. Niech pan już idzie, nie powinnam była w ogóle z panem rozmawiać.

Arthur ponownie przeprosił, pogłaskał Kali i odszedł wolnym krokiem. Wsiadł do samochodu i spojrzął w lusterko; zobaczył w nim matkę Lauren. Patrzyła, jak odjeżdża. Kiedy wszedł do mieszkania, Lauren stała na niskim stoliku, starając się zachować równowagę.

- Co ty wyczyniasz?

-Trenuję.

-Właśnie widzę.

-Jak ci poszło?

Opowiedział szczegółowo o przebiegu spotkania. Był wyraźnie przygnębiony, że nie udało mu się przekonać starszej pani.

-Od początku nie miałaś żadnej szansy, ona nigdy nie zmienia zdania. Jest uparta jak osioł.

-Nie bądź taka surowa, ona przeżywa męczarnie.

-Byłbyś idealnym zięciem.

-Czy w tym stwierdzeniu tkwi jakiś podtekst?

-Żaden. Po prostu reprezentujesz typ zięcia uwielbianego przez teściowe.

-Jeśli to miał być dowcip, to średnio ci wyszedł. Poza tym zmieniasz temat.

-Masz rację, ale jedno ci powiem. Ty byłbyś wdowcem, zanimbyś się ożenił.

-Chcesz mi coś ważnego powiedzieć? W dodatku tym cierpkim tonem?

-Nie, nic nie chcę ci powiedzieć. No dobrze, teraz pójde popatrzeć na ocean, póki jeszcze mogę.

Zniknęła nagle, pozostawiając osłupiałego Arthura samego w mieszkaniu. „Co jej się, do licha, stało?” - spytał sam siebie

półgłosem. Usiadł przy biurku, włączył komputer i zaczął pisać raport. Decyzję podjął jeszcze w samochodzie, kiedy wracał z Mariny. Nie było innego rozwiązania, teraz należało szybko działać. W najbliższy poniedziałek lekarze chcą „uśpić” Lauren. Spisał listę rzeczy niezbędnych do realizacji planu. Wydrukował spis i podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Paula.

-Muszę się natychmiast z tobą zobaczyć.

-O, widzę, że wróciłeś z zaświatów na ziemię!

-To pilne, Paul. Potrzebuję twojej pomocy.

-Gdzie chcesz się spotkać?

-Wszystko mi jedno.

-To przyjedź do mnie.

Pół godziny później Paul otworzył Arthurowi drzwi mieszkania. Usiedli na kanapach w salonie.

-Co się stało?

-Musisz wyświadczyć mi przysługę, bez zadawania jakichkolwiek pytań. Chcę, żebyś mi pomógł wynieść ciało ze szpitala.

-Czy to jakaś czarna seria? Najpierw był duch, a teraz mamy zająć się trupem? Jeśli zaraz nie przestaniesz, to wkrótce dostaniesz moje zwłoki, proszę bardzo, będą do twojej dyspozycji!

-Tu nie chodzi o trupa.

-To o co? O chorego w znakomitej formie?

-Paul, nigdy nie byłem bardziej poważny. I mam mało czasu.

-I nie mogę zadawać ci pytań?

-Nie potrafiłbyś zrozumieć odpowiedzi.

-Masz mnie za głupka?

-Nie. Tylko nikt nie uwierzy w to, co teraz przeżywam.

-Może jednak dasz mi szansę.

-Chcę, żebyś pomógł mi wynieść ciało pewnej kobiety, która jest w śpiączce. Lekarze mają przeprowadzić eutanazję w poniedziałek. A ja nie mogę do tego dopuścić.

-Zakochałeś się w kobiecie, która jest w śpiączce? Czy to ta historia z duchem?

Arthur mruknął tylko: „Aha”. Paul zamyślił się głęboko, z głową odchylną na oparciu kanapy.

-Za takie coś psychoanalityk weźmie od ciebie jak nic po dwa tysiące dolców za seans. Zastanowiłeś się chociaż? Jesteś naprawdę zdecydowany?

-Na pewno to zrobię. Z tobą czy bez ciebie.

-Wiesz co, masz talent do prostych spraw!

-Nie musisz tego robić. Chyba wiesz.

-Wiem, nie muszę. Nie dajesz znaku życia przez dwa tygodnie, potem nagle się zjawiasz, sam wyglądasz jak fantom i jak gdyby nigdy nic prosisz mnie, żebym zaryzykował dziesięć lat pudła za porwanie ciała ze szpitala. Pozostaje mi chyba tylko prosić niebiosy, żebym stał się dalajlamą. To moja jedyna szansa.

Czego potrzebujesz?

Arthur wprowadził go w swój plan i powiedział, jak Paul może mu pomóc. Najważniejsze było dostarczenie ambulansu z garażu ojczyma.

-Ach, więc jeszcze mam w to wrobić męża mojej matki! Jestem szczęśliwy, że kiedyś miałem okazję cię poznać, stary. Bo gdybym cię nie znał, jakże moje życie byłoby nudne!

-Wiem, że proszę o wiele.

-Nie, wcale tego nie wiesz! Na kiedy potrzebujesz tego wszystkiego?

Ambulans potrzebny był nazajutrz wieczorem. Zamierzał rozpocząć akcję około dwudziestej trzeciej, więc Paul powinien po niego przyjechać pół godziny wcześniej. Rano Arthur do

niego zadzwoni, żeby omówić ostatnie szczegóły. Mocno uściśnął przyjaciela i gorąco mu podziękował. Paul był wyraźnie przejęty, odprowadził przyjaciela aż do samochodu. -Jeszcze raz dzięki za wszystko- odezwał się Arthur, wychylając głowę przez okno.

-Po to ma się przyjaciół. Wiesz, pod koniec miesiąca będę, być może, musiał skorzystać z twojej pomocy. Muszę zrobić manicure pewnemu grizli w górach. Będę cię informował na bieżąco. A teraz zjeżdżaj, masz chyba jeszcze mnóstwo roboty. Kiedy samochód zniknął za skrzyżowaniem, Paul wznosił ręce do nieba i, zwracając się do Boga, wrzasnął: „Dlaczego właśnie ja?!” Przez chwilę przyglądał się milczącym gwiazdom, a ponieważ żadna odpowiedź nie nadchodziła, wzruszył ramionami i wymamrotał: „Jasne, że wiem! Bo niby dlaczego właśnie nie ja?!”

Arthur spędził resztę wieczoru, biegając po aptekach i ambulatoriach, stopniowo zapełniając bagażnik w samochodzie. Gdy już znalazł się w domu, zastał Lauren śpiącą na łóżku w sypialni, zwiniętą jak kociak. Usiadł ostrożnie na brzegu i delikatnie przesunął dłonią nad jej włosami, nie dotykając. Potem wyszeptał: „Nareszcie możesz spać. I naprawdę jesteś śliczna”.

Wstał powoli, po cichu wrócił do salonu i zasiadł przy stole kreślarskim. Gdy tylko wyszedł, Lauren otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się przewrotnie. Tymczasem Arthur zabrał się do wypełniania formularzy, które wydrukował poprzedniego dnia. Niektóre rubryki pozostawił puste, potem poskładał papiery i włożył je do teczki. Zarzucił kurtkę, wszedł do samochodu i pojechał prosto do szpitala. Zaparkował przed Izbą Przyjęć, drzwi auta zostawił niedomknięte i wśliznął się do kliniki. Kamera filmowała długi korytarz, ale jej nie zauważył. Doszedł

do wielkiej sali, przeznaczonej na jadalnię. Zatrzymał go głos dyżurnej pielęgniarki.

- Co pan tu robi?

Co tu robi? Chce zrobić niespodziankę przyjaciółce, znanej od wielu lat. Ona pracuje w tym szpitalu, może pielęgniarka przypadkiem ją zna? To Lauren Kline, lekarka.

Pielęgniarka zeszywniała. Dopiero po długiej chwili spytała:

-Chyba dawno jej pan nie widział?

-Ostatnio jakieś pół roku temu, może trochę więcej. Wyjaśnił, że jest fotoreporterem, który właśnie powrócił

z Afryki. Chciał jak najszybciej przywitać się z przyjaciółką.

„Jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Czyżby tu już nie pracowała?”

Pielęgniarka udała, że nie słyszy pytania, i poradziła, żeby poszedł do recepcji lub do rejestracji. Dodała, że jest jej bardzo przykro, ale nie znajdzie tu doktor Kline. Arthur udał

zaniepokojenie i zapytał, czy stało się coś złego. Pielęgniarka była zakłopotana. Niech idzie do recepcji, tam się wszystkiego dowie.

-Czy muszę wyjść z budynku?

-W zasadzie tak, ale nadłożyłby pan kawał drogi...

Wy tłumaczyła mu, jak może dojść do recepcji wewnętrznymi korytarzami. Kiedy dziękował jej za uprzejmość i żegnał się, na twarzy miał ciągle wyraz niepokoju. Jak tylko zniknęła mu z pola widzenia, zaczął myszkować po korytarzach, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Przez uchylone drzwi jednego z gabinetów spostrzegł wiszące na wieszaku dwa białe kitle. W kieszeni jednego z nich wyczuł stetoskop. Zwinął kitle w kłębek i wsunął pod kurtkę. Szybkim krokiem wyszedł na korytarz i, pamiętając o wskazówkach pielęgniarki, opuścił szpital głównymi drzwiami. Okrążył budynek, dotarł do samochodu przed Izbą Przyjęć i pojechał do domu. Lauren siedziała przed

komputerem. Nawet nie zaczekała, aż wejdzie do salonu, tylko od razu stwierdziła: „Naprawdę dostałeś bzika!” Nie odpowiedział, podszedł do stołu i rzucił dwa kitle.

-Wariat, kompletny wariat, a może karetka jest już w garażu?!

-Paul przyjedzie nią po mnie jutro, około wpół do jedenastej.

-Skąd je wzięłeś?

-Z twojego szpitala.

-Ale jak ty to wszystko robisz? Czy ktokolwiek mógłby cię powstrzymać, kiedy coś wbijesz sobie do głowy? Pokaż mi identyfikatory na kitlach.

Arthur rozwinął fartuchy, włożył większy z nich, odwrócił się i zrobił kilka kroków jak model na pokazie mody.

-No i jak ci się podobam?

-Gwizdnąłeś kitel Bronswicka!

-A kto to taki?

-Znakomity kardiolog. Już widzę, co się będzie działo w szpitalu! Sprawdzą każdą notatkę z dyżuru, literka po literce. Rozwieszą ostrzeżenia przed złodziejami. Szefowi ochrony nieźle się dostanie. Ten kardiolog od kitla to najbardziej zgryźliwy, kłótniwy i zadufany w sobie typ w caluteńkim szpitalu.

-Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś mnie rozpozna?

Zapewniła, że ryzyko jest niewielkie, trzeba byłoby naprawdę mieć okropnego pecha. W szpitalu odbywały się dwie zmiany ekip. Ekipy były trzy: dzienna, nocna i sobotnio-niedzielną. Nie było więc żadnego ryzyka, że natknie się nagle na kogoś z zespołu sławnego kardiologa. Poza tym nocą szpital stawał się zupełnie innym miejscem, inni byli ludzie, inna też atmosfera.

- Spójrz tylko. Mam nawet stetoskop.

- Przewieś go przez szyję!

Posłuchał.

- Wiesz, jako lekarz jesteś wprost niewiarygodnie sexy! - Jej głos zabrzmiał łagodnie i bardzo kobieco. Lekko się zarumienił. Wzięła jego dłoń i delikatnie pogłaskała po palcach. A potem podniosła na niego oczy i powiedziała miękko:

-Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz. Nikt nigdy nie był dla mnie tak troskliwy.

-I właśnie dlatego zjawił się Zorro!

Wstała. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Arthur otoczył ją ramionami, delikatnie pogłaskał po karku, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

- Jest jeszcze tyle do zrobienia - powiedział. - Muszę się zabrać do pracy.

Opuścił ręce i usiadł przy biurku. Spojrzała na niego uważnie i cichutko wróciła do sypialni, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Arthur pracował do późnej nocy, robiąc przerwy tylko na małą przekąskę. Jego palce biegały szybko po klawiaturze komputera, robił notatki, wpatrywał się w ekran, całkowicie pochłonięty pracą. Nagle usłyszał, że włączył się telewizor. „Jak to zrobiłaś?” - zdziwił się głośno. Nie odpowiedziała. Wstał, przeszedł przez salon i zajrzał do sypialni. Lauren leżała w łóżku na brzuchu. Odwróciła wzrok od ekranu i uśmiechnęła się przekornie. Posłał jej uśmiech i wrócił do klawiatury. Kiedy upewnił się, że jest pochłonięta oglądaniem filmu, wstał i podszedł do sekretrety. Wyjął z niej pudełko, postawił na biurku i długo mu się przyglądał, zanim zdecydował się je otworzyć. Pudełko, owinięte w tkaninę wyblakłą ze starości, było kwadratowe i duże, przypominało karton na buty. Wziął głęboki oddech i zdjął wieko. W środku znajdowała się paczka listów przewiązana konopnym sznurkiem. Znalazł kopertę, znacznie grubszą od innych, i otworzył ją. Wewnątrz był zapieczętowany

list i pęk starych kluczy, dużych i ciężkich. Pottrzymał je przez chwilę w rękach, jakby chciał się nimi pobawić, i uśmiechnął się. Nie przeczytał listu, wsunął go tylko do kieszeni marynarki wraz z kluczami. Wstał, schował pudełko na miejsce, wrócił do biurka i wydrukował plan działania. Wreszcie wyłączył komputer i wszedł do sypialni. Lauren siedziała w nogach łóżka, oglądając jakąś operę mydlaną. Miała rozpuszczone włosy, robiła wrażenie spokojnej i wyciszonej.

-Przygotowałem chyba wszystko, co konieczne - oznajmił.

-Spytam cię raz jeszcze: dlaczego to robisz?

-Po prostu robię. Czy zawsze musisz wszystko wiedzieć?

-Nie muszę.

Poszedł do łazienki. Słyszac szum wody, pieszczotliwie pogłaskała dywan. Pod wpływem jej dotyku naelektryzowane włókna uniosły się do góry. Arthur wyszedł z łazienki ubrany w szlafrok.

- Idę spać, jutro muszę być naprawdę w dobrej formie.

Podeszła do niego i pocałowała w czoło. „Dobranoc, do zobaczenia jutro rano” - i wyszła z pokoju.

Następny dzień toczył się zgodnie z leniwym rytmem niedzieli.

Za oknem słońce bawiło się w chowanego z chmurami.

Niewiele ze sobą rozmawiali. Spoglądała na niego od czasu do czasu, pytała, czy naprawdę jest zdecydowany prowadzić dalej tę sprawę, ale on nawet jej nie odpowiadał. Po południu poszli na spacer nad brzegiem oceanu.

- Chodźmy nad samą wodę, chciałbym ci coś powiedzieć.

Zanim zaczął mówić, objął ją ramieniem. Podeszli, jak mogli najbliżej, do miejsca, w którym fale wdzierały się na piaszczysty brzeg.

- Przyjrzyj się dobrze wszystkiemu, co nas teraz otacza: wzburzonej wodzie i ziemi, której złość oceanu wcale nie

wzrusza, panującym nad wszystkim górą, drzewom, światłu, innemu o każdej minucie dnia, zmieniającemu kolor i intensywność blasku, przelatującym nad naszymi głowami ptakom, rybam, które nie chcą dać się złapać mewom, i same polują na inne ryby. Wsłuchaj się w tę harmonię dźwięków, w szum fal, wiatru i piasku. A w środku tego niesamowitego koncertu istnieje życie i nieożywiona materia; istniejesz ty, ja i wszyscy inni ludzie. Ilu z nich dostrzeże to, co ci przed chwilą opisałem? Ilu z nich zastanawia się nad tym, że mają szczęście budzić się ze snu każdego ranka, widzieć, czuć, dotykać, słyszeć i doznawać wrażeń? Ilu z nich potrafi zapomnieć na chwilę o kłopotach i smutkach, by zachwycić się tym niesamowitym, czarownym spektaklem, który gra dla nas świat? Sądzę, że największą nieświadomością człowieka jest jego własne fizyczne istnienie. Ty jesteś tego świadoma, bo grozi ci niebezpieczeństwo i to sprawia, że jesteś kimś wyjątkowym. Dzięki temu darowi wiesz, że aby żyć, potrzebujesz innych ludzi i nie masz wyboru. Staram się odpowiedzieć ci na pytanie, które mi bezustannie zadajesz: jeśli nie podejmę ryzyka, całe to piękno, energia, ta pulsująca życiem materia, wszystko to stanie się dla ciebie niedostępne już na zawsze. Właśnie dlatego to robię, chcę spróbować przywrócić ci świat. Ta chęć nadała mojemu życiu zupełnie nowy sens. Ile jeszcze razy życie da mi szansę zrobienia czegoś równie ważnego?

Lauren nie odezwała się ani słowem, spuściła wzrok i wpatrywała się w piasek. I tak szli, tuż obok siebie, aż do samochodu.

O dziesiątej wieczorem Paul zaparkował ambulans przed domem Arthura i zadzwonił do drzwi. „Jestem gotów” - powiedział. Arthur podał mu torbę.

-Włóż ten fartuch i okulary. To neutralne szkła.

-A nie masz przypadkiem sztucznej brody?
-Wytłumacz ci wszystko po drodze. Chodź wreszcie, musimy tam przyjechać tuż przed końcem zmiany, dokładnie o jedenastej. Jedziesz z nami, Lauren, będziesz nam potrzebna.
-Mówisz do swojego ducha? - spytał Paul.
-Do kogoś, kto tu jest z nami, tylko ty go nie widzisz.
-Arthurze, czy to jakiś dowcip, czy naprawdę dostałeś bzika?
-Ani jedno, ani drugie. Tego nie można zrozumieć, więc szkoda czasu na tłumaczenia.
-Chyba byłoby najlepiej, gdybym zmienił się teraz w tabliczkę czekolady. Siedziałbym sobie spokojnie w aluminiowym opakowaniu i nie musiałbym się denerwować.
-Całkiem niezłe wyjście. No dobra, pospiesz się.
I poszli na parking, jeden przebrany za lekarza, drugi za sanitariusza.
-Twój ambulans walczył chyba na wojnie!
-Bardzo cię przepraszam, ale wziąłem to, co było, a ty jeszcze pyskujesz! Od tej chwili masz do mnie mówić napisami, jak w kinie. I to po niemiecku! Ja chyba śnię!
-Przecież żartowałem, karetka jest w porządku.
Paul usiadł za kierownicą, Arthur obok, a Lauren przycupnęła między nimi.
-I co, doktorze, włączamy syrenę i koguta?
-Czy możesz chociaż raz być poważny?
-O nie, stary, na to nie licz. Jeśli spróbuję być poważny i pomyślę, że oto siedzę w kradzionym ambulansie i jadę z moim własnym współnikiem gwizdnąć trupa ze szpitala, to z pewnością oprzytomnieję i twój cały misterny plan pójdzie do diabła. Dlatego zrobię wszystko, żeby być jak najmniej poważny; chcę trwać w przekonaniu, że przyśnił mi się sen z pogranicza koszmaru. Chociaż, wiesz co, ta afery ma swoje

dobre strony. Zawsze uważałem, że niedzielne wieczory są beznadziejnie nudne i trochę pieprzu bardzo im się przyda. Lauren parsknęła śmiechem.

-To cię naprawdę śmiesz? - zapytał Arthur.

-Skończ w końcu te numery i przestań gadać do siebie!

-Nie mówię do siebie.

-Racja, z tyłu siedzi duch! Więc przestań gadać do niego, bo mnie to okropnie denerwuje!

-To jest ona!

-Jaka znów „ona”?

-To kobieta. W dodatku słyszy wszystko, co mówisz!

-Ja też chcę ją słyszeć!

-Jedź!

-Zawsze tak się zachowujecie, gdy jesteście sami? - spytała Lauren.

-Często.

-Co często? - zdziwił się Paul.

-Nie mówiłem do ciebie.

Paul gwałtownie zatrzymał karetkę.

-Co ty znowu wyprawiasz?!

-Słuchaj, skończ z tym! Bo zaraz zwariuję!

-Ale z czym?

-Z czym, z czym - powtórzył Paul, wykrzywiając twarz. -Z tym cholernym gadaniem do siebie!

-Paul, ja naprawdę nie mówię do siebie. Rozmawiam z Lauren. Zaufaj mi, proszę!

-Arthurze, jesteś kompletnym czubkiem. Trzeba natychmiast przerwać to wariactwo, potrzebujesz pilnej pomocy.

Arthur zaczął mówić podniesionym głosem:

-Czy wszystko trzeba powtarzać ci dwa razy?! Wielkie nieba, przecież proszę tylko, żebyś mi w końcu zaufał!

-Więc natychmiast wytłumacz mi całą tę historię! Chcesz, żebym ci zaufał? To mów! Tu i teraz! - krzyczał Paul. - Zachowujesz się jak świr, wyprawiasz jakieś szaleństwa, gadasz sam do siebie, wierzysz w duchy i pakujesz mnie w jakieś niezłe bagno!

-Błagam cię, jedź już, spróbuję wszystko ci wyjaśnić. Będziesz musiał się postarać, żeby to zrozumieć.

I podczas gdy ambulans mknął przez miasto, Arthur tłumaczył przyjacielowi to, czego wytłumaczyć się nie dało. Opowiedział mu wszystko od samego początku, od spotkania w szafie po dzisiejszy wieczór.

Na chwilę zapomniał, że Lauren jest razem z nimi, mówił także o niej, o jej życiu, spojrzeniach, wątpliwościach i sile. O długich z nią rozmowach, uroku wspólnie spędzanych chwil i ostrych sprzeczkach.

Paul przerwał mu w pół słowa.

-Jeśli ona naprawdę tu jest, to wdepnąłeś w niezły bajzel, stary.

-Niby dlaczego?

-Bo to, co właśnie powiedziałeś, jest najprawdziwszym wyznaniem miłosnym.

Paul odwrócił głowę, zerknął na przyjaciela i mówił dalej, z tryumfalnym uśmiechem na twarzy:

-W każdym razie widzę, że przynajmniej ty sam wierzysz w tę historię.

-Jasne, że w nią wierzę, ale dlaczego tak mówisz?

-Bo się naprawdę zarumieniłeś. Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś się czerwienił. - I ciągnął dalej, patetycznym tonem: - O pani, której ciało mamy zamiar wykraść, jeśli jesteś tu rzeczywiście z nami, mogę przysiąc na własną głowę, że mój kumpel wpadł po uszy! Nigdy dotąd nie widziałem go w podobnym stanie.

-Zamknij się i jedź!

-Muszę chyba uwierzyć w twoje bajki, bo jesteś moim przyjacielem i nie pozostawiasz mi wyboru. Jeśli przyjaźń nie polega na tym, żeby dzielić z kimś wszystkie wariactwa, to pytam: na czym polega prawdziwa przyjaźń? No, dojechalśmy na miejsce. Oto twój szpital.

-Jak Abott i Costello! - odezwała się milcząca dotąd Lauren. Miała radosną twarz i promienne oczy.

-Co teraz robimy?

- Podjedź pod Izbę Przyjęć i zaparkuj. Włącz koguta.

Wysiedli wszyscy troje z karetki i podeszli do rejestracji, gdzie urzędowała dyżurna pielęgniarka.

- Kogo przywieźliście? - spytała.

-Nikogo, za to chcemy kogoś wam zabrać! - odpowiedział Arthur nieznoszącym sprzeciwu tonem.

-Kogo takiego?

Przedstawił się jako doktor Bronswick i oznajmił, że przyjechał zająć się swoją pacjentką, niejaką Lauren Kline, i przewieźć ją do swojej kliniki jeszcze dziś wieczorem. Pielęgniarka natychmiast poprosiła o potrzebne dokumenty. Miała złą minę, że też musieli przyjechać właśnie teraz, podczas zmiany ekip dyżurnych! To zajmie co najmniej pół godziny, a jej dyżur kończy się dokładnie za pięć minut. Arthur przeprosił za kłopot; nie mogli przyjechać wcześniej, mieli mnóstwo pacjentów.

„Mnie też jest przykro” - skwitowała pielęgniarka.

Poinformowała, że ich pacjentka leży w sali 505 na piątym piętrze. Dodała, że podpisze stosowne dokumenty i, wychodząc, zostawi je na siedzeniu karetki. Zawiadomi też o przewozie swoją zmienniczkę. A w ogóle to nie jest odpowiednia pora na transfery chorych! Arthur nie mógł się powstrzymać i zauważył, że na to nigdy nie ma odpowiedniej pory, „zawsze jest za

wcześnie albo za późno". Pomięła uwagę milczeniem i wskazała im drogę.

- Pójdę po nosze - odezwał się Paul, chcąc załagodzić sytuację. - Znajdę pana na górze, doktorze!

Pielęgniarka z naburmuszonym wyrazem twarzy zaproponowała pomoc, ale Arthur podziękował, prosząc jedynie o wyszukanie karty chorobowej Lauren i położenie jej wraz z innymi papierami na siedzeniu karetki.

-Karta zostaje tutaj, wysyła się ją pocztą. Powinien pan o tym wiedzieć. - W jej głosie pojawiło się nagłe wahanie.

-Oczywiście, że wiem - odparował natychmiast Arthur. - Chodzi mi tylko o ostatnie wyniki badań, czyli ogólny stan zdrowia pacjentki, morfologię, OB, gazometrię, hematokryt i tak dalej.

-Radzisz sobie całkiem, całkiem - zdziwiła się Lauren. -Gdzieś się tego wszystkiego nauczył?

-Oglądałem telewizję - szepnął w odpowiedzi.

Wyniki mógłby przejrzeć w pokoju, pielęgniarka zaproponowała, że pójdzie tam razem z nim. Arthur podziękował. Powinna zakończyć dyżur o wyznaczonej godzinie, a on sam da sobie radę. Jest przecież niedziela, chyba zasłużyła sobie na odpoczynek po całym dniu pracy. Właśnie zjawił się Paul z noszami, wziął przyjaciela pod rękę i prawie pociągnął korytarzem w stronę wind. Wjechali we troje na piąte piętro. Drzwi windy właśnie miały się otworzyć, kiedy Arthur zwrócił się do Lauren:

-Jak dotąd chyba całkiem nieźle nam idzie.

-Tak! - odpowiedzieli chórem Lauren i Paul.

-Do mnie mówileś? - Paul wolał się upewnić.

-Do was dwojga.

Szli korytarzem, kiedy z jednej z sal wybiegł spanikowany praktykant. Pędził w stronę wind, ale kiedy znalazł się obok

Arthura, zatrzymał się nagle, spojrział na jego kitel i złapał za ramię. „Jest pan lekarzem?” - zaskoczył Arthura pytaniem.

- Nie, no tak, tak, ale co się stało?

- Proszę za mną, mam problem w pięćset osiem. Boże

Przenajświętszy, pojawił się pan w samą porę!

Student medycyny wrócił pędem do pokoju, z którego przed chwilą wybiegł.

-I co teraz? - Arthur był bliski paniki.

-Mnie o to pytasz? - spytał Paul. Widać było, że i on jest przerażony.

-Nie ciebie! Lauren!

-Idziemy, nie ma wyjścia, pomogę ci - odpowiedziała.

-Idziemy, nie ma wyjścia - powtórzył Arthur na głos.

-Jak to, idziemy?! Nie jesteś lekarzem! Skończ z tym wariactwem, zanim kogoś uśmiercisz!

-Ona nam pomoże.

-No tak, ona nam pomoże. - Paul wznosił ręce do nieba. -Tylko dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja?!

Weszli całą trójką do pokoju 508. Stażysta stał w głowach łóżka, obok czekającej na jego polecenia pielęgniarki, i patrzył na Arthura z wyrazem przerażenia w oczach.

- Dostał arytmii serca, ma bardzo zaawansowaną cukrzycę, nie umiem sobie z tym poradzić, jestem dopiero na trzecim roku!

- No to trafił nam się lekki przypadek - mruknął Paul.

Lauren szepnęła Arthurowi do ucha:

-Urwij papierową taśmę wychodzącą z monitora badającego pracę serca i udawaj, że ją przeglądasz. Tylko trzymaj tak, żebym mogła ją obejrzeć.

-Proszę zapalić wszystkie światła! - polecił Arthur rozkazującym tonem.

Podszedł do łóżka i jednym ruchem urwał taśmę z zapisem elektrokardiogramu.

Rozwinął ją powoli i odwrócił się, mrużąc: „Dobrze widzisz?”

- To arytmia komorowa. To nie praktykant, to kompletne zero!

Arthur powtórzył słowo po słowie:

- To arytmia komorowa, a pan jest zerem!

Paul wybałuszył oczy, dłonią przetarł zroszone czoło.

-Widzę, że to arytmia komorowa, panie doktorze, tylko nie wiem, co mam z tym zrobić!

-Nic pan nie widzi, jest pan zerem! Co mam z tym zrobić! -

Zerknął w stronę Lauren.

-Spytaj, co mu już podał.

-Co pan mu już podał?

-Nic!

Odpowiedziała pielęgniarka. Z jej wyniosłego tonu można było bez trudu domyślić się jej opinii o praktykancie.

-Panie doktorze, sytuacja zrobiła się naprawdę tragiczna!

-Jest pan zerem! - powtórzył Arthur. - No, to co robimy?

-Cholera jasna, to nie czas na korepetycje, stary, przepraszam, chciałem powiedzieć: doktorze! Facet zaczął już sinieć!

Paul przytupywał ze zdenerwowania:

-Saint-Quentin, jak nic wylądujemy w Saint-Quentin - wyszeptał.

-Proszę się uspokoić, kolego - powiedział Arthur. Zwrócił się do pielęgniarki: - Proszę mu wybaczyć, jest nowy, ale tylko on był pod ręką.

-Nefryna, trzeba mu wstrzyknąć nefrynę! - zawołała Lauren. -

Dwa miligramy. Trzeba nakłuć osierdzie i tu się sprawa komplikuje, mój kochany.

-Trzeba wstrzyknąć dwa miligramy nefryny! - zdecydował Arthur.

-Najwyższy czas! Już ją przygotowałam, doktorze, czekałam tylko, aż ktoś weźmie sprawę w swoje ręce! - oznajmiła pielęgniarka.

-A potem nakłujemy osierdzie. - W głosie Arthura brzmiało ni to polecenie, ni to pytanie. - Umie pan wykonać nakłucie osierdzia? - zwrócił się do studenta.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, odezwała się Lauren:

-Pozwól to zrobić pielęgniarce, będzie szalała z radości. Żaden medyk nie chce im na to pozwolić.

-Nigdy tego nie robiłem - odparł student.

-Siostró, wobec tego daję pani wolną rękę.

-Nie, doktorze, proszę zaczynać. W innej sytuacji zrobiłabym to z wielką radością, ale teraz nie mamy czasu. Zaraz wszystko przygotuję i dziękuję za pańskie zaufanie, potrafię to docenić.

Odeszła w drugi koniec pokoju, by przygotować rurkę i igłę.

-Co mam teraz robić? - spytał Arthur zduszonym głosem. W oczach miał panikę.

-Wiejemy stąd - zawyrokował Paul. - Nie będziesz przebijał ani osierdzia, ani płuc, w ogóle niczego nie będziesz przebijał.

Zwijamy się stąd, i to galopem!

Lauren mówiła w pośpiechu:

-Ustawisz się przed nim i położysz dwa palce pod mostkiem.

Chyba wiesz, gdzie jest mostek! Będę cię prowadzić, jeśli trafisz nie w to miejsce. Igła ma być pod kątem piętnastu stopni, wprowadzisz ją stopniowo, ale zdecydowanym ruchem. Jeśli dobrze trafisz, pojawi się białawy płyn, a jeśli źle, pokaże się krew. Zwykle każdy debiutant ma szczęście, módl się, żeby z tobą też tak było. Bo jak się nie uda, tkwimy po uszy w gównie, i my, i ten leżący w łóżku facet.

-Nie mogę tego zrobić - wyszeptał.

-Nie masz wyjścia, ten facet też nie. Umrze, jeśli tego nie zrobisz.

-Nazwałaś mnie moim kochanym czy może mi się przyśniło? Lauren uśmiechnęła się. „Zaczynaj, weź głęboki oddech, zanim wsuniesz igłę”. Podeszła pielęgniarka. Wszystko było przygotowane. „Chwyć za plastikową końcówkę! Trzymam za ciebie kciuki!” Zrobił, jak mu poleciła. Ustawił igłę pod wskazanym kątem. Pielęgniarka uważnie śledziła jego ruchy. „Doskonale - szeptała Lauren. - Za bardzo pochyliłeś, teraz dobrze, wbij igłę jednym ruchem”. Igła miękko wchodziła w klatkę piersiową chorego. „Wystarczy, teraz odkręć ten mały kranik z boku rurki”. Arthur wykonał polecenie. Przez rurkę zaczął wyciekać białawy płyn. „Brawo, zrobiłeś to jak prawdziwy mistrz! - ucieszyła się. - Właśnie uratowałeś mu życie”.

Podczas całego zabiegu Paul dwa razy był bliski omdlenia. Teraz stał nieruchomo i mruczał: „Nigdy w to nie uwierz!” Serce cukrzyka, nareszcie uwolnione od uciskającego płynu, powoli odnajdywało swój normalny rytm. Pielęgniarka wylewnie podziękowała Arthurowi. „Teraz już sama się nim zajmę, doktorze” - powiedziała. Pożegnali się i wyszli na korytarz. Ale Paul nie mógł się powstrzymać. Zawrócił, wsunął głowę przez otwarte drzwi i patrząc na zdumionego stażystę, rzucił tylko jedno słowo: „Zero!”

Dogonił idącego przed nim Arthura.

-Ale narobiłeś mi strachu!

-To ona mi pomogła, wszystko mi podpowiadała - szepnął Arthur.

Paul pokręcił głową. „Zaraz się obudzę, a kiedy do ciebie zadzwonię i opowiem ci mój sen, ten koszmar, który właśnie

przeżywam, będziesz zrywał boki ze śmiechu. I już słyszę twoje kpiny".

- Chodź, stary, nie mamy czasu do stracenia – przerwał mu Arthur.

Weszli wszyscy troje do pokoju 505. Arthur odszukał kontakt. Zamigotały jarzeniówki. Podszedł do łóżka.

-Pomóż mi - zwrócił się do Paula.

-To ona?

-Nie, facet z tamtej sali. Jasne, że ona! Rozłóż nosze i postaw je wzdłuż łóżka.

-Jakbyś całe życie nie robił nic innego!

-Dobra, wsuń ręce pod jej kolana, tylko uważaj na kroplówkę. Podnosimy ją na trzy. Trzy!

Ciało Lauren znalazło się na noszach. Arthur otulił je kołdrą, zdjął ze stojaka plastikową butelkę z kroplówką i umocował nad głową leżącą.

-Koniec pierwszego etapu. Teraz szybko na dół, ale nie za prędko, żeby nie zwracać uwagi.

-Tak jest, doktorze! - odpowiedział Paul, zdenerwowany.

- Fantastycznie sobie obydwaj radzicie - szepnęła Lauren. Podeszli do windy. Z głębi korytarza dobiegło ich wołanie pielęgniarki. Arthur odwrócił się powoli.

- Tak, siostró?

-Pacjent ma się dobrze, wszystko jest w porządku. Może pomóc?

-Nie, dziękuję. Tu też wszystko jest w porządku.

-Jeszcze raz dziękuję.

-Naprawdę nie ma za co.

Drzwi windy otworzyły się i weszli do środka. Arthur i Paul jednocześnie wydali z siebie długie westchnienie.

-Trzy topmodelki, dwa tygodnie na Hawajach, Testa Rossa i jacht!

-Co tam mruczysz?

-O moim honorarium! Właśnie obliczam moje honorarium za dzisiejszy występ!

Kiedy wysiedli z windy, hall był zupełnie pusty. Pokonali go prawie biegiem. Przełożyli ciało Lauren do karetki i zajęli miejsca jak poprzednio.

Na fotelu Arthura leżały dokumenty, a wraz z nimi karteczka: Proszę zadzwonić do mnie jutro, brakuje dwóch informacji w karcie przewozowej Karen 415-725-00-00, wewnętrzny 2154. PS: życzę powodzenia.

Karetką wyjechała z parkingu Memorial Hospital.

- Okazuje się, że to nie takie trudne gwizdnąć chorego - zauważył Paul.

- Bo chyba niewiele osób to robi - odpowiedział Arthur.

-Wcale się im nie dziwię. Dokąd teraz?

-Najpierw do mojego mieszkania. A potem do miejsca, które też pogrążone jest w śpiączce. Wkrótce je razem obudzimy.

Ambulans jechał szybko Market Street i wkrótce dotarł do Van Ness. Nikt się nie odzywał.

Zgodnie z planem należało teraz pojechać do domu Arthura i przenieść ciało Lauren do samochodu. Potem Paul miał odstawić ambulans do warsztatu ojczyma, a w tym czasie Arthur powinien znieść na dół wszystkie rzeczy potrzebne do podróży i pobytu w Carmelu. Starannie opakowane leki czekały w dużej lodówce General Electric.

Kiedy podjechali pod dom, Paul uruchomił pilota, by otworzyć garaż. Ale drzwi nawet nie drgnęły.

-Jakbym oglądał kiepski kryminał - zeżlił się.

-Co się dzieje? - spytał Arthur.

-Nie wiem, ale w kiepskich kryminałach sąsiad zawsze udaje macho, podchodzi i pyta: „A cóż to za burdel?” I wszystko się udaje. Ale w naszym kryminale jest inaczej, twój pilot nie chce otworzyć garażu, siedzimy w kradzionej karetce, z tyłu leży ciało i stoimy przed twoim domem w porze, kiedy wszystkie psy będą chciały siusiać i sąsiedzi wylegną tłumnie na spacerek.

-A niech to szlag!

-Streściłeś to, co przed chwilą mówiłem.

-Dawaj pilota!

Paul podał, wruszając ramionami. Arthur naciskał nerwowo guzik, ale drzwi nadal nie chciały się otworzyć.

-A w dodatku bierze mnie za debila!

-Bateria wysiadła - skwitował Arthur.

-Jasne. Bateria. - Paul był sarkastyczny. - Większość geniuszy daje się przyskrzynić przez takie właśnie duperele.

-Lecę na górę po nową. Ty pokręć się karetką dookoła domu i wracaj.

-Módl się lepiej, żebyś znalazł chociaż jedną w tych twoich szufladach, geniuszu.

-Nie kłóć się z nim, tylko leć na górę - wtrąciła się Lauren.

Arthur wyskoczył z ambulansu i jak bomba pognał do mieszkania. Wtargnął do środka i zaczął przetrząsać wszystkie szuflady. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnej baterii.

Wyrzucił na podłogę zawartość sekretery, komody i kuchennych szafek. Tymczasem Paul po raz piąty okrążał kompleks budynków.

- Jak nie natknę się na policyjny patrol, to chyba jestem największym idiotą w mieście - mruzczał Paul, zaczynając właśnie szóste okrążenie. W tym momencie zza rogu wyjechał radiowóz. „Wyszło na to, że nie jestem idiotą, chociaż byłoby lepiej, gdybym miał wariackie papiery!”

Radiowóz zatrzymał się obok ambulansu, policjant dał ręką znak Paulowi, żeby opuścił szybę. Paul otworzył okno.

-Zabłądził pan?

-Nie, czekam na kumpla, poszedł po swoje rzeczy, a potem odstawiamy Daisy do garażu.

-A kto to jest Daisy?

-To nasz ambulans, to jego ostatni dzień. Już się wysłużył, jeżdżę nim od dziesięciu lat. Ja i on - dziesięć lat razem! Ciężko się z nim rozstać, pewnie mnie pan rozumie... Tyle wspomnień, niezły kawałek życia.

Policjant przytaknął ruchem głowy. Jasne, że rozumiał, ale poprosił, żeby Paul nie kręcił się zbyt długo po okolicy.

Ryzykuje, że mieszkańcy wezwą policję. W tej dzielnicy ludzie są wścibscy i nieufni. „Wiem, sam tu mieszkam, panie władzo. Zaraz zejdzie mój kolega i znikamy. Dobranoc!” Policjant też życzył mu spokojnej nocy i radiowóz odjechał. Siedzący za kierownicą policjant założył się ze swym kolegą o dziesięć dolarów, że facet z karetki na nikogo nie czeka.

- On tylko nie może się rozstać z tym wrakiem. Dziesięć lat! Musi mu być żal.

- Pewnie. Ale tacy jak on manifestują pod ratuszem i krzyczą, że rząd nie daje im nowych wozów.

-No, ale dziesięć lat razem... To jak członek rodziny.

-Jak rodzina... Jasne, że się można przywiązać.

Mieszkanie Arthura wyglądało jak pobożowisko. Nagle zatrzymał się na środku salonu, jakby zbawienny pomysł przyszedł mu do głowy.

- Pilot od telewizora - odpowiedziała Lauren.

Spojrzał na nią zaskoczony, zrozumiał i chwycił czarne pudełeczko. Zerwał brutalnie tylną ściankę, wyciągnął

kwadratową baterię i natychmiast włożył ją do pilota od drzwi garażu. Podbiegł do okna i nacisnął guzik.

Paul zaczynał właśnie dziewiąte okrażenie, złorzecząc na cały świat. Nagle spostrzegł, że drzwi garażu się otwierają. Wjechał do środka, modląc się, by zamknęły się za nim szybciej, niż się otworzyły. „Miałem rację, to była bateria. Ale z niego dupek!” Tymczasem Arthur dotarł do garażu schodami.

-Wszystko gra?

-U ciebie czy u mnie? Chętnie wyprałbym z ciebie flaki!

-Lepiej mi pomóż, jest jeszcze mnóstwo roboty.

-A co ja innego robię?! Nic, tylko ci pomagam! Bardzo ostrożnie przenieśli ciało Lauren do auta. Ułożyli je na tylnym siedzeniu, okryli kocami, a butelkę z kroplówką umocowali między oparciami. Jej głowa opierała się o drzwi, z zewnątrz wyglądało to, jakby dziewczyna smacznie spała.

-Ciągle mam wrażenie, że gram główną rolę w filmie Quentina Tarantina - złorzeczył Paul. - No wiesz, sutener pozbywa się...

-Zamknij się lepiej, bo zaraz palniesz jakąś głupotę.

-A niby dlaczego, czy przez całą noc nie wyczyniamy samych głupot? Może ty odprowadzisz ambulans?

-Nie, ale ona jest tu razem z nami. Jeszcze chwila, i mógłbyś ją zranić.

Arthur poczuł na ramieniu rękę Lauren.

-Przestańcie się kłócić. Mielście obaj bardzo ciężki dzień - powiedziała łagodnym tonem.

-Masz rację. Trzeba się wziąć do roboty.

- Mam rację, kiedy nic nie mówię? - burknął Paul.

Arthur udał, że tego nie słyszy.

- Jedź teraz do warsztatu twojego ojczyma, przyjadę tam po ciebie za dziesięć minut. Teraz idę na górę po resztę rzeczy.

Paul wsiadł do karetki. Tym razem drzwi garażu otworzyły się bezzwłocznie. Wyjechał bez słowa. Na skrzyżowaniu Union Street nie zwrócił uwagi na radiowóz, który niedawno go zatrzymał.

- Przepuść go i jedź za nim! - powiedział policjant do siedzącego za kierownicą kolegi.

Ambulans skręcił w Van Ness, a tuż za nim jechał wóz patrolowy numer 627 policji miejskiej. Kiedy dziesięć minut później karetka wjechała na podwórze warsztatu, policjanci zwolnili i zawrócili. Paul nigdy się nie dowiedział, że był śledzony.

Arthur podjechał pod warsztat kwadrans później. Paul wyszedł na ulicę i wskoczył na przednie siedzenie.

-Zwiedzałeś San Francisco?

-Jechałem powoli, ze względu na nią.

-Przewidziałeś, że dojedziemy na miejsce o świcie?

-Dokładnie to przewidziałem, odpreż się wreszcie, Paul. Już prawie nam się udało. Wyświadczyłeś mi niesamowitą przysługę, dobrze o tym wiem. Nie wiem tylko, jak wyrazić swoją wdzięczność. Bardzo się narażałeś.

- Przestań i jedź w końcu. Nie cierpię podziękowań.

Samochód opuścił miasto południową drogą 280. Potem szybko skręcił na Pacifica, następnie wjechał na drogę numer 1, tę, która wiedzie wzdłuż nadbrzeżnych skał i prowadzi do zatoki Monterey i Carmelu. Właśnie tą trasą miała jechać Lauren pewnego ranka na początku lata, siedząc za kierownicą starego triumpfa.

Krajobraz był rzeczywiście niezwykły. Ostre krawędzie skał, na tle nocnego nieba, wyglądały jak czarna koronka. Niepełny, podobny do rogała księżyc wytyczał swym światłem kontury

drogi. I tak jechali, słuchając koncertu skrzypcowego Samuela Barbera.

Arthur wołał teraz oddać kierownicę Paulowi. Patrzył na krajobraz za oknem. U kresu podróży czekało na niego inne przebudzenie. Przebudzenie dawnych wspomnień, uspiionych od tyłu już lat...

Arthur studiował architekturę na uniwersytecie w San Francisco. Kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, sprzedał małe mieszkanko odziedziczone po matce i wyjechał do Europy, do Paryża, gdzie przez dwa lata kontynuował studia w szkole Camondo. Wynajął niewielkie studio przy ulicy Mazarine. To był niezapomniany okres jego życia. Potem wyjechał na rok do Florencji na kolejne studia, aby w końcu wrócić do rodzinnej Kalifornii.

Zaopatrzone w znakomite dyplomy renomowanych uczelni, bez trudu znalazł pracę w firmie Millera, znakomitego architekta w San Francisco, i tu odbył dwuletni staż. Jednocześnie pracował na pół etatu w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Właśnie tam spotkał Paula, swego przyszłego współnika, z którym dwa lata później założył firmę architektoniczną. Trafili na dobry okres, region przeżywał szybki wzrost gospodarczy, firma rozwijała się, z roku na rok zyskując coraz większą renomę. Wkrótce zatrudniali już dwadzieścia osób. Paul zajmował się stroną ekonomiczną. Arthur rysował. Projektował meble, budynki, wille, przedmioty użytkowe. Wspólna praca bardzo ich do siebie zbliżyła; każdy zajmował się swoją „działką”. W tej przyjaźni nie było miejsca na konflikty, nikt i nic nie mogło ich od siebie oddalić na dłużej niż kilka godzin.

Łączyło ich wiele wspólnego. W ten sam sposób traktowali przyjaźń, mieli w sobie tę samą radość życia i podobne dzieciństwo. Obydwaj ponieśli takie same straty.

Arthur, tak jak Paul, wychowywany był tylko przez matkę. Ojciec Paula zostawił rodzinę, gdy chłopiec miał pięć lat. Arthur miał zaledwie trzy, kiedy jego ojciec wyjechał do Europy. „Jego samolot wbił się tak wysoko, że pozostał tam, zawieszony wśród gwiazd”.

Obaj dorastali na wsi. Obaj poznali życie w internacie. Sami musieli wyrosnąć na mężczyzn.

Lilian długo nie mogła się pogodzić ze śmiercią męża, w końcu jednak przywdziała żałobę. Arthur spędził dziesięć pierwszych lat swego życia poza miastem, nad oceanem, obok urokliwego miasteczka Carmel. Lili (tym zdrobnieniem nazywał swoją matkę) posiadała tu duży dom. Zbudowany z białego drewna, stał niedaleko stromego brzegu, a otaczający go rozległy ogród schodził aż do plaży. Stary przyjaciel Lili, Antoine, mieszkał w niewielkim domku na skraju posiadłości. Był to niespełniony artysta, trochę nieudacznik, którego Lili przyjęła czy, jak powiadali sąsiedzi, „przygarnęła”. Pomagał jej w utrzymaniu parku, dbał o ogrodzenie, co rok odnawiał drewnianą fasadę domu, a wieczorami stawał się świetnym partnerem do długich rozmów. Był domownikiem, przyjacielem, a dla Arthura - wzorem mężczyzny, męskim autorytetem, którego zabrakło mu po śmierci ojca. Arthur chodził do szkoły podstawowej w Monterey. Antoine zawoził go tam każdego ranka, a około szesnastej czekała na niego matka. Te lata swego życia wspominał jako najważniejsze i najbardziej beztrudne. Najlepszą przyjaciółką była zawsze matka. Pokazała mu to wszystko, co potrafi pokochać ludzkie serce. Czasem budziła go wczesnym rankiem tylko po to, by mógł zobaczyć wschód słońca i wsłuchać się w odgłosy budzącego się dnia. Uczyła zapachów kwiatów. Pokazując liść, opowiadała o drzewie, z którego spadł. W rozległym parku, okalającym dom i

schodzącym aż do morza, odkrywała przed nim każdy najmniejszy szczegół natury, oprowadzała po uporządkowanych miejscach ogrodu i tych, w których pozwalała roślinom rosnać dziko. Wiosną buchającą soczystą zielenią i jesienią o barwie bursztynu kazała mu wymieniać nazwy ptaków zatrzymujących się na odpoczynek podczas długiej podróży i przysiadających na konarach sekwoi.

W ogrodzie warzywnym, troskliwie pielęgnowanym przez Antoine'a, zrywała z synem dojrzałe jarzyny, które wyrosły jakby w zupełnie magiczny sposób, ale „tylko te już gotowe”. Nad morzem liczyli razem fale, pieszczące nadbrzeżne skały tak łagodnie, jakby chciały przeprosić za gwałtowne ataki w innych porach roku. Przychodzili tu, by „schwytać oddech morza, jego moc i zobaczyć, w jakim jest dzisiaj nastroju”. „Morze niesie nasze spojrzenia, a ziemia - nasze stopy”. Pokazywała, jak odgadnąć pogodę z „małżeństwa” chmur i wiatru, i rzadko kiedy się myliła. Arthur znał każdą piędź ogrodu, każdy zakamarek. Mógł się po nim poruszać z zamkniętymi oczyma, a nawet tyłem. Żaden skrawek ukochanego miejsca nie był mu obcy. Każda nora miała swoją nazwę, a każdy zwierzak, który zasnął tu na zawsze - swój własny grób. Jednak przede wszystkim Lili nauczyła go kochać i przycinać róże. Rozarium było czarodziejskim zakątkiem, przepojonym tysiącem zapachów. Lili prowadziła go tam, żeby opowiadać bajki o dzieciach, które koniecznie pragnęły być dorosłe, i o dorosłych, którzy pragnęły być dziećmi. Kochała wszystkie kwiaty, ale najbardziej ukochała róże.

Pewnego wczesnego ranka na początku lata weszła do pokoju syna, przysiadła na skraju łóżka i pogładziła jego kędzierzawe włosy.

- Wstawaj, mój Arthurze. Obudź się, zabieram cię ze sobą.

Chłopczyk chwycił dłoń matki, drobną rączką ścisnął jej palce i odwrócił się, by przytulić policzek do matczynej dłoni. Jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech, tak dobrze wyrażający czułość tej krótkiej chwili.

Dłoń Lili pachniała wonią, którą Arthur zapamiętał na całe życie. Była to mieszanka perfum, które Lili sama komponowała, siedząc przy pełnej flakoników toaletce, i którą kropiła delikatnie szyję.

Jedno z tych wspomnień, nieodłącznie kojarzone z zapachem.

- Pośpiesz się, kochanie. Pójdziemy dzisiaj szlakiem słońca.

Zejdź do kuchni najpóźniej za pięć minut.

Włożył stare płócienne spodnie i gruby sweter. Przeciągnął się i ziewnął. Ubierał się po cichutku, matka nauczyła go szacunku dla spokoju poranka. Na nogi wsunął kalosze -dobrze wiedział, dokąd się wybiorą zaraz po śniadaniu. Zbiegł do dużej kuchni.

- Nie hałasuj, Antoine jeszcze śpi.

Dzięki niej polubił smak kawy, ale przede wszystkim jej aromat.

-Jesteś gotów, mój Arthurze?

-Tak.

-Więc otwórz oczy i spójrz dookoła. Dobre wspomnienia powinny pozostać w pamięci, a nie znikać jak efemeryda. Chłoń kolory, kształty przedmiotów. Tak ukształtuje się twój gust i poczucie piękna. Kiedyś za tym zatęsknisz, gdy będziesz już mężczyzną.

-Przecież jestem mężczyzną!

-Chciałam powiedzieć: kiedy będziesz dorosły.

-Czy dzieci tak bardzo różnią się od dorosłych?

-O tak! My, dorośli, mamy swoje różne smutki, o których dzieci jeszcze nic nie wiedzą. Możesz je nazwać lękami.

-A czego ty się boisz?

Wy tłumaczyła mu, że dorośli lękają się wielu różnych rzeczy: starzenia się, śmierci, tego, czego już nie zdążą przeżyć, choroby, a czasem nawet spojrzenia własnych dzieci. Boją się osądu w ich wzroku.

- Czy wiesz, dlaczego tak się dobrze rozumiemy, ty i ja? Bo zawsze mówię ci prawdę, rozmawiam jak z dorosłym, niczego się nie obawiając. Darzę cię ogromnym zaufaniem. Dorośli boją się, gdyż nie potrafią wielu rzeczy. Właśnie tego chcę cię nauczyć. Popatrz, przeżywamy teraz wspólną chwilę, na którą składa się mnóstwo różnych drobiazgów: my dwoje, stół, nasza rozmowa, moje ręce, którym przyglądasz się od pewnego czasu, zapach kuchni, znajome sprzęty i spokój budzącego się dnia. Wstała, zebrała kubki i włożyła je do emaliowanego zlewu. Przetarła gąbką stół, zgarnęła do dłoni parę okruszków. Przy drzwiach stał wiklinowy koszyk, pełen rybackich drobiazgów. Na nich, zawinięte w ściereczkę, leżały przygotowane wiktuały: chleb, ser i kielbasa. Lili przewiesiła kosz przez ramię i wzięła Arthura za rękę.

- Chodźmy już, kochanie, bo się spóźnimy.

Ruszyli drogą w kierunku niewielkiego portu.

- Popatrz na te małe, różnokolorowe barki. Przypominają bukiet morskich kwiatów.

Jak zwykle to Arthur wszedł do wody, odwiązał linę i podciągnął łódkę do brzegu. Lili usiadła, koszyk postawiła obok siebie.

- No dobrze, kochanie, wiosłuj.

Chłopiec poruszał wiosłami i łódka coraz bardziej oddalała się od brzegu. Gdy dopłynęli do rozbitego stateczku, łódź jeszcze rysował się na horyzoncie. Lili przygotowała wędki, z koszyka wyjęła resztę potrzebnego sprzętu, haczyki i przynętę. Jej rola ograniczała się do przygotowań wstępnych. Arthur musiał

poradzić sobie sam, zmagając się z czerwoną wstrętną dżdżownicą, która wiła się w palcach i wywoływała obrzydzenie. Oparł wędkę o burtę, przytrzymał między stopami, zawiązał część żyłki na palec wskazujący i zarzucił. Przynęta zanurzyła się szybko, pociągnięta w dół ołowianym ciężarkiem. Jeśli miejsce okazałoby się dobre, już wkrótce mieliby szansę złowić jedną z tych ryb, które lubią żerować blisko skał. Siedzieli naprzeciwko siebie. Milczeli. Po paru minutach spojrzała na niego uważnie i spytała nienaturalnym głosem: „Synku, wiesz, że nie umiem pływać. Co byś zrobił, gdybym nagle wpadła do wody?” „Wskoczyłbym, żeby cię wyciągnąć” - odpowiedziało dziecko. Lili nagle wpadła w gniew: „Co za głupstwa mi tu opowiadasz!” Arthur oniemiał, widząc gwałtowną reakcję matki.

-Spróbowałbyś wiosłować aż do brzegu, oto co byś zrobił! - Lili krzyczała. - Tylko twoje życie ma znaczenie, nigdy o tym nie zapominaj, nie waż się igrać z tym jedynym, niezwykłym darem! Przysięgnij mi!

-Przysięgam - odpowiedział wystraszony chłopiec.

-Tak więc - głos Lili znów zabrzmiał łagodnie - pozwoliłbyś mi utonąć.

Wtedy Arthur wybuchnął płaczem. Lili kciukiem zbierała łzy z policzków syna.

- Widzisz, czasem jesteśmy zupełnie bezradni wobec naszych pragnień, chęci czy reakcji podejmowanych pod wpływem impulsu. W takich momentach nasze uczucia wystawione są na ciężką próbę. Takie właśnie uczucia będą ci towarzyszyć przez całe życie; czasem o nich zapomnisz, czasem powrócą jak obsesja. Jakaś część sztuki życia to właśnie nasza umiejętność pokonywania własnej bezradności. To trudne, bo bezradność najczęściej wynika ze strachu. A strach paraliżuje nasze reakcje,

inteligencję, zdrowy rozsądek, a to prowadzi do słabości. Poznasz dobrze te lęki i strachy. Będziesz musiał je zwalczać, nie możesz zastąpić ich wahaniem. Pomyśl, zdecyduj i działaj! Odrzucaj wątpliwości, bo gdy nie umie się dokonać właściwego wyboru, życie zaczyna ciążyć. Każde pytanie może się stać grą, każda powzięta decyzja może nauczyć cię poznania i rozumienia samego siebie. Porusz z posad świat, twój świat! Popatrz, krajobraz daje ci swe piękno w prezencie, podziwiał cudowną rzeźbę wybrzeża, które wygląda jak koronka, czy widzisz, jak słońce oświetla to wszystko tysiącem różnorodnych kolorów? Każde drzewo drży i szumi zupełnie inaczej w podmuchach wiatru. Może myślisz, że natura też się bała, tworząc tyle szczegółów i wyzwalając tyle intensywnych doznań. Jednak najpiękniejszym darem, który dała nam ziemia, jest to, co czyni z nas prawdziwych ludzi, czyli umiejętność dzielenia się uczuciami. Ten, który tego nie potrafi, jest emocjonalnym kaleką. Widzisz, Arthurze, ten nasz wspólny, wczesny poranek zapadnie ci głęboko w pamięć. A później, kiedy mnie już nie będzie, przypomnisz sobie o nim. To będzie miłe wspomnienie, bo razem dzielimy tę chwilę. I gdybym wpadła do wody, nie rzuciłbyś się na ratunek, to byłoby czystą głupotą. Mógłbyś tylko podać mi rękę i pomóc wydostać się z powrotem na łódź. A gdyby to ci się nie udało i poszłabym na dno, powinieneś mieć czyste sumienie. Bo podjąłbyś słuszną decyzję, nie narażając niepotrzebnie swojego życia, a jednocześnie w miarę możliwości próbując mnie uratować. Kiedy wiosłował w kierunku brzegu, ujęła jego głowę w dłonie i czule ucałowała w czoło.

-Sprawiłam ci wielką przykrość?

-Tak, ale nie utoniesz, dopóki będę przy tobie. I wskoczę do wody, bo jestem dostatecznie silny, żeby cię stamtąd wyciągnąć.

Lili zgasła równie elegancko, jak żyła. Rankiem, w dniu jej śmierci, chłopczyk podszedł do łóżka matki.

- Dlaczego?

Stojący obok mężczyzna nie odpowiedział. Podniósł oczy i spojrzał na dziecko.

- Przecież tak się kochaliśmy, więc dlaczego się ze mną nie pożegnała? Ja na pewno nigdy bym tak nie zrobił. Jesteś dorosły, więc powinieneś wiedzieć, dlaczego? Wytłumacz mi, muszę znać powód. Wszyscy dorośli kłamią dzieciom, bo myślą, że jesteśmy tacy naiwni! Jeśli więc jesteś odważny, powiedz mi, dlaczego ona odeszła, podczas gdy ja spałem? Zdarza się czasami, że w spojrzeniu dziecka dojrzy się coś takiego, co obudzi nasze własne odległe wspomnienia. I wtedy nie sposób nie odpowiedzieć na zadane pytanie.

Antoine położył dłonie na ramionach chłopca.

-Nie mogła postąpić inaczej. Nikt nie zaprasza śmierci, ona sama przychodzi. Twoją mamę obudził w środku nocy straszny ból, nie do wytrzymania. Czekala na wschód słońca, chciała go zobaczyć, ale cichutko zasnęła.

-Więc jest to moja wina, bo ja w tym czasie spałem.

-Ależ nie, skądże znowu! Nie możesz patrzeć na to w ten sposób. Chcesz znać prawdziwą przyczynę tego odejścia bez pożegnania?

-Tak.

-Twoja mama była wielką damą, Arthurze, a wszystkie wielkie damy potrafią odejść z godnością, a tych, których kochały, pozostawiają samym sobie.

Chłopiec spojrzał bacznie w zamglone wzruszeniem oczy mężczyzny, sądząc, że zobaczy w nich współwinę, której się domyślał. Zobaczył łzę spływającą mu po policzku aż do nieogolonej brody. Antoine otarł ją wierzchem dłoni.

-Widzisz mnie płaczącego - powiedział. - Powinieneś zrobić to samo, łzy przynoszą ulgę.

-Będę płakał później - rzekł poważnie mały mężczyzna. -Ból mnie do niej przybliży, chcę go jeszcze odczuwać. Ona była całym moim życiem.

-Nie, mój chłopcze, ty całe życie masz jeszcze przed sobą, a nie we wspomnieniach. Tego cię właśnie uczyła, tego chciała i musisz to uszanować. Arthurze, nigdy nie zapomnij tego, co kiedyś ci powiedziała: „Każde marzenie ma swoją cenę”. Jej śmierć jest ceną, którą płacisz za swoje marzenia.

-Te marzenia bardzo drogo kosztują, Antoine. Zostaw mnie teraz samego - westchnął chłopiec.

-Ależ jesteś z nią sam. Wystarczy, że zamkniesz oczy i zapomnisz o mojej obecności, na tym właśnie polega siła uczuć. Jesteś sam ze sobą, tak rozpoczyna się twoja droga przez życie.

- Jest bardzo piękna, prawda? Zawsze myślałem, że będę bał się śmierci, a teraz widzę, że jest piękna.

Ujął dłoń matki, popatrzył na niebieskie żyłki rysujące się pod białą, delikatną skórą; zdawały się opowiadać historię jej życia, długą, barwną i burzliwą. Pochylił twarz, pogładził delikatnie jej policzek i pocałował wgłębienie dłoni.

Jakiż mężczyzna potrafiłby wyrazić pocałunkiem taką głębię miłości?

-Kocham cię, tak jak kochać potrafi tylko dziecko - szepnął. - Teraz pozostaniesz w sercu mężczyzny, do końca mego życia.

-Arthurze? - odezwał się Antoine.

-Tak?

-Napisła do ciebie list. Oto on. Teraz pozostawię cię samego.

Antoine wyszedł. Arthur powąchał kopertę i przez chwilę wdychał dobrze znany mu zapach, potem otworzył ją i wyjął list ze środka.

Mój duży Arthurze!

Wiem, że czytając ten list, w głębi duszy będziesz na mnie bardzo zły za ten paskudny kawał, który Ci zrobiłam. Arthurze, to już mój ostatni list; jest on jednocześnie testamentem miłości. Moja dusza odchodzi, a unosi ją szczęście, które mi dałeś. Życie jest cudowne, Arthurze, choć może dostrzegamy to dopiero wtedy, gdy odchodzi cichutko na paluszkach, a przecież można je kosztować każdego dnia.

Bywają takie chwile, że we wszystko wątpimy, ale wtedy, moje serce, nie opuszczaj nigdy rąk, nie rezygnuj. Od dnia, w którym przyszedłeś na świat, obserwowałam w Twoich oczach to szczególne światło, które tak Cię różniło od innych chłopców. Widziałam, jak upadasz i wstajesz, zaciskając zęby, kiedy inne dzieci zaczęłyby płakać. Ta odwaga jest Twoją siłą, ale jednocześnie słabością. Pamiętaj zawsze o tym - uczucia istnieją po to, by się nimi dzielić, siła i odwaga są jak dwa kije, które mogą zwrócić się przeciw temu, kto źle ich używa. Mężczyźni także mają prawo płakać, Arthurze, mężczyźni także znają uczucie rozpaczy.

Od tej chwili nie będzie mnie przy Tobie, nie będę mogła już odpowiadać na Twoje dziecięce pytania. Nadszedł czas, kiedy musisz stać się małym mężczyzną.

W tej długiej wędrówce, która Cię czeka, nie zgub gdzieś po drodze duszy dziecka, nigdy nie zapomnij marzeń, to one będą motorem Twoich poczynań, one też będą smakiem i zapachem Twoich poranków. Niedługo poznasz inną formę miłości, odmienną od tej, jaką żywisz do mnie. Kiedy nadejdzie ten dzień, podziel się nią z kobietą, która Cię pokocha; marzenia snute we dwoje stają się potem najpiękniejszymi wspomnieniami. Samotność jest jak ogród, w którym dusza usycha, a kwiaty przestają pachnieć.

Miłość ma cudowny smak, pamiętaj jednak, że trzeba dawać, aby dostać w zamian, pamiętaj, że trzeba być sobą, aby móc kochać. Skarbie, zdaj się na swój instynkt, bądź wierny swym uczuciom i żyj pełnią życia, bo masz je tylko jedno. Jesteś odąd odpowiedzialny i za siebie, i za tych, których pokochasz. Bądź godny, kochaj i nie ztrać spojrzenia, które tak nas łączyło, gdy razem czekaliśmy na świt. Pamiętaj godziny wspólnego przycinania róż, obserwacji księżyca, uczenia się zapachu kwiatów, słuchania odgłosów domu, aby je zrozumieć. To są wszystkie proste rzeczy, może już niemodne, ale to właśnie one nie pozwalają nam gorzknąć, obojętnieć, wypaczać sens tych magicznych chwil; pomagają zaś przeżyć życie w całym jego pięknie. Te chwile mają swoją nazwę, Arthurze, nazywamy je oczarowaniem. I tylko od Ciebie zależy, czy Twoje życie będzie takim właśnie oczarowaniem. To największy prezent, jaki możesz otrzymać w tej długiej podróży, w jaką właśnie wyruszasz.

Zostawiam Cię, mój mały mężczyzno. Pokochaj tę ziemię, jest taka piękna! Kocham Cię, mój duży syneczku, byłeś radością mojego życia. Wiem także, jak bardzo mnie kochasz, dlatego odchodzę spokojna. Jestem z Ciebie dumna.

Twoja mama

Chłopczyk złożył list i wsunął go do kieszeni. Pocałował matkę w lodowate czoło. Przeszedł przez bibliotekę, dotykając palcami grzbietów książek. „Kiedy mama umiera, to jakby spłonęła biblioteka” - zwykła mówić. Wyszedł z pokoju zdecydowanym krokiem, tak jak go uczyła: „Mężczyzna, który odchodzi, nie powinien nigdy oglądać się za siebie”.

Arthur poszedł do ogrodu, w powietrzu czuć było łagodną rześkość porannej rosy. Skierował się prosto do rozarium i przyklęknął.

- Ona odeszła, już nie przyjdzie przyciąć wam gałązek - powiedział. - Gdybyście mogły to wiedzieć i zrozumieć... Mam wrażenie, jakby na moje barki zwałił się straszny ciężar... Powiał lekki wiatr i poruszył płatkami róż, jakby chciał odpowiedzieć. Wtedy chłopiec zaczął płakać, ten jeden, jedyny raz. Antoine obserwował tę scenę, stojąc na progu domu.

- Och, Lili, odeszłaś od niego za wcześnie, o wiele za wcześnie - wyszeptał. - Teraz Arthur pozostał zupełnie sam i któż, prócz ciebie, potrafi wejść do jego świata? Jeśli możesz coś zrobić stamtąd, gdzie teraz jesteś, otwórz mu bramę do naszego świata. W głębi ogrodu rozległo się głośne krakanie kruka.

- O nie, Lili, tylko nie to - odpowiedział Antoine. - Nie jestem jego ojcem.

To był najdłuższy dzień w całym dotychczasowym życiu

Arthura. Późnym wieczorem siedział na progu domu i milczeniem respektował ciszę tych ciężkich chwil.

Antoine usiadł obok niego, ale także nie chciał rozmawiać.

Słuchali odgłosów nocy, zatopieni we wspomnieniach, które wiązały się ze stojącym za ich plecami domem. W myślach chłopca poczęły krążyć nuty, tworząc muzykę, jakiej do tej pory nie znał: klucze wiolinowe układały się w rzeczowniki, półnuty - w przysłówki, pełne nuty - w czasowniki, a fermaty - w całe zdania, które jednak nie miały już żadnego znaczenia.

-Antoine?

-Tak, Arthurze?

-Ona dała mi swoją muzykę.

Chwilę później chłopczyk zasnął w ramionach Antoine'a.

Mężczyzna siedział nieruchomo, tuląc dziecko do siebie, i bał się poruszyć, by go nie zbudzić. Po jakimś czasie, kiedy nabral pewności, że Arthur śpi głębokim snem, wziął go ostrożnie na ręce i zaniósł do domu. Lili odeszła zaledwie kilka godzin

wcześniej, a jednak atmosfera domu była już zupełnie inna. Niedające się opisać dźwięki, zapachy, kolory - wszystko to zdawało się ulatniać, by zniknąć stąd na zawsze.

- Trzeba to wyrycić w naszej pamięci, utrwalić te chwile - mruzczał Antoine, idąc w górę po schodach. Kiedy dotarł do pokoju Arthura, położył go na łóżku i, nie rozbierając, opatulił kocem. Delikatnie pogłaskał chłopca po włosach i wyszedł na palcach.

Przed śmiercią Lili wszystko zaplanowała. Kilka tygodni po pogrzebie Antoine pozamykał wszystkie pomieszczenia, zostawiając jedynie dwa pokoje na dole, w których miał spędzić resztę życia. Odwioził Arthura na dworzec i wyprawił do szkoły z internatem, gdzie czekało już na chłopca zarezerwowane miejsce. Tam Arthur musiał dorosnąć sam. Szkoła była bardzo sympatyczna, nauczyciele godni szacunku, a czasem nawet przyjaźni. Lili z pewnością wybrała dla niego najlepsze miejsce. Nic w tym małym, zamkniętym świecie nie powinno go smucić. Ale przybywając tutaj, Arthur przywiózł ze sobą wszystkie wspomnienia, jakie pozostawiła mu matka i które wypełniły mu każdą cząsteczkę pamięci. Nauczył się podchodzić do życia z pogodą ducha. Przekazane przez Lili dogmaty pomagały mu tworzyć własną postawę wobec świata, gesty, logiczny sposób myślenia. Był pogodnym dzieckiem, jako młodzieniec zachował wszystkie pozytywne cechy charakteru. W tym okresie rozwinął się w nim niezwykły zmysł obserwacji. Gdy stał się młodym mężczyzną, nigdy nie okazywał zmienności nastrojów. Był niezłym uczniem, ani genialnym, ani miernym, stopnie miał zawsze nieco powyżej średniej. Wyjątek stanowiła historia. Z tego przedmiotu był naprawdę świetny i doskonale zdawał końcowe egzaminy, aż do uzyskania matury, którą zdał bez najmniejszego problemu. Po otrzymaniu świadectwa ukończenia

szkoły został wezwany do dyrektorki, pani Senard. Opowiedziała mu, jak dwa lata przed śmiercią Lili przyjechała do szkoły. Wiedziała już, że jest nieuleczalnie chora, a jedynym pewnikiem był brak jakiegokolwiek nadziei. Tylko jednej rzeczy nie mogła przewidzieć: ile jeszcze jej czasu pozostanie. Lili spędziła w szkole wiele godzin, ustalając wszystkie szczegóły edukacji syna. Nauka została opłacona aż do końca studiów, a więc na wiele lat po osiągnięciu przez Arthura pełnoletności. Przed odjazdem matka powierzyła pani Senard wiele spraw i przedmiotów. Wśród tych ostatnich znalazły się klucze od domu w Carmelu, gdzie Arthur dorastał, a także od małego mieszkanka w mieście. Aż do tej pory było ono wynajęte, a teraz, po osiągnięciu przez niego pełnoletności, zostało zwolnione i mógł w nim zamieszkać od razu po maturze. Pieniądze z wynajmu wpływały regularnie na specjalnie w tym celu założone na jego nazwisko konto, na nim też ulokowano wszystkie pozostałe oszczędności matki. Przez lata zebrała się na rachunku spora suma pieniędzy, umożliwiającą ukończenie studiów, i nie tylko.

Arthur sięgnął po leżące na biurku pani Senard klucze. Breloczek, na którym wisiały, miał kształt kuli. Wykonany był z grawerowanego srebra i zaopatrzony w maleńki zameczek. Arthur nacisnął dźwigienkę i kula się otworzyła. Na obu jej bokach ujrzał miniaturowe zdjęcia: na jednym był on, w wieku siedmiu lat, z drugiego uśmiechała się Lili. Ostrożnie zamknął breloczek.

-Jaki kierunek studiów zamierzasz wybrać? - spytała dyrektorka.

-Architekturę. Chcę zostać architektem.

-Pojedziesz do Carmelu, do domu?

-Nie, jeszcze nie teraz. I chyba jeszcze długo nie.

-Dlaczego?

-Ona wie, dlaczego, ale to nasz sekret.

Dyrektorka wstała, Arthur zrobił to samo. Kiedy byli już przy drzwiach, objęła go i mocno przytuliła. Do ręki wsunęła mu kopertę i zacisnęła na niej jego palce.

- To od niej dla ciebie - szepnęła mu do ucha. - Prosiła, żebym ci to dała właśnie teraz.

Kiedy otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, Arthur ruszył korytarzem. Nie obejrzał się za siebie, szedł, trzymając w jednej ręce ciężkie klucze, a kopertę w drugiej. Dopiero kiedy skręcił w kierunku schodów, dyrektorka zamknęła drzwi gabinetu.

11

Samochód pokonywał ostatnie kilometry tej długiej nocy. Reflektory oświetlały biało-pomarańczowe pasy, oznaczające wykute w skale zakręty, urwiska, przydrożne bagna i opustoszałe plaże. Lauren drzemała, Paul prowadził w milczeniu, zatopiony we własnych myślach i skoncentrowany na obserwowaniu drogi. Arthur skorzystał z chwilowego spokoju, dyskretnie wyciągnął schowany w kieszeni list. Wyjął go z sekretery jeszcze w mieszkaniu, razem z dużymi kluczami. Kiedy otworzył kopertę, otoczył go znajomy zapach, mieszanka dwóch rodzajów perfum, którą matka przygotowywała w dużym flakonie z żółtego kryształu, ze srebrnym korkiem. Wydobywająca się z koperty woń przywołała w pamięci obraz matki i związane z nią wspomnienia. Wyjął list z koperty i ostrożnie rozłożył papier.

Mój duży Arthurze!

Skoro czytasz te słowa, oznacza to, że w końcu zdecydowałeś się wyruszyć drogą do Carmelu. Jestem bardzo ciekawa, ile masz teraz lat.

Trzymasz w dłoni klucze od domu, w którym spędziliśmy tyle cudownych lat. Wiedziałałam, że nie przyjedziesz tu od razu, że

wrócisz dopiero wtedy, gdy poczujesz, iż jesteś gotów. Gotów, aby obudzić uśpiony dom.

Drogi Arthurze, niedługo otworzysz drzwi, których skrzypienie jest mi tak bliskie. Obejdiesz wszystkie pokoje przepełnione nostalgią. Zaczyniesz powoli otwierać okiennice i wypuścisz do środka słońce, którego tak mi będzie brakować. Wejdiesz do rozarium. Zbliź się z wolna do róż. Pewnie zdążyły już zupełnie zdziczeć, minęło przecież tyle czasu!

Zajrzysz także do mojego gabinetu i pewnie się w nim rozgościsz. W szafie znajdziesz małą czarną walizeczkę, otworzysz ją, jeśli będziesz miał na to ochotę i siłę. Wewnątrz są zeszyty, zapisywałam ich strony każdego dnia Twojego dzieciństwa.

Masz całe życie przed sobą. Jesteś jego jedynym panem. Bądź godny tego wszystkiego, co tak kiedyś kochałam.

Kocham Cię tam, z góry, i czuwam nad tobą.

Twoja matka Lili

Zaczęło świtać, gdy dotarli do zatoki Monterey. Niebo wyglądało jak spowite blad różowym jedwabiem, zaplecionym w długie, falujące wstęgi, zdające się łączyć morze z horyzontem. Arthur wskazywał drogę. Wprawdzie minęły lata, nigdy przedtem nie jechał do domu na przednim siedzeniu, a jednak każdy kilometr był dobrze znajomy, każdy mijany płot czy furka wywoływały wspomnienia z dzieciństwa. Ruchem ręki wskazał, w którym miejscu należało zjechać z głównej drogi. Za następnym zakrętem powinni zobaczyć okalające posiadłość ogrodzenie. Paul prowadził zgodnie ze wskazówkami; wjechali na ubitą drogę, która rozmiękała pod wpływem zimowych deszczy i wysychała w upalne lata. Za kolejnym zakrętem zobaczyli zieloną, kutą z żelaza bramę.
-Jesteśmy na miejscu - oznajmił Arthur.

-Masz klucze?

-Zaraz otworzę. Podjedź pod dom i zaczekaj tam na mnie. Pójdę pieszo.

-Ona idzie z tobą czy zostaje w samochodzie?

Arthur pochylił się do otwartego okna samochodu i powiedział z naciskiem:

-Zwracaj się bezpośrednio do niej!

-O nie! Wolę nie próbować.

-Zostawię cię samego. Myślę, że tak będzie dla ciebie lepiej - ucięła Lauren, zwracając się do Arthura.

Uśmiechnął się do Paula.

- Zostaje z tobą, ty szczęściarzu!

Samochód odjechał, podnosząc za sobą tuman kurzu. Arthur rozejrzał się dookoła. Patrzył na ciągnący się prawie do oceanu szeroki pas ziemi koloru ochry. Rosły na nim sosny parasole, srebrne świerki, sekwoje, granatowce i ceratonie. Ziemię pokrywały zrudziałe od słońca igły. Podszedł do kamiennych schodów obok drogi. W połowie ich wysokości dojrzał po prawej stronie resztki rozarium. Park był zapuszczony, mnogość najrozmaitszych zapachów wywoływała z każdym krokiem niekontrolowaną falę wspomnień.

Wokół słychać było świerszcze; milkły na chwilę, gdy przechodził obok, by zaraz potem śpiewać jeszcze piękniej.

Wysokie drzewa kołysał lekko poranny wiatr. Słychać było muzykę oceanu, kiedy fale rozbijały się o skały. I wtedy zobaczył dom, uśpiony i cichy, taki, jaki zachował przez lata w pamięci. Wydał mu się mniejszy, fasada lekko ucierpiała, za to dach pozostawał w idealnym stanie. Okienne były zamknięte. Paul zdążył już zaparkować samochód i czekał na zewnątrz.

-Potrzebowałeś sporo czasu, żeby znów tu przyjechać!

-Ponad dwadzieścia lat!

-Co teraz robimy?

Postanowił przenieść ciało Lauren do gabinetu na parterze. Kiedy włożył klucz do zamka wejściowych drzwi, przekręcił go bez wahania w odwrotną stronę, tak jak należało. Stary, wyuczony odruch nie zatarł się w pamięci. Pamięć potrafi przechować wspomnienia i uruchomić je we właściwej chwili. Zapamiętał nawet zgrzyt zamka. Wszedł do korytarza, otworzył drzwi po lewej stronie - tu był gabinet matki. Podeszedł do okna i rozsunął żaluzje. Celowo nie patrzył na znajdujące się tu przedmioty; na odkrycie ich na nowo przyjdzie jeszcze czas, a on chciał tę chwilę przeżyć jak najpełniej. Szybko wyładowali wszystkie bagaże, ciało Lauren ułożyli na kanapie i podłączyli do kroplówki. Arthur przymknął okiennice, podniósł niewielki karton i zaprosił Paula do kuchni. „Zaparzę kawę. Otwórz pudło, ja zagotuję wodę”.

Z szafki nad zlewem wyjął metalowy przedmiot o szczególnym kształcie. Składał się z dwóch stożkowatych pojemników, połączonych ze sobą węższymi końcami. Arthur zaczął je rozkręcać, obracając każdy w przeciwnym kierunku.

-A cóż to takiego? - spytał Paul.

-To? Włoski ekspres.

-Włoski ekspres?

Arthur wytłumaczył mu zasady działania. Najbardziej wygodne było to, że nie używało się papierowych filtrów, a więc kawa nie traciła aromatu. Należało wsypać od dwóch do trzech czubatych łyżek kawy do pojemnika znajdującego się między górną a dolną częścią, do której wlewało się wodę. Potem wystarczyło tylko wszystko zakręcić i postawić na ogniu. Wrzątek zaczynał parować, przenikał przez kawę i, przechodząc przez metalowe sitko już jako czarny, aromatyczny nektar, gromadził się w pojemniku. W odpowiednim momencie kawę

należało zdjąć z ognia, by nie dopuścić do jej zagotowania - na tym właściwie polegała cała sztuka. „Kawa zagotowana to kawa wylana!” Kiedy skończył ten krótki wykład, Paul aż zagwizdał ze zdumienia.

-Słuchaj, czy trzeba mieć dyplom inżyniera i znać dwa języki, żeby w tym domu zaparzyć głupią kawę?

-Trzeba o wiele więcej, mój drogi! Do tego trzeba talentu, to cała ceremonia!

Paul w odpowiedzi uśmiechnął się drwiąco i podał przyjacielowi paczkę kawy. Arthur schylił się, otworzył szafkę pod zlewem i odkręcił butlę z gazem. Podszedł do kuchenki.

-Myślisz, że w butli jest jeszcze gaz? - spytał Paul.

-Antoine nigdy nie pozostawiłby domu z pustą butlą. Założę się o wszystkie pieniądze, że w garażu są jeszcze ze dwie pełne.

Paul wstał i odruchowo przycisnął przełącznik przy drzwiach. Kuchnię zalało żółte światło.

-Jak to możliwe, że jest tu prąd?

-Zadzwońm przedwczoraj do elektrowni i poprosim o włączenie prądu. Podobnie zrobiłem z wodą, więc możesz się nie martwić. Ale teraz zgaś, najpierw trzeba odkurzyć żarówki, bo jak się nagrzeją, zaczną zaraz pękać.

-Gdzieś się, do licha, tego nauczył? Wiesz, jak zaparzyć kawę po włosku i że trzeba odkurzyć żarówki, aby nie popękały?

-Tutaj, mój drogi, w tej kuchni. Tego i jeszcze wielu innych rzeczy.

-Dostanę wreszcie tę kawę?

Arthur postawił dwie filiżanki na drewnianym stole. Włą do nich gorący, aromatyczny płyn.

- Jeszcze nie pij - powiedział.

- Dlaczego?

-Po pierwsze, możesz się oparzyć; po drugie, powinieneś się przez chwilę delektować aromatem. Zapach powinien wejść głęboko w nozdrza.

-Przestań mnie wkurzać, stary, nic nie czuję w nozdrzach! Mam chyba jakieś urojenia! „Zapach powinien wejść głęboko w nozdrza!” Czy jeszcze coś trzeba zrobić, żeby się napić kawy? Podniósł filiżankę do ust i wypił trochę gorącego płynu. Lauren stanęła za krzesłem Arthura i objęła go ramionami.

-Lubię to miejsce, dobrze się w nim czuję. Wszystko mnie tu uspokaja.

-Gdzie byłaś?

-Obeszłam całą posiadłość, podczas gdy rozprawialiście o kawie.

-No i co?

-Znowu z nią rozmawiasz? - przerwał zirytowanym tonem Paul. Arthur zignorował pytanie i zwrócił się do Lauren:

-Podoba ci się tutaj?

-Byłoby trudno nie polubić tego miejsca - odpowiedziała. -Ale musisz mi zdradzić parę swoich sekretów. Ten dom jest ich pełen, czuję to, są we wszystkich ścianach, w każdym meblu.

-Jeśli przeszkadza ci moja obecność, możesz udawać, że mnie tu nie ma! - zdenerwował się wspólnik.

Lauren nie chciała być niewdzięczna, ale szepnęła, że wolałaby zostać sama z Arthurem. Była niecierpliwa, pragnęła, żeby pokazał jej dom. I miała ochotę na rozmowę. Zapytał, o czym, a ona odrzekła: „O tym miejscu. O tym, co działo się wczoraj”.

Paul czekał, aż w końcu Arthur zwróci się do niego, ale ten wydawał się pochłonięty rozmową z niewidzialną kobietą. Wreszcie stracił cierpliwość.

- Dobra, jestem ci jeszcze potrzebny? Bo jeśli nie, to wracam do San Francisco, w biurze jest mnóstwo pracy. A poza tym twoje rozmowy z Fantomasem źle na mnie wpływają.

-Mógłbyś przynajmniej okazać więcej zrozumienia.

-Słucham? Musiałem się chyba przesłyszeć? Mówisz do gościa, który pomógł ci gwizdnąć ciało ze szpitala w niedzielny wieczór, wsadził je do kradzionej karetki, a teraz siedzi tutaj i pije kawę po włosku, chociaż przez całą noc nie zmrużył oka, o cztery godziny jazdy od własnego domu - że powinien okazać więcej zrozumienia?! Kompletnie ześwirowałeś!

-Nie to miałem na myśli.

Paul nie chciał wiedzieć, co przyjaciel miał na myśli. Wolał wrócić do miasta, zanim się naprawdę pokłóca, „bo ostatecznie na tym się skończy, a byłoby szkoda, przecież obaj włożyliśmy w to tyle wysiłku”. Arthur zaniepokoił się, czy przyjaciel nie jest zbyt zmęczony, żeby ruszać w daleką drogę. Ale Paul zapewnił go, że „włoska kawa” (podkreślił złośliwie) postawiła go na nogi co najmniej na dwadzieścia godzin, zanim ogarnie go senność. Arthur zignorował sarkazm odpowiedzi. Teraz Paul zmartwił się, jak przyjaciel da sobie radę bez samochodu w położonym na uboczu domu.

-Jest stary ford w garażu.

-A kiedy ostatnio jeździł?

-Dawno temu.

-I oczywiście od razu zapali ten eksponat?

-Na pewno. Jak tylko podładuję akumulator, zapali jak złoto.

-Powiadasz: na pewno? A zresztą co mi tam, zapuścisz tu trochę korzenie i dasz sobie radę. Na dzisiaj mam dosyć dobrych uczynków.

Arthur odprowadził go do samochodu.

-Przestań się wreszcie o mnie martwić. I tak już tyle dla mnie zrobiłeś.

-Jasne, że się o ciebie martwię. Nawet w normalnych okolicznościach, gdybym miał cię tu samego zostawić, umierałbym ze strachu, że jakieś duchy będą cię tu prześladować. Ale, proszę bardzo, ty przyjeżdżasz z własnym!

- Spadaj!

Paul zapalił silnik, zanim jednak ruszył, wysunął głowę przez okno i zapytał:

-Jesteś pewien, że dasz sobie radę?

-Jestem pewien.

-No to się zmywam.

-Paul?

-Tak?

-Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

-Drobiazg.

-Nie, to nie drobiazg. Nawet nie wiesz, jak dużo. Wiele dla mnie ryzykowałeś, w imię przyjaźni i lojalności, bo przecież nie wszystko rozumiesz z tego, co się tu dzieje. Nikt by tyle dla mnie nie zrobił i ja to wiem.

-A ja wiem, że ty wiesz. Dobra, zmykam, bo się jeszcze popłaczemy. Uważaj na siebie i dzwoń do mnie do biura.

Arthur obiecał i saab wkrótce zniknął w dolinie. Lauren wyszła na ganek.

-Czy możemy teraz przejść się po posiadłości?

-Chcesz zacząć od domu czy parku?

-Powiedz mi przede wszystkim, gdzie właściwie jesteśmy.

-Jesteś w domu Lili.

-Kto to jest Lili?

-Lili była moją matką. To tutaj spędziłem większość dzieciństwa.

-Dawno od ciebie odeszła?
-Bardzo dawno.
-I nigdy tu nie wracałeś?
-Nigdy.
-Dlaczego?
-Wejdz! Później o tym porozmawiamy, kiedy obejrzysz już dom.
-Dlaczego? - nalegała.
-Zapomniałem, że jesteś reinkarnacją upartego osła. Bo nie!
-Czy to dla mnie znów otworzyłeś ten dom?
-Nie jesteś jedynym duchem mojego życia - rzekł łagodnym tonem.
-Pobyt tutaj wiele cię kosztuje.
-To nie jest dobre określenie. Powiedzmy, że ma dla mnie duże znaczenie.
-Zrobiłeś to dla mnie?
-Zrobiłem to, bo nadszedł właściwy moment, żeby spróbować.
-Spróbować co?
-Otworzyć czarną walizkę.
-Możesz mi wytłumaczyć, co ma oznaczać ta czarna walizka?
-To wspomnienia.
-Zostawiłeś ich tu wiele?
-Prawie wszystkie. To był mój dom.
-A co było potem?
-A potem robiłem wszystko, żeby życie toczyło się jak najszybciej. Dorastałem samotnie.
-Twoja matka umarła nagle?
-Nie, umarła na raka, wiedziała, że jest chora. To dla mnie stało się nagle. Chodź ze mną, pokażę ci ogród.
Zeszli z ganku i Arthur zaprowadził Lauren aż do oceanu, który stanowił granicę parku. Usiedli na przybrzeżnych skałach.

- Gdybyś wiedziała, ile godzin spędziłem tu z nią, siedząc i licząc fale! Zakładaliśmy się, ile z nich rozbije się o skały. Przychodziliśmy także oglądać zachód słońca. Na plaży gromadzi się mnóstwo ludzi, aby przez pół godziny podziwiać ten spektakl. A on każdego dnia jest zupełnie inny. Zależy to od temperatury oceanu, powietrza i wielu innych rzeczy, ale kolory nieba nigdy nie są takie same. I tak jak w miastach ludzie wracają do domu, by o określonej godzinie obejrzeć wiadomości w telewizji, tak tutaj przychodzą na plażę zobaczyć zachód słońca. To już jest rytuał.

-Długo tu mieszkałeś?

-Byłem małym chłopcem, miałem dziesięć lat, kiedy odeszła.

-Dziś wieczór pokażesz mi zachód słońca!

-Jasne. Tutaj należy to do obowiązków- odpowiedział z uśmiechem.

Za nimi dom zaczął jaśnieć w świetle poranka. Farba na fasadzie od strony morza odpadała, ale poza tym budynek sprawiał wrażenie, że czas go oszczędził przez te wszystkie lata. Nikt z zewnątrz by się nie domyślił, że czekał tak długo, uśpiony.

-Trzyma się całkiem nieźle.

-To zasługa Antoine'a, prawdziwego maniaka na punkcie utrzymania domu. Był ogrodnikiem, majsterkowiczem, rybakiem, niańką, strażnikiem domostwa, a tak naprawdę niespełnionym pisarzem. Mama go przygarnęła. Mieszkał w oficynie przylegającej do domu. Był przyjacielem rodziców, dopóki nie rozbił się samolot, którym leciał mój ojciec. Myślę, że zawsze kochał się w mojej mamie, nawet za życia ojca. Podejrzewam, że potem zostali kochankami, ale to stało się o wiele później. Ona nadała sens jego życiu, a on pozwolił jej zapomnieć o żałobie. Mało ze sobą rozmawiali, przynajmniej w mojej obecności, ale byli sobie nadzwyczaj bliscy. Rozumieli

się jednym spojrzeniem. To ich wspólne milczenie pomagało im wyciszyć wszystkie tragedie i brutalność życia. Panujący między nimi spokój mógł zbić z tropu. Tak jakby każde z nich złożyło przysięgę, że nigdy już nie pozwoli sobie na gniew czy bunt.

-Co się z nim stało?

Antoine zamieszkał w gabinecie, tam gdzie teraz leżało ciało Lauren. Przeżył Lili o dziesięć lat. Spędził resztę życia, dbając o dom. Lili zostawiła mu pieniądze; to było w jej stylu - przewidzieć wszystko, nawet nieprzewidywalne. Pod tym względem Antoine był do niej podobny. Zmarł w szpitalu, na początku zimy. Pewnego chłodnego, ale słonecznego ranka obudził się bardzo zmęczony. Oliwił zawiasy bramy, gdy poczuł ostry ból w sercu. Poszedł pomiędzy drzewa, jakby tam szukał powietrza, którego nagłe mu zabrakło. Stara sosna, pod którą wiosną i latem lubił urządzić sobie sjęstę, przyjęła go pod swe gałęzie, kiedy upadł na ziemię. Porażony bólem, zdołał dowlec się do domu i wezwać na pomoc sąsiadów. Karetka zawiozła go do szpitala w Monterey. Zmarł tam w następny poniedziałek. Można było odnieść wrażenie, że starannie przygotował swoje odejście. Po jego śmierci rodzinny notariusz skontaktował się z Arthurem. Chciał się dowiedzieć, co młody człowiek zamierzał zrobić z domem.

-Powiedział, że ciarki przeszły mu po plecach, kiedy wszedł do środka. Antoine wszystko wysprzątał, poukładał, zupełnie jakby wybierał się w podróż.

-A może się wybierał?

-Antoine? W podróż? Nie, przecież nawet gdy miał jechać po zakupy do Carmelu, trzeba było z nim negocjować parę dni wcześniej. Nie, nie, sądzę raczej, że miał instynkt starego słońa,

który czuje, że nadeszła jego godzina. Albo miał już dosyć i poddał się bez walki.

Arthur chciał wytłumaczyć Lauren swój punkt widzenia i powtórzył odpowiedź matki, kiedy zadał jej pytanie na temat śmierci. Spytał, czy dorośli bardzo się jej boją. Słowa matki wryły mu się w pamięci, nawet dzisiaj mógł je powtórzyć, słowo po słowie.

„Kiedy spędziłeś udany dzień: wstałeś wczesnym rankiem, aby pójść ze mną na ryby, biegałeś, pracowałeś z Antoine'em w rozarium, a wieczorem czujesz się wyczerpany, to chociaż nie znosisz kłaść się do łóżka, chętnie otulasz się kołdrą i szybko zasypiasz. Takiego dnia nie boisz się zasnąć.

Życie jest trochę podobne do jednego z takich dni. Kiedy zaczęło się wcześnie, odczuwamy pewnego rodzaju spokój, wiedząc, że któregoś dnia odpoczniemy. Być może dlatego, że wraz z upływem czasu coraz gorzej radzimy sobie z obowiązkami. Wszystko staje się trudniejsze i bardziej męczące, tak więc myśl, że pewnego dnia zaśniemy już na zawsze, nie budzi w nas takiego lęku jak dawniej”.

-Mama była już wtedy chora. Myślę, że dobrze wiedziała, o czym mówi.

-A co ty jej odpowiedziałeś?

-Wziąłem ją za rękę i spytałem, czy jest zmęczona. Tylko się uśmiechnęła. Opowiadam ci to wszystko, bo nie wierzę, żeby Antoine był zmęczony życiem w depresyjnym znaczeniu tego słowa. Myślę, że doszedł do pewnego rodzaju mądrości.

-Jak słonie - powiedziała Lauren cichutko.

Szli w kierunku domu. Arthur nagle skręcił. Poczuł, że jest już gotów, aby wejść do rozarium.

-Idziemy do serca królestwa, do ogrodu różanego!

-Dlaczego do serca królestwa?

Bo to było uświęcone miejsce. Lili szalała na punkcie swoich róż. Tylko one stawały się przedmiotem sprzeczek między nią i Antoine'em. „Mama знаła każdy kwiatek, nie można było ściąć nawet jednego, by tego natychmiast nie zauważyła”. W ogrodzie miała niewyobrażalną wprost liczbę gatunków. Zamawiała sadzonki z katalogu, była dumna, że hoduje okazy pochodzące ze wszystkich zakątków świata. Najbardziej szczyliła się tymi, które wymagały szczególnych warunków klimatycznych. Prowadziła swojego rodzaju grę z innymi ogrodnikami: to jej się wszystko udawało!

- Było ich aż tyle?

Sam doliczył się kiedyś stu trzydziestu pięciu gatunków. Pewnej nocy rozpętała się nawałnica. Matka i Antoine zerwali się z łóżek. Pobiegli do garażu i złapali płachtę, która miała około dziesięciu metrów szerokości i jakieś trzydzieści długości. Antoine w pośpiechu przymocował trzy końce do wysokich palików. Czwartym trzymali oboje w wyciągniętych do góry ramionach. Jedno z nich stało na drabince, drugie na krzeselku sędziowskim z kortu tenisowego. Stali tak w deszczu i potrząsali tym gigantycznym parasolem, kiedy stawał się zbyt ciężki od nagromadzonej w nim wody. Burza trwała ponad trzy godziny. „Gdyby w domu wybuchł pożar, jestem pewny, że mniej by się tym przejęli. Gdybyś ich zobaczyła rano! Wyglądali jak dwa wraki. Ale rozarium było uratowane”.

-Spójrz! - zawołała Lauren, wchodząc do ogrodu. - Jeszcze tyle ich tu jest!

-Tak, ale to są dzikie róże. One nie boją się ani słońca, ani deszczu. Kiedy się je ścina, należy włożyć rękawiczki, mają pełno kolców.

Spędzili większość dnia na odkrywaniu i przypominaniu sobie ogromnego parku otaczającego dom. Arthur pokazywał jej

drzewa i wryte na nich w dzieciństwie znaki. Kiedy przechodzili obok rozłożystej sosny, wskazał miejsce, gdzie złamał sobie obojczyk.

-Jak to się stało?

-Byłem już dojrzały, więc spadłem z drzewa!

Dzień minął, zanim się spostrzegli. O właściwej godzinie wrócili nad ocean, usiedli na skałach i podziwiali ten wspaniały widok, który oglądają ludzie na całym świecie. Zachód słońca. Lauren rozłożyła szeroko ramiona i zawołała: „Michał Anioł jest dziś wieczorem w doskonałej formie!” Arthur zerknął na nią i uśmiechnął się. Szybko zapadła noc. Wrócili do domu. Arthur zajął się ciałem Lauren. Potem rozpałił ogień w kominku w małym saloniku, gdzie się rozsiedli po lekkiej kolacji.

-I co z tą czarną walizką?

-Czy ty o niczym nie zapominasz?

-Po prostu uważnie słucham.

-Walizka należała do mamy, przechowywała w niej wszystkie listy, wszystkie pamiątki. Przypuszczam, że jest w niej esencja jej życia.

- Jak to: przypuszczasz?

Ta walizka stanowiła wielką tajemnicę. Mógł myszkować po całym domu, nie wolno mu było tylko otwierać szafy, w której się znajdowała. Obowiązywał tu ścisły zakaz wstępu.

„Zapewniam cię, że nigdy nie zaryzykowałem i nie złamałem tego zakazu”.

-Gdzie ona jest?

-W gabinecie obok.

-I nigdy tu nie wróciłeś, żeby ją otworzyć? Nie mogę w to uwierzyć!

Musiało się w niej zawrzeć całe życie matki, nie pragnął ponaglać tej chwili, chciał do tego dorosnąć. Wolał mieć

pewność, że jest naprawdę gotów, że potrafi zrozumieć. Lauren spojrzała na niego sceptycznie. Nagle wyznała: „Dobrze, prawda jest taka, że zawsze się tego bałem”.

-Dlaczego?

-Nie wiem, może nie chciałem zmienić jej obrazu, jaki zachowałem z dzieciństwa. Bałem się bólu wspomnień.

-Idź po nią!

Arthur nawet się nie poruszył. Nalegała, żeby ją przyniósł, nie powinien się bać. Skoro Lili włożyła w tę walizkę całe swoje życie, to po to, by pewnego dnia jej syn dowiedział się, kim naprawdę była. Nie chciała, żeby zachował jedynie wspomnienia z dzieciństwa: „Ryzyko miłości polega na tym, że kochamy nie tylko zalety, ale i wady. Tego nie da się rozdzielić. Czego się boisz? Że będziesz osądzał własną matkę? Ty nie masz duszy sędziego. Nie możesz ignorować zawartości walizki, sprzeciwiłbyś się życzeniu matki. Zostawiła ci ją, żebyś wszystko o niej wiedział. Czas nie pozwolił, by zrobiła to sama. Chciała, abyś naprawdę ją poznał, nie tylko jako mały synek, ale także jako dorosły, wrażliwy mężczyzna!”

Arthur zastanawiał się chwilę. Potem spojrział na nią, wstał, poszedł do gabinetu i otworzył tajemniczą szafę. Popatrzył na czarną walizkę leżącą na półce, schwycił zniszczoną rączkę i zabrał ze sobą całą przeszłość ku teraźniejszości. Kiedy wrócił do saloniku, usiadł po turecku obok Lauren. Popatrzyli na siebie jak dwoje dzieci, które za chwilę otworzą drzwi Sezamu. Arthur wziął głęboki oddech, nacisnął oba zamki i otworzył wieko. W walizce wypełnionej po brzegi pełno było kopert różnych rozmiarów, a w kopertach listy. Leżały tu też zdjęcia, jakieś drobiazgi: plastelinowy samolocik, który Arthur zrobił na Dzień Matki, popielniczka z modeliny- prezent gwiazdkowy, naszyjnik z muszelek (niewiadomego pochodzenia), srebrna łyżeczka i

niemowlęce buciki. Prawdziwa jaskinia Ali Baby. Na wewnętrznej stronie wieka Arthur zobaczył przypięty agrafką list. Na kopercie Lili napisała wielkimi literami: ARTHUR. Rozerwał kopertę.

Drogi Arthurze!

Wróciłeś zatem do swego domu. Czas leczy wszystkie rany, ale zawsze zostawia nam parę blizn. W tej walizce znajdziesz wszystkie moje pamiątki, te, które Ciebie dotyczą, jak i te sprzed Twoich urodzin. Jest tu wszystko, czego nie mogłam Ci opowiedzieć, bo byłeś jeszcze dzieckiem. Spojrzysz na swoją matkę innym wzrokiem, dowiesz się wielu różnych rzeczy. Byłam Twoją matką, ale zarazem kobietą, ze wszystkimi jej lękami, wątpliwościami, porażkami i zwycięstwami. Aby móc Ci przekazać wszystkie rady, które ode mnie usłyszałeś, sama musiałam popełniać błędy, co mi się dość często zdarzało. Rodzice są niczym góry, przez całe życie chcemy się na nie wspiąć i pokonać je. I wcale o tym nie myślimy, że pewnego dnia sami przejmujemy ich rolę.

Wiedz, że nie ma nic trudniejszego niż wychowanie dziecka. Staramy się przez całe życie dać im to wszystko, co uważamy za słuszne, uświadamiając sobie jednocześnie, że nie przestajemy popełniać błędów. Dla większości rodziców wszystko jest jednak miłością, nawet jeśli nie do końca potrafią wyzbyć się egoizmu. Życie nie jest także poświęceniem. W dniu, w którym zamknęłam tę walizkę, bałam się, że będziesz rozczarowany. Czas nie pozwolił, byś spojrzał na mnie oczyma wieku dojrzewanania. Nie wiem, ile będziesz miał lat, gdy sięgniesz po ten list. Wyobrażam sobie Ciebie jako przystojnego trzydziestolatka; może jesteś trochę starszy. Boże drogi, jakżebym chciała przeżyć wszystkie te lata blisko Ciebie! Gdybyś wiedział, jak straszna pustka mnie ogarnia, kiedy

pomyśle, że już nigdy nie zobaczę, jak otwierasz rankiem oczy, nie usłyszę Twego głosu, kiedy mnie zawołasz. Świadomość tego sprawia mi o wiele więcej bólu niż choroba, która zabierze mnie tak daleko od Ciebie.

Zawsze kochałam Antoine'a i nigdy nie przeżyłam tej miłości. Bałam się, bałam się Twego ojca, nie chciałam go skrzywdzić, zburzyć to, co zbudowałam, bałam się przyznać, że się pomyliłam. Bałam się ustalonego porządku rzeczy, bałam się zaczynać wszystko od początku, bałam się, że to się nie uda, że okaże się tylko snem. To, że tego nie przeżyłam, stało się koszmarem. Myślałam o nim nocą i dniem, ale odmawiałam sobie tego prawa. Kiedy zginął Twój ojciec, strach trwał nadal, strach, że go zdradzam, strach o Ciebie. Wszystko to było wielkim kłamstwem. Antoine kochał mnie tak, jak pragnie być kochana kobieta, choćby raz w życiu. Nie umiałam oddać mu tego uczucia przez własne tchórzostwo. Wybaczalam sobie moje słabostki, akceptowałam swoją rolę w tym melodramacie za trzy grosze. Nie zauważałam, że życie pędzi do przodu z ogromną prędkością, a ja ciągle jestem poza jego głównym nurtem. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, ale w moich oczach to Antoine był tym jedynym mężczyzną. Nikt tak nie patrzył na mnie jak on, nikt tak do mnie nie mówił. Przy nim nie mogło mi się przytrafić nic złego, miałam poczucie bezpieczeństwa. Rozumiał każdą moją zachciankę, każde moje marzenie. I nie przestawał ich spełniać. Jego życie polegało na harmonii, łagodności i umiejętności dawania. A ja? Toczyłam ciągle bitwy, jakby walka była sensem mojego życia, nie rozumiałam, co znaczy brać i dawać. Bardzo się bałam, przekonywałam samą siebie, że to szczęście jest nierealne, niemożliwe, że życie nie może być takie piękne. Kochaliśmy się pewnej nocy, miałeś wtedy pięć lat. Nosiałam w sobie jego dziecko, ale nie

pozwoiliam mu przyjść na świat. Nigdy mu o tym nie powiedziałam, ale i tak jestem pewna, że wiedział. On zawsze wiedział o mnie wszystko.

Dzisiaj uważam, że może to dobrze, iż tak się stało, zwłaszcza gdy pomyślę o mojej chorobie. Myślę też jednak, że może choroba nie rozwinęłaby się, gdybym żyła w zgodzie sama ze sobą. Przeżyliśmy wszystkie te lata w cieniu moich kłamstw. Potraktowałam życie z hipokryzją, a ono mi tego nie przebaczyło. Teraz wiesz o wiele więcej o swojej matce. Bardzo się wahałam, czy Ci o tym wszystkim powiedzieć, bałam się Twego osądu. Ale czyż sama Cię nie uczyłam, że największym kłamstwem jest kłamstwo wobec samego siebie? Jest tyle rzeczy i spraw, które chciałabym dzielić wraz z Tobą, jednak czas nam na to nie pozwolił. Antoine nie wychowywał Cię z powodu moich błędów i ignorancji. Kiedy dowiedziałam się, że jestem chora, było już zbyt późno, by to wszystko naprawić. Znajdziesz wiele rzeczy w tym całym bałaganie, który Ci zostawiam. Zdjęcia, Twoje listy, moje i Antoin'a. Nie czytaj ich, należą tylko do mnie, a pozostawiłam je jedynie dlatego, że nigdy nie potrafiłam się z nimi rozstać. Pewnie zadasz sobie pytanie, dlaczego nie ma tu fotografii Twojego ojca. Podarłam je wszystkie pewnej nocy, pełna wściekłości i frustracji, byłam taka zła na samą siebie...

Staralam się robić wszystko jak najlepiej, mój kochany, najlepiej, jak potrafi kobieta, pełna wad i zalet. Wiedz, że byłeś całym moim życiem, racją mego istnienia, najpiękniejszym prezentem, jakim los mnie obdarzył. Modlę się, abyś i Ty pewnego dnia mógł poznać to jedyne uczucie na świecie, kiedy rodzi się dziecko. Wtedy zrozumiesz.

Bycie Twoją mamą jest moją największą dumą. Na zawsze. Kocham Cię Lili

Wsunął list do koperty i położył ją na walizce. Lauren zobaczyła, że płacze. Podeszła i zebrała łzy palcem. Zaskoczony, podniósł oczy i nagle cały smutek zniknął pod jej czułym spojrzeniem. Położył dłoń na jej policzku, objął ramieniem i przytulił twarz do jej twarzy. Kiedy ich wargi się zetknęły, cofnęła się.

-Dlaczego to dla mnie robisz, Arthurze?

-Bo cię kocham, moja pani, ale to już nie pani sprawa. Wziął ją za rękę i zaprowadził przed dom.

-Dokąd idziemy? - spytała.

-Nad ocean.

-Nie! - zaprotestowała. - Tu i teraz. Odwróciła się do niego i rozpięła mu koszulę.

-Jak to zrobiłaś, przecież ty nie możesz...

-Nie zadawaj pytań. Sama tego nie wiem.

Zsunęła koszulę z jego ramion, wsuwając ręce pod tkaninę.

Poczuł się zakłopotany: jak ma rozebrać ducha? Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i po chwili stała przed nim całkowicie naga.

- Wystarczy, że tylko pomyślę o jakimś fasonie sukni i natychmiast mam ją na sobie. Gdybyś tylko wiedział, jak z tego korzystałam...

Na progu domu przytuliła się do niego i pocałowała.

Podczas tego uścisku duszę Lauren przeniknęło ciało mężczyzny, potem jej dusza weszła w ciało Arthura, jak w magicznej chwili zaćmienia słońca... Walizka została otwarta.

Inspektor Pilguez zjawił się w szpitalu o jedenastej. Przełożona pielęgniarek zadzwoniła na komisariat zaraz po przejęciu zmiany, o szóstej rano. Ze szpitala zniknęła pacjentka w śpiączce, z pewnością chodziło o porwanie.

Pilguez znalazł notatkę na swoim biurku i wzruszył ramionami, zastanawiając się, dlaczego tego typu sprawy trafiały się zawsze

właśnie jemu. Chodził jak chmura gradowa i zlorzeczył pod adresem Nathalii, która zajmowała się rozdzielaniem zgłoszeń nadchodzących z centrali.

-Co ja ci takiego zrobiłem, moja śliczna, że dajesz mi takie sprawy, w dodatku w poniedziałek rano?

-Mógłbyś się przynajmniej porządnie ogolić na początku tygodnia. - W jej uśmiechu widać było poczucie winy.

-To bardzo interesująca odpowiedź. Mam nadzieję, że lubisz to krzesło obrotowe, bo czuję, że chyba nieprędko się z nim rozstaniesz!

-Jesteś statua nie wolności, ale życzliwości, mój George!

-Tak jest, całkowicie się z tobą zgadzam. I jako statua mam chyba prawo sam wybierać gołębie, które nafałdają mi na głowę!

Odrócił się na pięcie. Zaczynał się zły tydzień, poprzedni zły tydzień dopiero co się skończył. W sobotę.

Dla Pilguezza dobry tydzień to taki, w którym policjant rozsądza spory między sąsiadami lub pilnuje przestrzegania kodeksu cywilnego. Wydział kryminalny to czysty nonsens, jego istnienie oznaczało, że po mieście grasują bandy wykolejeńców, którzy mordują, gwałcą i kradną. A teraz zaczęli porywać ze szpitali ciała pacjentów w śpiączce. Czasami myślał sobie, że po trzydziestu latach służby już nic nie mogło go zaskoczyć, a jednak każdego kolejnego tygodnia musiał korygować swoją opinię o granicach ludzkiego obłądu.

- Nathalia! - ryknął zza biurka.

-Tak, George? - spytała dyspozytorka. - Mieliśmy zły weekend?

-Nie chciałoby ci się przynieść mi pączków?

Z oczami wrytymi w kalendarz bieżących spraw komisariatu, ogryzając ołówek, pokręciła przecząco głową. „Nathalia!” - wrzasnął jeszcze raz. Ale ona wpisywała nocne raporty do

kolejnych rubryk. A ponieważ rubryki były bardzo wąskie, a szef siódmego dystryktu, jej „naczelnik”, jak mawiała z ironią, był skrupulatnym maniakiem, starała się pisać drobnym maczkiem i nie wychodzić poza linie. Nie podnosząc głowy, odpowiedziała: „Tak, George, powiedz mi przynajmniej, że dziś wieczorem przejdziesz na emeryturę!” Poderwał się z krzesła i podszedł do jej biurka.

-To czysta złośliwość!

-Nie chcesz kupić sobie jakiejś zabawki, na której mógłbyś wyładowywać swoje humory?

-Nie, humory będę wyładowywać na tobie, a pięćdziesiąt procent pensji, którą tu zarabiasz, dostajesz właśnie za ich znoszenie.

-Jeszcze chwila, a pączki znajdą się na twojej niewyparzonej gębie, ty kaczorze!

-Kaczory? Jesteśmy glinami, psami, ale nigdy nie słyszałem o kaczorach.

-Nie jesteś psem, tylko wstrętnym kaczorem. Nawet latać nie umiesz, a chodzisz jak kaczką. A teraz bierz się do roboty i daj mi święty spokój!

-Jesteś bardzo piękna, Nathalio.

-No pewnie, ty też jesteś piękny, jak twoje humory.

-No dobra, wskakuj w serdaczek po babci, zabieram cię na kawę.

-Zaraz, zaraz, a kto będzie przyjmował zgłoszenia?

- Za chwilę zobaczysz. Siedź tu i nie ruszaj się.

Odwrócił się i zdecydowanym krokiem podszedł do młodego stażysty, który segregował teczki w drugim końcu pokoju.

Wziął go za ramię i poprowadził przez całą długość pomieszczenia do biurka przy drzwiach.

-Proszę bardzo, synu, posadź się tyłek na tym obrotowym krześle z dwoma oparciami. Tylko popatrz, co za luksus, dwa miękkie oparcia dla rąk! Ta pani dostała je w nagrodę. Masz prawo się na nim pokręcić, ale nie więcej niż dwa razy w jedną stronę.

Będziesz odbierał telefon, kiedy zadzwoni, i powiesz grzecznie: „Dzień dobry, komisariat miejski, wydział kryminalny, słucham”. Wysłuchasz tego, co mają do powiedzenia, i zapiszesz wszystko na tych kartkach. Dopóki nie wrócimy - żadnego wychodzenia na siusiu. A gdyby ktoś cię pytał, gdzie jest Nathalia, powiesz, że nagle dopadły ją te babskie sprawy i poleciała do apteki. Czy to nie za trudne? Dasz sobie radę?

-Mogę nawet wyszorować kible, żeby tylko nie musiał iść z panem na kawę, inspektorze!

George pominął milczeniem tę uwagę. Wziął Nathalię pod rękę i pociągnął w stronę schodów.

-Twojej babci musiało być do twarzy w tym serdaczku! - powiedział z uśmiechem.

-Wiesz co, chyba skonam z nudów, jak cię wyślą na emeryturę, George!

Na rogu ulicy mrugał neon jeszcze z lat pięćdziesiątych.

Błyszczące litery odbijały się bladym światłem w witrynie baru „The Finzy Bar”. Stare bistro miało swoje lata chwały. Teraz pozostały tu jedynie resztki dekoracji na pożółkłych ścianach, suficie i przybrudzonej boazerii. Zniszczony parkiet zachował pamięć tysięcy pijanych kroków i tyluż przelotnych spotkań. Z przeciwnej strony ulicy lokal przypominał obrazy Hoopera. Przeszli przez jezdnię, zajęli miejsca przy wysłużonym barze i zamówili dwie słabe kawy.

-Widzę, że miałaś kiepską niedzielę, stary niedźwiedziu.

-Gdybyś wiedziała, jak ja się nudzę w weekendy! Nic nie robię, tylko kręcę się w kółko.

-Czy to dlatego, że w niedzielę nie poszłam z tobą na obiad?
Potwierdził skinieniem głowy.

-Mógłbyś pójść do muzeum. Powinieneś wychodzić z domu.

-Gdybym poszedł do muzeum, to po drodze pewnie przyskrzytniłbym jakiegoś kieszonkowca. W rezultacie i tak znalazłbym się w komisariacie.

-To idź do kina.

-Jak jest ciemno, od razu zasypiam.

-No to pójdz na spacer!

-Wiesz, to jest myśl. Pójdę sobie na spacer. Przynajmniej nie będę wyglądał jak jakiś kretyn, który szwenda się bez celu po chodnikach! Co robisz? Nic, spaceruję! Ale wspomniałaś o weekendzie. Jak ci się układa z nowym gachem?

-Nic nadzwyczajnego, ale chociaż się nie nudzę.

-Wiesz, jaką wadę mają faceci?

-Nie wadę, tylko wady. Jakie?

-Faceci nie powinni nudzić się z taką dziewczyną jak ty.

Gdybym miał piętnaście lat mniej, zapisałbym się w twoim balowym karnecie.

-Przecież jesteś o piętnaście lat młodszy, niż ci się wydaje, George.

-Mam to potraktować jako zachętę?

-Jako komplement, a to już nieźle. Wychodzimy, ja wracam do pracy, ty jedź do szpitala. Oni tam są naprawdę przerażeni.

George spotkał się z siostrą przełożoną Jarkowizski. Obrzuciła szybkim spojrzeniem niestarannie ogolonego mężczyznę o zbyt zaokrąglonych kształtach, który pomimo tego miał w sobie pewien rodzaj elegancji.

- To potworne - powiedziała. - Jeszcze nigdy coś takiego się nam nie przydarzyło.

Tym samym tonem dodała, że przewodniczący rady jest zdruzgotany i chciałby spotkać się z inspektorem po południu. Wczesnym wieczorem ma spotkanie z zarządem, któremu referuje całe wydarzenie. „Czy pan ją nam odnajdzie, panie inspektorze?”

- Być może, jeśli opowie mi pani wszystko od początku. Jarkowizski poinformowała, że porwanie nastąpiło z pewnością podczas zmiany ekip dyżurnych. Jeszcze nie skontaktowano się z pielęgniarką z wieczornej zmiany, ale ta, która dyżurowała nocą, zauważyła podczas rutynowego obchodu o drugiej w nocy, że łóżko było puste. Pomyślała, że pacjentka zmarła, a pościeli jeszcze nie zdjęto; taki jest tu zwyczaj, że przez dobę po zgonie chorego łóżko pozostaje wolne. Tak więc dopiero podczas swojego pierwszego rannego obchodu Jarkowizski zorientowała się, że pacjentka zniknęła, i natychmiast powiadomiła o tym policję.

-A może zbudziła się ze śpiączki, a że już miała po uszy tego hotelu, poszła sobie na spacer. Skoro leżała tak długo bez ruchu, takie postępowanie jest całkowicie usprawiedliwione.

-Bardzo sobie cenię pańskie poczucie humoru. Może teraz spróbuje pan pozartować z jej matką. Jest w tej chwili u dyżurnego lekarza, ale niebawem się tu pojawi.

-Tak, oczywiście. - Pilguez spuścił wzrok i uważnie przyglądał się własnym butom. - Jeśli to jest porwanie, to w jakim celu?

-A co to zmieni, w jakim celu? - odpowiedziała pielęgniarka zirytowanym tonem, jakby takie rozważania były tylko stratą czasu.

-Wie pani - spojrzał jej prosto w oczy - może to się wydać dziwne, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent przestępstw jest popełnianych w jakimś celu i ma jakiś motyw. Chcę przez to powiedzieć, że nie kradnie się chorego w śpiączce w niedzielę

wieczorem wyłącznie dla kawału. A przy okazji -jest pani absolutnie pewna, że nie przeniesiono tej pacjentki na jakiś inny oddział?

-Jestem tego całkowicie pewna. W recepcji na dole są papiery przewozowe, a chorą wywieziono stąd karetką.

-Z jakiej kompanii był ten ambulans?

-Z żadnej.

Kiedy przyszła dziś rano do pracy, nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że może chodzić o porwanie.

Powiadomiono ją, że zwolniło się łóżko w pokoju 505.

Natychmiast poszła do recepcji. „Uznałam, że to niedopuszczalne. Nikt mnie wcześniej nie uprzedził o transferze pacjentki do innego szpitala. Wie pan, jak to jest, jak się dziś traktuje przełożonych... ale nie w tym rzecz”. Wzięła z recepcji dokumenty i „natychmiast zauważyła”, że coś nie jest w porządku. Brakowało jednego formularza, a niebieski był źle wypełniony. „Zastanawiam się tylko, jak ta kretynka mogła dać się tak nabrać...” Pilguez pragnął poznać nazwisko „kretynki”.

- Ma na imię Emanuelle i pełniła wczoraj wieczorem dyżur w recepcji. To ona do tego dopuściła.

George'owi kręciło się już w głowie od gadulstwa przełożonej. Skoro więc nie było jej na miejscu podczas całego zajścia, sporządził szybko listę pełniących dyżur osób, pożegnał się i wyszedł.

Z samochodu zadzwonił do Nathalii i poprosił o powiadomienie wszystkich osób z jego listy, że mają się stawić w komisariacie przed wyjściem do pracy.

Do wieczora udało mu się przesłuchać wszystkich pracowników nocnej zmiany. Wiedział, że w nocy z niedzieli na poniedziałek fałszywy lekarz, ubrany w skradziony prawdziwemu lekarzowi (nawiasem mówiąc, wyjątkowo antypatycznemu) kitel, pojawił

się w szpitalu w towarzystwie sanitariusza. Miał przy sobie sfalszowane papiery przewozowe. Bez żadnych problemów udało się dwóm oszustom zabrać ciało Lauren Kline, pacjentki pogrążonej od wielu miesięcy w głębokiej śpiączce. Najpóźniej zjawił się w komisariacie student stażysta. Jego zeznanie kazało Pilguezowi skorygować raport: fałszywy medyk mógł być autentycznym lekarzem, został bowiem poproszony o pomoc przez owego stażystę i okazał się prawdziwym fachowcem. Według słów obecnej przy tym zdarzeniu pielęgniarki precyzja, z jaką wykonał nakłucie osierdzia, wskazywałaby, że jest to doświadczony chirurg lub co najmniej lekarz pogotowia. Pilguez chciał wiedzieć, czy zwykły pielęgniarz potrafiłby wykonać taki zabieg. Dowiedział się, że w zasadzie tak, ale tylko odpowiednio przeszkolony. Tymczasem szybkość decyzji, rodzaj wydawanych stażyście poleceń i pewność ręki zdawały się świadczyć raczej o tym, że był to ktoś z grona lekarzy.

-Co już wiesz o tej sprawie? - spytała Nathalia, zbierając się do wyjścia.

-Coś mi tu nie gra. Posłuchaj tylko: w szpitalu zjawia się jakiś konował i zabiera pacjentkę w śpiączce. Fachowa robota, lipny ambulans i sfalszowane papiery.

-Co podejrzewasz?

-Może chodzi o handel organami. Kradną ciała, przewożą je do jakiegoś zakamuflowanego laboratorium, operują, a potem pobierają interesujące ich narządy: wątrobę, nerki, serce, płuca. Następnie sprzedają to za niewiarygodną wprost forszę nieuczciwym klinikom, które narzekają na brak pieniędzy. Poprosił, żeby sporządziła listę wszystkich prywatnych szpitali dysponujących odpowiednim do tego typu zabiegów blokiem operacyjnym i mających problemy finansowe.

-Posłuchaj mnie, staruszk. Jest dziewiąta wieczorem i chcę już wrócić do domu. To może poczekać do jutra. Przecież te twoje kliniki nie przygotowują dla ciebie bilansu przez tę jedną noc!

-Sama widzisz, jaka jesteś niestała. Rano byłaś gotowa wpisać mnie do swojego karnetu, a po kilku godzinach nawet nie chcesz ze mną spędzić szampańskiego wieczoru! Jesteś mi naprawdę potrzebna, Nathalio, pomóż mi, proszę. No, jak będzie?

-Mój drogi George! Chcesz mną manipulować! Rano twój ton brzmiał zupełnie inaczej.

-Może, ale teraz jest wieczór. Więc pomożesz mi czy nie? Zdejmij serdaczek babci i siadaj.

-Masz teraz w sobie tyle czaru, że doprawdy trudno ci się oprzeć. Życzę ci miłego wieczoru.

-Nathalio!

-Tak, George?

-Jesteś cudowna!

-George, moje serce jest już zajęte.

-Nie mierzyłem aż tak wysoko, kochana!

-Sam na to wpadłeś?

-Nie!

-Tak też myślałam.

-Już dobrze, wracaj do domu, sam sobie poradzę.

Nathalia podeszła do drzwi i odwróciła się.

-Jesteś pewien, że dasz sobie radę?

-Jasne! Lepiej zajmij się swoim kotem.

-Jestem uczulona na koty.

-No to zostań i pomóż mi.

-Dobranoc, George!

Zbiegła po schodach, muskając plastik poręczy.

Na piętrze prócz niego nie było nikogo. Policjanci z nocnej służby przebywali na parterze komisariatu. Włączył komputer i wszedł do głównego katalogu. Wystukał słowo „klinika” i podczas gdy komputer rozpoczął poszukiwania, z lubością zapalił papierosa. Kilka minut później drukarka zaczęła wyrzucać gęsto zapisane strony - było ich około sześćdziesięciu. Mruknął coś pod nosem i zaniósł kartki na swoje biurko. „Tylko tyle tego? Aby stwierdzić, które z nich są bez grosza, muszę tylko skontaktować się z jakąś setką banków regionalnych i poprosić o listę prywatnych lecznic, które ubiegały się o kredyty w ciągu ostatnich dziesięciu lat!” Narzekał głośno i złośliwie, gdy nagle z półmroku korytarza dobiegł go głos Nathalii:

- Dlaczego z ostatnich dziesięciu lat?

- Bo tak mi podpowiada instynkt starego psa tropiciela. Po co wróciłaś?

-Bo tak mi podpowiada instynkt kobiecy.

-To ładnie z twojej strony.

-Nie wiem, czy będzie ładnie. Wszystko zależy od miejsca, do którego zaprosisz mnie potem na kolację. Myślisz, że znalazłeś trop?

Wspomniany trop wydawał mu się jednak zbyt oczywisty.

Chciał, żeby Nathalia skontaktowała się z dyżurnym kontrolującym miejskie patrole i spytała, czy przypadkiem nie ma jakiegoś raportu o podejrzanym ambulansie, jeżdżącym po mieście w nocy z niedzieli na poniedziałek. „Kto szuka, nie błądzi. Może i nam coś się trafi” - zawyrokował. Nathalia podniosła słuchawkę. Po drugiej stronie linii dyżurny policjant przeglądał terminal, ale nie znalazł żadnego raportu o dziwnie zachowującej się karetce. Nathalia poprosiła, żeby poszerzył poszukiwania na cały region, ale i tam nie było niczego ciekawego. Dyżurny przeproszał, że nie może pomóc, ale żaden

ambulans nie popełnił wykroczenia i nie był przedmiotem kontroli w nocy z niedzieli na poniedziałek. Zanim odłożyła słuchawkę, poprosiła, by skontaktował się z nią, jeśli tylko tego typu informacja trafi na jego biurko.

-Przykro mi, ale nic nie mają.

-W takim razie zabieram cię na kolację, bo o bankach i tak się teraz niczego nie dowiemy.

Poszli do „Perry'ego” i usiedli w sali o oknach wychodzących na ulicę. George słuchał Nathalii z roztargnieniem i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w okno.

-Powiedz mi, George, od ilu już lat się znamy?

-Nie zadaje się podobnych pytań, moja śliczna.

-Niby dlaczego?

-Ten, kto kocha, nie liczy!

-Pytam: ile?

-Wystarczająco długo, żebyś nauczyła się mnie tolerować.

Jeszcze za krótko, żebyś przestała mnie znosić.

-O nie! Jestem pewna, że znoszę cię o wiele dłużej!

-Coś mi nie pasuje z tymi klinikami. Szukam motywu. Jaki może być motyw?

-Widziałeś się z jej matką?

-Nie. Spotkam się z nią jutro rano.

-A może to ona? Miała już wszystkiego dosyć. To ciągle chodzenie do szpitala...

-Nie opowiadaj głupstw, na pewno nie matka, za duże ryzyko.

-Chcę tylko powiedzieć, że może chciała już z tym skończyć.

Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy widzieć własne dziecko w takim stanie? Pewnie czasem człowiek wolałby, żeby to się wreszcie skończyło. Już chyba łatwiej pogodzić się ze śmiercią.

-Czy możesz sobie wyobrazić matkę, która organizuje coś takiego dla własnej córki?!

-Nie, masz rację, to zbyt naciągane.
-Jak nie będę miał motywu, to niczego nie znajdę.
-Zawsze pozostają ci kliniki.
-Nie sądzę. Znalazłem się w impasie. Intuicja mnie zawodzi.
-Czemu tak mówisz? Przecież chciałeś, żebym została i pomogła ci w pracy!
-Przede wszystkim chciałem zjeść z tobą kolację! Ci dwaj faceci działali zupełnie jawnie! Drugi raz nie będą mogli powtórzyć podobnego numeru. Wszystkie szpitale w hrabstwie zdwoiły czujność, a nie sądzę, żeby cena za jedno ciało była warta aż takiego ryzyka. Ile może kosztować nerka?
-Dwie nerki, wątroba, śledziona, serce... myślę, że wszystko razem jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
-To o wiele drożej niż u rzeźnika!
-Jesteś obrzydliwy.
-Sama widzisz, że to też nie trzyma się kupy. Dla kliniki z problemami finansowymi sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów niczego nie zmieni. W tej sprawie nie chodzi o pieniądze.
-A może tu chodzi o dyspozycyjność.
Wyjaśniła, co miała na myśli: ktoś mógł żyć lub umrzeć - zależało to wyłącznie od dawcy i zgodności organu. Ludzie umierają, bo nie mogą na czas otrzymać nerki czy wątroby. Tak więc ktoś, kto dysponuje odpowiednią sumą pieniędzy, mógł zlecić porwanie osoby w stanie nieodwracalnej śpiączki, aby ratować życie jednego ze swych dzieci lub swoje własne. Pilguez uznał, że taka teoria jest skomplikowana, ale wiarygodna. Ze swej strony Nathalia nie widziała w swoim wywodzie niczego skomplikowanego. To dla niego była nieco zagmatwana. Taki trop znacznie by poszerzał krąg podejrzanych, trzeba by ich szukać nie tylko wśród przestępców. Wiele osób dla ocalenia życia dziecka lub

własnego mogłoby wpaść na pomysł uśmiercenia kogoś, kogo i tak uznano za klinicznie martwego. Taki sprawca wcale nie musi poczuwać się do winy za zabójstwo, biorąc pod uwagę cel, jaki mu przyświecał.

-Myślisz, że trzeba sprawdzić wszystkie kliniki, aby znaleźć zamożnego pacjenta, czekającego na przeszczep? - spytała.

-Mam nadzieję, że nie. Zwłaszcza że byłaby to mrówcza praca i na bardzo śliskim gruncie.

Zadzwoił telefon komórkowy Nathalii. Przeprosiła na moment i odebrała. Słuchała uważnie, coś notowała na serwetce, a w końcu kilka razy podziękowała swojemu rozmówcy.

-Kto to był?

-Gość z dyspozytorni, ten, do którego dzwoniłam przed wyjściem.

-I co?

Dyżurny wpadł na pomysł, żeby przesłać informację do nocnych patroli. Chciał się upewnić, czy któraś z ekip nie zauważyła czegoś podejrzanego, czego nie było w raporcie, bo sprawa mogła się wydać policjantom mało istotna.

- No i?

- No i okazało się to wspaniałym pomysłem! Jeden z radiowozów zatrzymał, a potem śledził pewien ambulans.

Karetka była stara i kręciła się w rejonie Green Street, Filbert i Union Street. Właśnie wczoraj wieczorem.

-Coś mi mówi, że zaczynam czuć trop. Co jeszcze powiedział?

-Że policjanci rozmawiali z facetem, który siedział za kierownicą. Powiedział im, że karetka przechodzi na emeryturę po dziesięciu latach wiernej służby. Pomyśleli, że facet jest bardzo przywiązany do swojego samochodu i jeździł tak w kółko, bo nie mógł się z nim rozstać.

-Jaki to był model?

-Ford, rocznik siedemdziesiąty pierwszy.
Pilguez zaczął szybko liczyć. Jeśli ford, odstawiony na złomowisko wczorajszego wieczoru po dziesięciu latach służby, został wyprodukowany w siedemdziesiątym pierwszym roku, to znaczy, że przez szesnaście lat trzymano go pod kloszem, a dopiero potem oddano do użytku. Kierowca najwyraźniej zbajerował policjantów. Miał trop!

-Najlepszy kąsek zostawiłam na koniec - dodała Nathalia.

-Co takiego?

-Jechali za nim aż do warsztatu, gdzie zostawił wóz. I mają adres.

-Wiesz co, Nathalio, dobrze, że nie jesteśmy razem, ty i ja.

-Dlaczego mówisz mi to właśnie teraz?

-Bo coś mi się zdaje, że byłbym rogaczem.

-Wiesz, co ci powiem, George? Jesteś wyjątkowym durniem. Pewnie zechcesz zaraz tam pójść?

-Nie. Zaczekam do rana. Warsztat jest teraz zamknięty, a bez nakazu i tak mam związane ręce. Poza tym wolę tam pójść, nie zwracając na siebie uwagi. Nie chcę przecież przyskrzynieć karetki, tylko facetów, którzy się nią posłużyli. Będzie lepiej, jeśli udam klienta, kogoś z ulicy. Nie chcę zagnać lisa do nory. Pilguez zapłacił rachunek i wyszli na ulicę. Miejsce, gdzie zatrzymano karetkę, znajdowało się zaraz za skrzyżowaniem, niedaleko restauracji, w której jedli. George spojrział w tamtym kierunku, jakby chciał wyobrazić sobie tę scenę.

-Wiesz, co sprawiłoby mi przyjemność? - spytała Nathalia.

-Nie, ale zaraz mi to powiesz.

-Mógłbyś przenocować u mnie, nie mam ochoty spać sama dzisiaj w nocy.

-A masz szczoteczkę do zębów?

-Mam twoją!

-Lubię się z tobą drażnić, tylko przy tobie dobrze się bawię. Chodźmy, ja też chciałem spędzić z tobą ten wieczór. Już od dawna nie byliśmy razem.

-No tak. Od zeszłego czwartku.

-No właśnie.

Kiedy zgasili światło półtorej godziny później, George był prawie pewien, że uda mu się rozwiązać tę zagadkę, a jego przeczucia sprawdzały się zwykle w pięćdziesięciu procentach. Wtorek okazał się bardzo owocny. Po spotkaniu z panią Kline inspektor nie miał już żadnych podejrzeń. Dowiedział się, że lekarze sami zaproponowali, by przerwać wegetację jej córki. Od dwóch lat prawo przymykało oczy w tego typu przypadkach. Matka okazała się bardzo chętna do współpracy z policją; sama była niezwykle zbulwersowana, a Pilguez doskonale potrafił odróżnić prawdziwą rozpacz od pozorowanego bólu. Pani Kline zdecydowanie nie była typem osoby, która mogłaby zorganizować taką operację. W warsztacie odnalazł podejrzaną karetkę. Zdumiał się, gdy wszedł do środka budynku; zakład specjalizował się w naprawie samochodów służb ratowniczych. Inspektor nie mógł podać się za zwykłego klienta, bo znajdowały się tu tylko karetki czekające na przegląd techniczny. Właściciel zatrudniał czterdziestu mechaników, a w administracji -około dziesięciu. W sumie więc było pięćdziesięciu ewentualnych podejrzanych. Właściciel wysłuchał inspektora z wyrazem powątpiewania na twarzy. Zastanawiał się, czym mogli kierować się przestępcy, najpierw kradnąc z warsztatu samochód, a następnie odstawiając go grzecznie na miejsce, zamiast jak najprędzej się go pozbyć. Pilguez wyjaśnił, że kradzież samochodu zgłoszono by na policję i ten ślad mógłby doprowadzić do ujęcia złodziei. Jeden z pracowników najprawdopodobniej był w zмовie z

przestępcami, aby „wypożyczenie” karetki nie zwróciło niczyjej uwagi.

Należało go tylko zidentyfikować. Zdaniem właściciela żaden z jego podwładnych nie ma nic wspólnego z całą tą sprawą.

Zamek nie nosił śladów włamania, a nikt nie miał kluczy, by niespostrzeżenie dostać się tu nocą. Pilguez chciał się dowiedzieć, co mogło skłonić złodzieja do „wypożyczenia” tak starego modelu karetki. Usłyszał w odpowiedzi, że jest to jedyny model, który prowadzi się jak zwykły samochód osobowy. Według Pilgueza potwierdzało to słuszność jego podejrzeń, iż jeden z pracowników musiał być zamieszany w tę sprawę. Na jego pytanie, czy w godzinach pracy można wynieść klucz i dorobić duplikat, właściciel odpowiedział: „Mogłoby się tak zdarzyć. Podczas przerwy obiadowej zamyka się bramę”. A więc wszyscy mogli być podejrzani. Pilguez zagłębił się w lekturze danych personalnych pracowników warsztatu.

Szczególną uwagę zwrócił na tych, którzy przestali tu pracować w ciągu ostatnich dwóch lat. W komisariacie pojawił się około czternastej. Nathalia jeszcze nie wróciła z lunchu. Położył na swym biurku pięćdziesiąt siedem teczek personalnych, które przywiózł z warsztatu, i sam zabrał się do ich przeglądania.

Nathalia przysłała około piętnastej, z nową fryzurą, pewnie prosto od fryzjera. Jej mina świadczyła, że dobrze się przygotowała do odpierania sarkastycznych uwag inspektora.

- Tylko nic nie mów, George, bo zaraz palniesz jakieś głupstwo!
- uprzedziła, wchodząc, nim jeszcze zdążyła odłożyć torebkę na miejsce.

Podniósł oczy znad papierów, zmierzył ją spojrzeniem i uśmiechnął się. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podeszła i położyła mu palec na ustach: „Chyba coś znalazłam, coś, co zainteresuje cię bardziej niż moja nowa fryzura. Powiem ci, ale

pod warunkiem, że nie będziesz wygłaszał żadnych komentarzy, zgoda?" George zrobił gest, jakby był zakneblowany, i wydał dźwięk wyrażający akceptację zaproponowanego mu układu. Dopiero wtedy zabrała palec.

-Zadzwoń dzisiaj matka tej małej. Przypomniała sobie pewien ważny dla śledztwa szczegół. Prosiła, żebyś do niej zatelefonował. Siedzi w domu i czeka na twój telefon.

-Wiesz co, uwielbiam twoją fryzurę.

Nathalia uśmiechnęła się i wróciła do swego biurka, a Pilguez sięgnął po telefon.

Pani Kline poinformowała go o dziwnej rozmowie z młodym człowiekiem, przypadkowo spotkanym w Marinie, który okazał się zdecydowanym przeciwnikiem eutanazji.

Opisała ze szczegółami całe zajście. Młody mężczyzna był architektem i powiedział, że poznał Lauren w szpitalu, kiedy trafił tam po wypadku motocyklowym. Twierdził, że często bywali razem w restauracjach. To wydało się pani Kline nieco podejrzanym, bo chociaż pies wyraźnie go rozpoznał, to córka nigdy nie wspomniała matce o młodym architekcie. A przecież spotykali się podobno od dwóch lat! Ten ostatni szczegół powinien chyba ułatwić śledztwo. „Zobaczmy - mruknął Pilguez. - Reasumując: chce pani, żebym odnalazł architekta, który miał wypadek na motorze, a pani córka go zszywała. Czy jest podejrzanym dlatego, że podczas przypadkowego spotkania okazał się zdeklarowanym przeciwnikiem eutanazji?" „Czy nie wydaje się panu, że to wystarczający motyw?" - spytała. „Raczej nie" - odpowiedział i odłożył słuchawkę.

-No i co? - zapytała Nathalia.

-Wiesz, chyba lepiej ci było w tamtej fryzurze, z dłuższymi włosami.

-Jasne, niepotrzebnie się cieszyłam.

Powrócił do przeglądania akt, ale żaden z pracowników nie pasował mu do tej sprawy. Zły, umieścił wygodnie słuchawkę między uchem a brodą i zadzwonił do szpitalnej centrali.

Telefonistka odebrała dopiero po dziewiątym sygnale.

-Łatwiej chyba umrzeć niż się do was dodzwonić!

-W tej sprawie powinien pan zatelefonować bezpośrednio do kostnicy! - odpaliła bez chwili namysłu.

Pilguez przedstawił się i spytał, czy szpitalny system informatyczny pozwoliłby mu odszukać pacjenta na podstawie jego zawodu i typu schorzenia. „To zależy od tego, jaki okres pana interesuje” - odpowiedziała. Zaraz potem dodała, że obowiązuje ją tajemnica lekarska i nie może udzielać tego typu informacji, zwłaszcza przez telefon. Rzucił słuchawkę bez pożegnania, sięgnął po płaszcz i wyszedł z biura. Zbiegł po schodach, wyszedł na parking i szybkim krokiem ruszył do samochodu. Postawił koguta na dachu i przejechał przez miasto na syrenie, klnąc na czym świat stoi. Znalazł się przed Memorial Hospital dziesięć minut później i stanął przed dyżurną.

-Proście, żebym wam odnalazł młodą kobietę w stanie śpiączki, którą ktoś sobie wypożyczył w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Albo natychmiast ktoś mi tu pomoże i nie będzie mi zawracał gitary głędzeniem o tajemnicy lekarskiej, albo sobie odpuszczam i biorę się do innej sprawy.

-Co mogę dla pana zrobić? - usłyszał głos Jarkowizski, która nagle zjawiała się w drzwiach.

-Chcę się dowiedzieć, czy wasze komputery mogą mi wyszukać architekta zranionego w wypadku i który został tu przyjęty przez waszą zaginioną.

-Kiedy to się zdarzyło?

-Mniej więcej przed dwoma laty.

Pochyliła się nad komputerem i postukała w jakieś klawisze.

- Przejrzemy rejestrację pacjentów i poszukamy architekta. To potrwa kilka minut.

-Zaczekam.

Komputer odpowiedział po sześciu minutach. W ciągu ostatnich dwóch lat żaden architekt z takimi obrażeniami nie był leczony w tym szpitalu.

- Jest pani pewna?

Przełożoną cechowała skrupulatność. Zawsze pilnowała, żeby rubryka „zawód” była wypełniona ze względu na firmy ubezpieczeniowe i statystykę dotyczącą wypadków przy pracy. Inspektor podziękował i natychmiast pojechał do komisariatu. Już w samochodzie ta sprawa zaczęła go dręczyć. Znał dobrze to uczucie i wiedział, że może ono w każdej chwili zmobilizować jego koncentrację, wyeliminować wszystkie fałszywe tropy i skierować na właściwy ślad. Wyjął komórkę i zadzwonił do Nathalii.

-Sprawdź, czy w okolicy, gdzie zatrzymano ambulans, nie mieszka przypadkiem jakiś architekt. Dzwon na komórkę.

-To był rejon Union, Filbert i Green?

-I Webster, ale możesz to rozszerzyć o dwie dalsze przecznice.

-Zadzwoń do ciebie - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

W interesującym inspektora kwartale ulic były trzy pracownie architektoniczne i tylko jedno mieszkanie zajęte przez architekta. Jedna z pracowni mieściła się na ulicy sąsiadującej ze sprawdzanym rejonem, a pozostałe - dwie ulice dalej. Po powrocie do komisariatu Pilguez zadzwonił do wszystkich tych pracowni, chcąc się dowiedzieć, ilu zatrudniały pracowników. Było ich łącznie dwudziestu siedmiu. Tak więc o osiemnastej trzydzieści miał w sumie około osiemdziesięciu podejrzanych. Jeden z nich czekał, być może, na przeszczep; on albo ktoś z

jego bliskich. Rozmyślał przez chwilę, a potem zwrócił się do Nathalii:

- Czy w ciągu najbliższych dni nie będziemy mieli przypadkiem o jednego stażystę za dużo?

-U nas nigdy nie ma za dużo personelu! Gdyby było inaczej, wracałabym do domu jak normalny człowiek i nie żyłabym niczym stara panna.

-Sprawiasz mi ból, skarbie, ale wyślij któregoś z nich pod dom tego architekta. Może uda mu się zrobić zdjęcie, kiedy facet będzie wracał do domu.

Następnego dnia rano Pilguez dowiedział się, że stażysta niepotrzebnie czekał na ulicy - architekt nie wrócił na noc do domu.

-Bingo! - ucieszył się inspektor. Wezwał stażystę: - Posłuchaj, dziś wieczorem chcę mieć na biurku wszystko, co dotyczy tego faceta: wiek, czy jest pedałem, ćpunem, gdzie pracuje, czy ma psa, kota, papugę, gdzie teraz przebywa, gdzie studiował, czy był w wojsku, jakie ma nawyki i dziwactwa. Skontaktujesz się z armią, FBI i guzik mnie obchodzi, z kim jeszcze, ale muszę o nim wiedzieć absolutnie wszystko.

-Ja sam jestem pedałem, panie inspektorze! - oznajmił z pewną dumą stażysta. - Ale to wcale mi nie przeszkodzi w wykonaniu zleconego przez pana zadania.

Inspektor zasepił się. Spędził resztę dnia na próbie ułożenia łamigłówek w jakąś logiczną i spójną całość, ale osiągnięte wyniki wcale nie były optymistyczne. Jeśli nawet, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, odnaleziono karetkę, to teczki osobowe pracowników warsztatu nie zawierały niczego podejrzanego. A to z kolei oznaczało mnóstwo przesłuchań na całym, objętym śledztwem terenie. Należało też zająć się ponad sześćdziesiątką architektów, pracujących lub mieszkających w

okolicy miejsca, gdzie w nocy, kiedy uprowadzono ciało, zauważono krążący ambulans.

Jeden z nich będzie, być może, bardziej podejrzany niż inni. Ten, który pogłaskał psa ofiary i był zdeklarowanym przeciwnikiem eutanazji. Ale Pilguez sam przyznawał w duchu, że nie jest to przekonujący motyw porwania. W końcu uznał, aby zacytować jego słowa, że trafiło mu się „gówniane śledztwo”.

W środę rano nad Carmelem wstało słońce zasnutę strzępami mgieł. Lauren obudziła się wcześniej. Po cichutku wyszła z pokoju, nie chcąc obudzić Arthura, złorzecząc, że nawet prostego śniadania nie może mu zrobić. Kiedy pierwsza złość minęła, przyznała, że i tak ma szczęście: w tej dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazła, Arthur mógł jej jednak dotykać, mogli się kochać i przeżywać wspólne uniesienia. Jakby była kobietą z krwi i kości. Działo się coś dziwnego, cała seria zjawisk, których nigdy nie zdoła i nawet nie będzie próbowała zrozumieć.

Przypomniała sobie, co pewnego dnia powiedział do niej ojciec: „Nie ma rzeczy niemożliwych, jedynie ograniczenia naszego umysłu określają je jako nieosiągalne. Niekiedy trzeba rozwiązać ogromną liczbę równań, aby dojść do nowego sposobu rozumowania. Tak więc jest to tylko kwestia czasu i ograniczeń naszego umysłu. Aby wykonać przeszczep serca, wznieść do góry ważący trzysta pięćdziesiąt ton samolot, spacerować po Księżycu - to wszystko wymagało nie tylko ogromu pracy, ale przede wszystkim wyobraźni. Tak więc kiedy nasi uczeni, wielce uczeni, oznajmiają, że niemożliwy jest przeszczep mózgu, podróże z prędkością światła, sklonowanie istoty ludzkiej, to ja twierdzę, że niczego się nie nauczyli ani o własnych ograniczeniach, ani o tym, iż wszystko jest możliwe, i

że to tylko kwestia czasu. Czasu na uzmysłowienie sobie, jak bardzo jest to możliwe".

Wszystko, co obecnie przeżywała i czego doświadczała, było sprzeczne z zasadami logiki, niewytłumaczalne i stało w sprzeczności z całą jej dotychczasową wiedzą, ale przecież było, istniało. A od dwóch dni uprawiała miłość z mężczyzną, który potrafił dać jej tyle emocji i wrażeń, jakich istnienia nie podejrzewała nawet wtedy, gdy była kobietą z krwi i kości; gdy duch i ciało tworzyły jedność. I teraz, kiedy patrzyła na wznoszącą się nad horyzontem cudowną ognistą kulę, miała tylko jedno pragnienie: niech to wszystko trwa jak najdłużej. Arthur obudził się wkrótce po niej. Ręką poszukał jej w łóżku, nie znalazł, więc wstał, włożył szlafrok i wyszedł przed dom. Przeczesał palcami potargane włosy, chcąc doprowadzić je do względnego porządku. Znalazł Lauren na skałach i zanim zdążyła zauważyć jego obecność, oplótł ją ramionami.

-Co za widok! - powiedział. - Naprawdę robi wrażenie.

-Wiesz, pomyślałam sobie, że skoro nie jest nam dane robienie planów na przyszłość, to powinniśmy zamknąć walizkę i żyć terazniejszością. Chcesz się napić kawy?

-I to koniecznie. A potem cię zabiorę i pokażę uchatki, które kąpią się przy skałach.

-Najprawdziwsze uchatki?

-I foki, i pelikany, i... nigdy tu przedtem nie byłaś?

-Już raz chciałam tu przyjechać, ale marnie się to skończyło.

-To pojęcie względne. Wszystko zależy od tego, pod jakim kątem na to spojrzysz. I czy przypadkiem nie mówiłaś, że powinniśmy zamknąć walizkę i żyć terazniejszością?

W tę samą stronę stażysta położył na biurku Pilguezę grubą teczkę z zebranymi materiałami. Zrobił przy tym specjalnie trochę hałasu.

- Co tam jest? - spytał inspektor, zanim jeszcze zajrzał do środka.
- Będzie pan rozczarowany i jednocześnie zachwycony. Cierpliwość Pilguezera niebezpiecznie zbliżała się do granic jego wytrzymałości. Poprawiał węzeł krawata: „Jeden dwa, jeden dwa, mikrofon działa, gadaj wreszcie!” Stażysta zajrzał do notatek: jego architekt był niczym niewyróżniającym się obywatelem. Zwykłym, normalnym facetem. Nie ćpał, dobrze żył z sąsiadami, a jego kartoteka była czysta jak łąka. Skończył studia w Kalifornii, potem mieszkał przez pewien czas w Europie, skąd wrócił do rodzinnego miasta. Nie należał do żadnej partii politycznej, nie był członkiem żadnej sekty, nie działał w żadnej organizacji. Regularnie płacił podatki i mandaty i nigdy nie został zatrzymany ani za jazdę po pijanemu, ani za przekroczenie prędkości. „Jednym słowem: nudziarz”.
- Więc czym mam być tak zachwycony?
- Bo nawet nie jest pedałem!
- Cholera jasna, nie mam nic przeciwko pedałom, skończ z tym wreszcie! Jest coś jeszcze w twoim raporcie?
- Mam jego poprzedni adres, zdjęcie, ale trochę stare; zdobyłem je w wydziale komunikacji, pochodzi sprzed czterech lat, facet musi odnowić prawo jazdy przed końcem roku. Mam też artykuł, który opublikował w „Przełądzie Architektonicznym”, kopie jego dyplomów, wyciągi z konta bankowego i tytuły własności.
- Jak ci się to udało?
- Mam kumpla, który pracuje w urzędzie skarbowym. Pański architekt jest sierotą, odziedziczył dom nad zatoką Monterey.
- I myślisz, że spędza tam wakacje?
- On tam jest. I właśnie ta jego chałupa mocno pana zainteresuje.
- Niby dlaczego?

-Bo nie ma tam telefonu, a ponieważ dom leży na uboczu, wydało mi się to dość dziwne. Linię odłączono dziesięć lat temu i nigdy ponownie jej nie podłączono. Ale za to w zeszły piątek kazał włączyć elektryczność i wodę. Pojechał do tego domu w ubiegły weekend, po raz pierwszy od wielu lat. No, ale to nie jest przestępstwem.

-No właśnie. Ale, widzisz, ta ostatnia wiadomość bardzo mnie ucieszyła.

-Wcale się nie dziwię.

-Odwalileś kawał dobrej roboty. Będzie z ciebie dobry gliniarz, jeśli nadal będziesz rozumował w taki zagmatwany sposób.

-Skoro słyszę to z pana ust, mogę chyba potraktować to jako komplement?

-No jasne! - wtrąciła Nathalia.

-Teraz pójdziesz do mamy Kline, pokażesz jej zdjęcie i spytasz, czy to ten sam gość, którego spotkała w Marinie i który jest takim przeciwnikiem eutanazji. Jeśli się okaże, że to on, mamy naprawdę poważny ślad.

Stażysta wyszedł z komisariatu, a George Pilguez zagłębił się w lekturze akt Arthura. Czwartkowy poranek okazał się bardzo owocny. Kiedy inspektor pojawił się w pracy, stażysta poinformował go, że pani Kline zidentyfikowała osobnika ze zdjęcia. Ale dopiero gdy wychodził z Nathalia na obiad, otrzymał najważniejszą informację. Miał ją pod nosem przez cały czas, ale po prostu jej sobie nie skojarzył. Adres uprowadzonej ze szpitala kobiety okazał się także adresem młodego architekta. Za dużo było tych zbiegów okoliczności, by nie dojść do wniosku, że Arthur tkwi w tej sprawie po uszy.

-Powinieneś być zadowolony, twoje śledztwo nabiera przyspieszenia. Dlaczego więc jesteś taki skwaszony? - spytała Nathalia, sącząc swoją colę light.

-Ponieważ nie rozumiem, po co miałby to robić. Jaki miałby w tym interes. Nie wygląda na świra czy na zбочeńca. Nie idzie się ot tak do szpitala i wykrada stamtąd dziewczynę w śpiączce, żeby zaimponować kumplom. Tu potrzeba solidnej motywacji. Na dodatek w szpitalu mówili, że potrzeba pewnego doświadczenia, aby przeprowadzić to całe nakłucie koło sierdzia.

-Nie koło sierdzia, tylko osierdzia. Może był jej chłopakiem? Jednak pani Kline stanowczo temu zaprzeczała. Była niemal pewna, że Lauren i Arthur nigdy się nie znali.

-A mieszkanie? Może to ma jakiś związek? - zastanowiła się Nathalia.

-Też nie - uciął inspektor.

Architekt wynajął to mieszkanie przez agencję nieruchomości i zamieszkał w nim przez czysty przypadek. Już miał podpisać umowę na Filbert, kiedy jeden z pracowników agencji koniecznie chciał mu pokazać jeszcze jedno mieszkanie, „które właśnie uzyskali”.

-Znasz ten typ gorliwców z kokieteryjnym uśmiechem na twarzy; koniecznie chcą zyskać zaufanie klientów i bardzo angażują się w pracę.

-Czyli nie szukał tego mieszkania celowo.

-Nie, to po prostu zbieg okoliczności.

-Czy w takim razie to na pewno on?

- Tego nie potrafię powiedzieć - odparł lakonicznie.

Żaden z elementów, traktowanych z osobna, nie stanowił dowodu na to, że Arthur był zamieszany w sprawę. Jednak poszczególne części puzzli zaczęły tworzyć pewien niepokojący obraz. Ale co z tego? Bez motywu Pilguez był bezradny, nie mógł nic zrobić. „Nie można oskarżyć faceta tylko dlatego, że wynajmuje mieszkanie porwanej kilka dni temu kobiety. Żaden

prokurator na to nie pójdzie". Nathalia wpadła na pomysł, żeby inspektor go przesłuchał: „Jak mu poświecisz lampą w oczy, to facet zmięknie!" Stary glina zarechotał.

- Już sobie wyobrażam początek takiego przesłuchania:

„Szanowny panie, wynajmuje pan mieszkanie kobiety, która od kilku miesięcy jest w stanie śpiączki i która właśnie została porwana ze szpitala w nocy z niedzieli na poniedziałek. W piątek poprzedzający porwanie kazał pan podłączyć wodę i elektryczność w swoim wiejskim domu. Dlaczego?" W tym momencie facet wbija we mnie zdumiony wzrok i mówi, że chyba nie zrozumiał sensu mojego pytania. Z tego wniossek, że należałoby mu od razu szczerze powiedzieć, iż to nasz jedyny ślad w tym śledztwie i byłoby nam bardzo miło, gdyby to on okazał się przestępcą.

-Weź dwa dni wolnego i posiedź go trochę!

-Bez nakazu prokuratora nic mi po tym.

-Chyba że wrócisz stamtąd z ciałem, jeśli dziewczyna jest jeszcze przy życiu!

-Myślisz, że to on?

-Wierzę w twój nos, wierzę w materiał, który zebrałeś. A przede wszystkim wiem, że kiedy masz taką minę jak teraz, jesteś już pewien, że masz winnego, nie wiesz jeszcze tylko, jak go przyskrzynić. George, najważniejszą sprawą jest odnalezienie dziewczyny, to przecież najprawdziwsze porwanie, nawet jeśli ofiara jest w śpiączce. Więc płac rachunek i jedź na wieś!

Pilguez wstał, cmoknął Nathalię w czoło, położył na stoliku dwa banknoty i szybkim krokiem wyszedł na ulicę.

Podczas trwającej trzy godziny drogi do Carmelu nie przestawał myśleć o motywie. Zastanawiał się także, w jaki sposób zbliżyć

się do Arthura. Nie chciał go ani spłoszyć, ani dać powodu do podejrzeń.

Stary dom powoli powracał do życia. Jak dzieci, które starają się nie wychodzić poza linie kolorowanych przez siebie rysunków, tak Lauren i Arthur wchodzili do kolejnych pokoi, otwierali okiennice, zdejmowali pokrowce z mebli, wycierali kurze, pucowali, przeglądali wszystkie szafy. I tak z wolna wspomnienia i przeszłość zmieniały się w terażniejszość. Życie upominało się o swoje prawa. Tego czwartku niebo było zachmurzone, a fale oceanu wydawały się pochłonięte chęcią strzaskania skał, które zamykały im dostęp do drogi w dole ogrodu. Pod koniec dnia Lauren usiadła na werandzie i przyglądała się temu widowisku. Woda stała się szara, niosła ze sobą algi i splątane gałęzie drzew. Niebo zrobiło się fiołkowo-różowe, a potem czarne. Lauren była szczęśliwa; lubiła, kiedy natura wyrzuca z siebie nagromadzony gniew. Arthur skończył porządki w saloniku, bibliotece i gabinecie matki. Następnego dnia miał zamiar zająć się piętrem i wysprzątać znajdujące się tam trzy pokoje.

Usiadł na leżących na ganku poduszkach i spoglądał na Lauren.

-Czy wiesz, że od obiadu przebrałaś się już dziewięć razy?

-Wiem, to przez ten żurnal, który kupiłeś. Nie mogę się zdecydować na strój, wszystkie modele są wspaniałe.

-O twojej metodzie robienia zakupów mogłaby marzyć każda kobieta.

-Zaczekaj, jeszcze nie widziałeś wkładki ze środka!

-A co tam jest?

-Nic nie mów! To specjalny dodatek z damską bielizną.

I Arthur stał się widzem najbardziej zmysłowego pokazu mody, jaki kiedykolwiek mógł oglądać mężczyzna. A potem, z uczuciem czułości i słodczy spełnionej miłości, gdy ukoili już

dusze i ciała, pozostali w mroku, przytuleni do siebie, i patrzyli na ocean. W końcu usnęli, kołysani szumem fal.

Pilguez dojechał na miejsce tuż przed zapadnięciem zmroku. Zatrzymał się w Carmel Valley Inn. Recepcjonistka wręczyła mu klucz do dużego pokoju z widokiem na morze. Pokój znajdował się w bungalowie, w górnej części parku nad zatoką - musiał tam podjechać samochodem. Zaczął rozpakowywać torbę podróżną, gdy pierwsze błyskawice rozświetliły niebo. Pomyślał, że mieszka zaledwie o trzy i pół godziny drogi stąd, a przecież nie przyszło mu nigdy do głowy, żeby tu przyjechać. I w tym momencie zapragnął porozmawiać z Nathalią, chciał razem z nią, nie w samotności, przeżyć tę chwilę. Podniósł słuchawkę, westchnął i delikatnie odłożył ją na miejsce, nie wystukawszy numeru.

Zamówił zimny półmisek, rozsiadł się przed telewizorem i zasnął, zanim wybiła dziesiąta.

Wczesnym rankiem słońce świeciło już wystarczająco mocno, by przegnać kłębiące się największe chmury, a te mniejsze wolały same opuścić pole wałki. Wokół domu tworzyła się wilgotna mgiełka. Arthur obudził się na werandzie. Lauren spała z zaciśniętymi piąstkami. Sen - to było dla niej coś nowego. Nie mogła zasnąć przez całe długie miesiące, co sprawiało, że dni straszliwie się dłużyły. Ukryty wysoko za skarpią niedaleko ganku, wyposażony w precyzyjną lornetkę (prezent na dwudziestolecie służby), George obserwował ogród i dom. Około jedenastej zobaczył Arthura idącego parkiem w jego kierunku. Podejrzany skrzył obok rozarium na prawo i otworzył drzwi garażu.

Po wejściu do środka Arthur ujrzał silnie zakurzoną plandekę. Uniósł ją, odsłaniając elegancką linię forda, rocznik 1961. Pod pokrowcem wyglądał jak samochód z kolekcji. Arthur

uśmiechnął się na myśl o maniakalnej pedantyczności Antoine'a. Obszedł samochód i otworzył tylne lewe drzwi. Poczł intensywny zapach starej skóry. Wsiadł, zamknął drzwi, potem oczy. Przypomnił mu się pewien zimowy wieczór przed Masy's na Union Square. Ujrzał mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, tego samego, którego chciał zlikwidować za pomocą międzygalaktycznej broni. Uratowała go czła naiwność matki: Lili po prostu stanęła na linii strzału. Ten atomowy dezintegrator z pewnością był jeszcze naładowany. Wspomnił o Bozym Narodzeniu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, kiedy zaklinował się w rurze centralnego ogrzewania wraz z elektryczną kolejką.

Zdawało mu się, że słyszy pomrukiwanie silnika; otworzył okno i wysunął głowę. Na włosach poczuł wiatr ze wspomnień.

Wyciągnął na zewnątrz ugiętą rękę i udawał, jak wtedy, gdy był małym chłopcem, że jest to skrzydło samolotu. Poruszał ręką, zmieniając kąt nachylenia w stosunku do wiatru: podnosił ją w kierunku dachu garażu, by za chwilę ostro pikować w dół.

Kiedy wreszcie otworzył oczy, ujrzał małą kartkę przyklejoną do kierownicy.

Arthurze, jeśli chcesz uruchomić samochód, prostownik znajdziesz na półce po prawej stronie. Zanim przekręcisz kluczyk w stacyjce, przyciśnij dwa razy pedał gazu, by uruchomić w ten sposób dopływ benzyny. Nie bądź zdziwiony, to ford z 1961 roku, więc ma czterosuwowy silnik. Jeśli trzeba będzie napompować opony, kompresor znajdziesz pod prostownikiem. Całuję Cię. Antoine.

Wysiadł z samochodu, poszedł w stronę półek i wtedy ją zobaczył. W kącie garażu stała łódka. Podszedł i pieszczotliwie pogłaskał ją czubkami palców. Pod drewnianą ławką znalazł swoją wędkę, zielona żyłka owinięta była wokół korkowego

splawika. Na końcu żyłki tkwił nawet zardzewiały haczyk. Wzruszenie chwyciło go za gardło, musiał na chwilę przykłęknąć. Kiedy wstał, wziął z półki prostownik, podniósł maskę starego forda, podłączył elektrody i włożył wtyczkę do gniazdka. Przed wyjściem z garażu otworzył na oścież rozsuwane drzwi.

George wyjął notes i zaczął robić notatki. Nie spuszczał czujnego wzroku z podejrzanego. Widział, jak Arthur nakrywa do stołu w altanie, siada, zjada obiad, a po posiłku sprząta ze stołu. George też zrobił sobie przerwę na zjedzenie kanapki, kiedy Arthur, planując sjęstę, ułożył się na poduszkach w zacienionym patiu. Śledził go nadal, gdy młody człowiek ponownie poszedł do garażu; usłyszał dochodzący stamtąd odgłos pracującego kompresora, a potem, już wyraźniej, warkot silnika, który zapalił po dwóch kichnięciach. Kiedy zobaczył, że ford zjeżdża w kierunku bramy, postanowił na dzisiaj przerwać obserwację i pojechać do miasteczka, by zebrać trochę informacji o tej dziwnej postaci. Wrócił do motelu około dwudziestej i zadzwonił do Nathalii.

-No i co masz? - spytała.

-Właściwie nic. Nic nadzwyczajnego. Albo prawie nic. Jest sam, cały dzień coś dłubie, robi porządki, majsterkuje, robi sobie przerwę na obiad i kolację. Wypytałem o niego sklepikarzy. Dom należał do jego matki, zmarła dawno temu. Potem mieszkał w nim ogrodnik, aż do swojej śmierci. Sama widzisz, niewiele się posunąłem. Ma przecież prawo powrócić do domu swojej matki, jeśli mu się to podoba.

-To dlaczego powiedziałeś: „prawie”?

-Bo jakoś dziwnie się zachowuje. Mówi sam do siebie, a kiedy siada do stołu to tak, jakby miał towarzystwo. Albo przez chwilę

stoi twarzą do morza i trzyma w powietrzu ramię. A wczoraj wieczorem, w patiu, przytulał się sam do siebie.

-Jak to?

-Jakby baraszkował z jakąś kobitką, tyle że był zupełnie sam!

-Może w ten sposób na nowo przeżywa wspomnienia?

-Trochę tu za dużo tych „może” u mojego drogiego kandydata!

-Więc nadal wierzysz w ten ślad?

-Nie wiem, moja śliczna, ale w jego zachowaniu jest jeszcze coś dziwnego.

-Co takiego?

-Jak na winnego jest niesłuchanie spokojny.

-Czyli dalej wierzysz.

-Dam sobie jeszcze dwa dni, a potem wracam. Jutro zrobię inspekcję terenu.

-Tylko bądź ostrożny!

Odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko.

Arthur pieścił klawiaturę pianina opuszkami palców. I chociaż instrument wymagał natychmiastowego strojenia, pokusił się o przypomnienie sobie „Clair de lune” Debussy'ego, omijając kilka zbyt fałszywie brzmiących klawiszy. To był ulubiony fragment Lili. Nie przerywając grania, zwrócił się do Lauren siedzącej na parapecie w swojej ulubionej pozycji -jedna noga wyciągnięta wzdłuż parapetu, druga podwinięta, a plecy oparte o ścianę.

-Jutro pojedę do miasta po zakupy. Zamknę dom. Niczego już prawie nie mamy.

-Arthurze, jak długo jeszcze będziesz rezygnował z dotychczasowego życia?

-Czy koniecznie teraz chcesz o tym dyskutować?

-Być może pozostanę w tym stanie przez całe lata i zadaję sobie pytanie, czy jesteś świadomy tego, w co się angażujesz. Przecież

masz swoją pracę, przyjaciół, obowiązki, jednym słowem - cały swój świat.

-A czymże jest ten mój świat? Ja nie należę do żadnego miejsca, jestem z każdego z nich. Lauren, ja nie mam swojego świata, jesteśmy tu dopiero od niecałego tygodnia, a ja od dwóch lat nie miałem urlopu. Daj mi więc trochę czasu.

Wziął ją w ramiona i udał, że zamierza się zdrzemnąć.

-To nieprawda, masz swój świat. Każdy z nas go ma. Aby dwoje ludzi mogło żyć ze sobą, nie wystarczy, że się kochają. Muszą jeszcze do siebie pasować i powinni się spotkać w odpowiednim momencie. A z nami raczej tak nie jest.

-Czy już ci mówiłem, że cię kocham? - spytał nieśmiało.

-Dałeś mi dowody miłości - odparła. - To o wiele więcej. Nie wierzyła w przypadek. Dlaczego to właśnie on był tą jedyną na świecie osobą, z którą mogła rozmawiać, porozumiewać się? Dlaczego tak doskonale się rozumieli, dlaczego zdawał się wszystko o niej wiedzieć?

-Dlaczego dajesz mi to, co masz najlepszego, otrzymując tak mało w zamian?

-Bo zjawiałaś się tak szybko i niespodziewanie, bo tu jesteś, bo chwila bez ciebie to już bardzo wiele. Dnia wczorajszego już nie ma, jutra jeszcze nie ma, więc liczy się jedynie dzisiaj, terazniejszość.

Dodał jeszcze, że nie ma już wyboru, musi zrobić wszystko, by nie pozwolić jej umrzeć...

Ale Lauren bała się właśnie tego, „co jeszcze nie istnieje”.

Arthur uspokajał ją, mówiąc, że następny dzień będzie taki, jakim ona sama zechce go uczynić. Będzie mogła żyć poprzez to, co ofiaruje innym i co sama zechce od nich wziąć. „Każdy jutrzejszy dzień dla wszystkich jest wielką tajemnicą, ale ta tajemnica powinna prowokować do śmiechu i urzeczywistnienia

marzeń, nie zaś do strachu i odrzucenia". Całował powieki Lauren, zacisnął jej dłoń w swojej, potem przywarł do jej pleców. Nad ich głowami zapadła głęboka noc. Właśnie porządkował bagażnik starego forda, kiedy dostrzegł tuman kurzu od strony drogi w górnej części parku. Pilguez zjeżdżał w dół prywatną drogą, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Zatrzymał wóz przed gankiem. Arthur podszedł do niego, ręce miał zajęte wyciągniętymi z bagażnika rupieciami.

-Dzień dobry, czym mogę służyć? - spytał.

-Jadę prosto z Monterey. W agencji nieruchomości dowiedziałem się, że ten dom jest niezamieszany, a właśnie chcę coś kupić w tej okolicy. Więc przyjechałem, żeby wszystko obejrzeć, ale widzę, że się spóźniłem. Pan zdążył kupić posiadłość przede mną.

Arthur odpowiedział, że dom nie został kupiony i nigdy nie był wystawiony na sprzedaż. Posiadłość należała do jego matki i właśnie zaczął się tu urządzać. Ponieważ zrobiło się upalnie, zaproponował szklaneczkę lemoniady, ale stary glina podziękował, nie chciał przeszkadzać. Jednak Arthur nalegał. Poprosił gościa, by usiadł na werandzie, to potrwa tylko pięć minut. Zamknął bagażnik, wszedł do domu i po chwili powrócił z tacą, na której stały dwie wysokie szklanki i butelka lemoniady.

-Bardzo ładny dom - zagaił Pilguez. - Pewnie w okolicy nie ma wielu takich?

-Nie wiem, nie przyjeżdżałem tu przez długie lata.

-To co pana tak nagle skłoniło do powrotu?

-Sądzę, że po prostu nadeszła odpowiednia pora. Wie pan, spędziłem tutaj dzieciństwo, a po śmierci matki nie mogłem

znaleźć w sobie dość siły, żeby tu wrócić. A potem nagle poczułem, że jestem gotów.

-Tak po prostu? Bez żadnego ważnego powodu?

Arthur poczuł się niezręcznie. Ten nieznamy bezceremonialnie zaczął mu zadawać bardzo osobiste pytania. Zupełnie jakby coś wiedział, ale nie chciał się z tym zdradzić. Artur nie skojarzył swoich podejrzeń ze sprawą Lauren. Sądził raczej, że facet jest z agencji nieruchomości; taki, co to koniecznie chce się zaprzyjaźnić, by potem łatwiej „urobić” swoją przyszlą ofiarę.

-Nie sprzedam tego domu w żadnym przypadku! - powiedział oschłym tonem.

-I ma pan rację, rodzinnego domu nie wystawia się na sprzedaż. Uważam nawet, że byłaby to profanacja.

Arthur zaczął coś podejrzewać i Pilguez wyczuł, że czas się wycofać. Musi się już zbierać, zresztą gospodarz wspomniał coś o zakupach, więc nie chciałby go dłużej zatrzymywać, tym bardziej że sam wybiera się do miasteczka, „może poszuka jakiegoś innego domu”. Wylewnie podziękował za poświęcony mu czas i poczęstunek. Obaj wstali z ławki. Pilguez wsiadł do samochodu, zapuścił motor, pożegnał Arthura gestem ręki i odjechał.

-Czego on chciał? - spytała Lauren, pojawiając się przy bramie.

-Podobno kupić dom.

-To mi się nie podoba.

-Mnie też nie, chociaż nie wiem, dlaczego.

-Myślisz, że to był gliniarz?

-Nie wydaje mi się. Sądzę natomiast, że wpadamy w paranoję, bo niby jak mogliby nas wytropić? Myślę, że to agent od nieruchomości, który chciał się rozejrzeć i wybać teren. Nie martw się, proszę. A teraz: zostajesz czy jedziesz ze mną?

-Jadę! - oznajmiła.

Dwadzieścia minut po ich odjeździe Pilguez pieszo zbliżał się przez ogród do domu.

Kiedy stwierdził, że drzwi wejściowe są zamknięte, postanowił obejść dom dookoła. Wszystkie okna na parterze były pozamykane, ale tylko jedno zasłaniały okiennice. I właśnie ten jeden zamknięty pokój wzbudził podejrzenia starego policyjnego wygi. Poczuł, że coś tu nie gra. Nie widział sensu, by zostawać tu dłużej, więc wrócił prosto do samochodu. Z telefonu komórkowego zadzwonił do Nathalii. Rozmowa była bardzo ożywiona. Pilguez wyjaśnił, że nadal nie ma poszlak ani niezbitych dowodów, ale instynkt podpowiada mu, że Arthur siedzi w tej sprawie po uszy. Nathalia wierzyła w jego przenikliwość, ale, jak dotąd, Pilguez nie miał pozwolenia na przeszukanie domu. Nie mógł więc nękać porządnego obywatela, zwłaszcza że motyw działania ciągle pozostawał nieznanym. Ale inspektor był przekonany, iż klucz do tej zagadki tkwił właśnie w motywie. I to bardzo poważnym, skoro zrównoważony na pierwszy rzut oka człowiek, niepotrzebujący nagle znacznej sumy pieniędzy, decyduje się na takie ryzyko. Pilguez nie potrafił rozwikłać tej sprawy. Wziął pod uwagę wszystkie klasyczne rozwiązania, ale żadne z nich nie wydawało się sensowne. W końcu przyszedł mu do głowy błąd: postanowił skłamać, aby odkryć prawdę, zaskoczyć i wziąć w obroty Arthura; obserwować jego reakcję i sposób zachowania, który mógłby potwierdzić lub wykluczyć podejrzenia. Włączył silnik, wjechał na teren posiadłości i zaparkował przed domem. Arthur i Lauren wrócili godzinę później. Wysiadając z forda, architekt zmierzył Pilgueza ostrym wzrokiem. Inspektor ruszył w jego stronę.

-Wyjaśnijmy sobie dwie sprawy - zaczął Arthur. - Po pierwsze, dom nie jest na sprzedaż, a po drugie, to teren prywatny!

-Wiem, wiem i guzik mnie to obchodzi, czy jest na sprzedaż, czy nie. Nadeszła pora, żebym się przedstawił.

Mówiąc to, wyjął odznakę. Podeszedł do Arthura i zajrzał mu z bliska w oczy.

-Muszę z panem pomówić.

-Wydaje mi się, że właśnie pan to robi!

-Ale to będzie długa rozmowa.

-Mam czas!

-Mogę wejść do środka?

-Bez nakazu - nie!

-Skoro tak, popełnia pan duży błąd!

-To pan popełnił duży błąd, okłamując mnie! A ja pana zaprosiłem i nawet poczęstowałem!

-Czy możemy przynajmniej usiąść na ganku?

-Możemy, proszę bardzo!

Przysiedli obaj na balustradzie. U podnóża prowadzących na ganek schodków stała przerażona Lauren. Arthur mrugnął do niej porozumiewawczo, chcąc ją uspokoić, pokazać, że panuje nad sytuacją i że nie powinna się niepokoić.

-A więc w czym mogę panu pomóc? - zwrócił się do policjanta.

-Może mi pan podać motyw. Bez niego jestem w ślepych zaułku.

-Jaki motyw? Motyw czego?

-Będę z panem szczerzy, ja wiem, że to pan.

-Choć ryzykuję, że mogę się panu wydać prostodusznym naiwniakiem, to jednak przyznam panu rację. Tak, to jestem ja, od urodzenia, nigdy nie cierpiałem na schizofrenię. O czym pan właściwie mówi?

Chciał mówić o ciele Lauren Kline. Ciele, które Arthur wraz ze swym współnikiem porwał starym ambulansiem z Memoriał

Hospital w nocy z niedzieli na poniedziałek. Powiedział, że karetka została odnaleziona w warsztacie. Postępując zgodnie z przyjętą taktyką, doszedł do przekonania, że ciało znajduje się w tym domu, w jedynym pokoju o zamkniętych okiennicach. „Nie mogę zrozumieć tylko jednej rzeczy: dlaczego? Właśnie to nie daje mi spokoju”. Niedługo miał przejść na emeryturę i uważał, że nie zasłużył sobie, by zakończyć karierę nierozwiązaną zagadką. Interesowało go jedynie to, co kierowało Arthurem. „Mam w nosie, czy wsadzę pana za kratki. Przez całe życie wysyłałem ludzi do pierdła. A potem wychodzili po latach i zaczynali od nowa. Za przestępstwo tego typu dostanie pan nie więcej niż pięć lat, więc mam to gdzieś. Chcę tylko zrozumieć”. Arthur miał minę, jakby nie nadążał za słowami policjanta.

-Co to za historia z ciałem i karetką?

-Obiecuję, że zajmę panu niewiele czasu. Czy zgadza się pan, żebym bez nakazu rewizji obejrzał sobie pokój o zamkniętych okiennicach?

-Nie!

-No i dlaczego, skoro nie ma pan nic do ukrycia?

-Dlatego, że wspomniany pokój był kiedyś gabinetem mojej matki. Od czasu jej śmierci pozostaje zamknięty. To jedyne miejsce w domu, którego nie mam odwagi otworzyć; dlatego okiennice są tam zamknięte. To pomieszczenie jest zamknięte od ponad dwudziestu lat i przekroczyć jego próg tylko sam i dopiero wtedy, kiedy będę do tego gotów. Nie otworzę tych drzwi tylko po to, by rozwiać pańskie wątpliwości w tej nieprawdopodobnej sprawie. Sądzę, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

-Dostatecznie. Więc pozostaje mi tylko się pożegnać.

-Doskonale, żegnaj pana. Muszę wyjąć zakupy z bagażnika.

Pilguez wstał i poszedł powoli w kierunku samochodu. Otworzył drzwi, odwrócił się i spojrzał Arthurowi prosto w oczy. Zawahał się chwilę, po czym zdecydował się na ostateczny blef.

-Jeśli chce pan samotnie wejść do tego pokoju, to ja pana dobrze rozumiem. Radzę zrobić to dziś wieczorem. Bo ja jestem bardzo uparty i wrócę tu jutro przed końcem dnia, z nakazem. I wtedy już nie będzie pan sam. Może pan, oczywiście, postarać się przenieść ciało w inne miejsce, ale wie pan co, w zabawie w kotka i myszkę jestem od pana o wiele lepszy, mam za sobą trzydzieści lat praktyki. I mogę obiecać, że zmienię pańskie życie w prawdziwy koszmar. Zostawiani na balustradzie moją wizytówkę z numerem telefonu komórkowego. Tak na wypadek, gdyby przypomniało się panu, że może ma mi coś do powiedzenia.

-Nigdy nie dostanie pan nakazu.

-Jeszcze zobaczymy! Dobrej nocy!

I odjechał z piskiem opon. Arthur stał przez długą chwilę nieruchomo, trzymając ręce na biodrach. Czuł, jak serce wali mu w piersi. To Lauren przerwała jego rozmyślenia.

Trzeba wyznaczyć mu całą prawdę i spróbować negocjacji.

-Trzeba raczej znaleźć szybko inne miejsce dla twego ciała!

-Nie, nie chcę, już wystarczy. Na pewno schował się gdzieś w okolicy i przyłapie cię na gorącym uczynku. Dostyc tego, Arthurze, tu chodzi o twoje życie. Sam przecież słyszałeś, grozi ci pięć lat więzienia!

Ale on czuł, że policjant blefuje, nie ma żadnych dowodów i nigdy nie dostanie nakazu rewizji. Arthur wyjaśnił jej plan działania: kiedy zapadnie zmierzch, wyjdą bocznymi drzwiami i umieszczą ciało w łódce. „Popłyniemy wzdłuż wybrzeża i na dwa, trzy dni schowamy cię w jakiejś grocie”. Jeśli jednak

policjant wróci, żeby przeszukać dom, to odejdzie z kwitkiem. Będzie jeszcze musiał przeprosić Arthura i zostawić go wreszcie w spokoju.

-Nie da ci spokoju, będzie cię śledził. To bardzo uparty policjant - odparła. - Jeszcze masz szansę wyjść z tego obronną ręką, jeśli pozwolisz mu zyskać na czasie i dasz klucz do rozwiązania zagadki. To będzie twój atut: dasz rozwiązanie w zamian za ugodę. I musisz to zrobić teraz, bo potem będzie za późno.

-To ty ryzykujesz życie, nie ja, i dlatego ukryjemy ciało jeszcze dzisiaj nocy.

-Arthurze, musisz być rozsądny. To zbyt niebezpieczne, potem będziesz się ukrywał przez całe życie.

Odwrócił się do niej plecami i powtórzył: „Dziś w nocy wypłyniemy w morze”. A później wypakował zakupy z bagażnika. Reszta dnia upłynęła w ciężkiej atmosferze. Niewiele ze sobą rozmawiali, tylko od czasu do czasu wymieniali spojrzenia. Późnym popołudniem stanęła przed nim i objęła ramionami. Delikatnie ją pocałował: „Nie mogę pozwolić cię zabrać. Możesz to zrozumieć?” Rozumiała, ale nie mogła pozwolić, żeby zmarnował sobie życie.

Czekał na zapadnięcie zmierzchu, potem wyszedł bocznymi drzwiami, które wychodziły na dolną część ogrodu. Zbliżył się do skał i zobaczył, że ocean także sprzeciwia się jego planom: wielkie fale wściekle waliły w brzeg, uniemożliwiając spuszczenie łodzi na wodę. Rozbiłyby się natychmiast o przybrzeżne skały. Morze szalało, zerwał się silny wiatr, jeszcze potęgując przerażający i niesamowity taniec fal. Przykucnął i ukrył twarz w dłoniach.

Podeszła do niego bezszelestnie, pogłaskała po ramieniu i uklękła.

- Wracajmy do domu - wyszeptwała - bo się jeszcze przeziębisz.

- Ja...

-Nic nie mów, potraktuj to jako znak. Spędzimy spokojnie noc, a jutro coś wymyślisz. Poza tym może o świcie ocean będzie spokojniejszy.

Ale Arthur dobrze wiedział, że wiatr od morza przynosi ze sobą burzę i sztorm, które potrwają co najmniej trzy dni. Rozszalałe, wzburzone morze nigdy nie uspokajało się w ciągu jednej nocy. Zjedli kolację w kuchni i rozpalili ogień w kominku w salonie. Prawie nie rozmawiali. Arthur rozmyślał, ale żaden inny pomysł nie przychodził mu do głowy. Na zewnątrz wiatr szalał ze zdwojoną siłą, pochylając drzewa do ziemi, deszcz dudnił o szyby w oknach, a ocean bezlitośnie atakował skalną zapórę, usiłując wedrzeć się w głąb lądu.

-Kiedyś bardzo uwielbiałem patrzeć, jak natura, wyzwała swój gniew. Dzisiejszy wieczór przypomina mi początek Twistera .

-Dzisiejszego wieczoru jesteś smutny, Arthurze, a nie powinieneś. Przecież się nie rozstajemy. Przez cały czas powtarzasz mi, że nie należy myśleć o przyszłości. Korzystajmy więc z czasu, który nam jeszcze pozostał.

-Ale ja już nie potrafię, nie umiem żyć obecną chwilą i nie myśleć o jutrze. Jak ty to robisz?

-Myślę o obecnych minutach, one są wieczne.

I postanowiła opowiedzieć mu pewną historię, rodzaj gry, aby, jak powiedziała, trochę go rozerwać. Poprosiła, by wyobraził sobie, że wygrał pewien konkurs, a nagroda jest następująca: co rano bank otwiera mu konto kredytowe na sumę osiemdziesięciu sześciu tysięcy czterystu dolarów. W grze należy przestrzegać dwóch zasad.

- Pierwsza reguła jest taka: wszystko, czego nie wydałeś w ciągu dnia, będzie ci zabrane wieczorem; nie wolno ci oszukiwać i przelewać tych pieniędzy na inny rachunek, możesz

je tylko wydać. Ale bank następnego ranka otwiera ci kolejne konto na taką samą sumę dolarów, które musisz wydać w ciągu dnia. Po drugie: bank może przerwać tę zabawę bez żadnego uprzedzenia, w każdej dowolnej chwili, i może ci powiedzieć, że gra skończona, zamyka konto, a innego już nie będzie. Co byś zrobił?

Nie bardzo zrozumiał.

- Posłuchaj, Arthurze, przecież to prosta gra. Codziennie, na dzień dobry, bank daje ci osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta dolarów, a jedyny warunek polega na tym, że musisz je wydać do wieczora. Jeśli nie wydasz wszystkiego, pozostała z danego dnia suma zostanie ci odebrana. Ale ta gra - ten dar niebios - może w każdej chwili zostać zatrzymana, rozumiesz? A teraz moje pytanie: co byś zrobił z takim darem niebios?

Odpowiedział bez namysłu, że wydawałby każdego dolara na przyjemności, że obsypałby prezentami wszystkich, których kocha. Wydałby ostatni grosz tego „magicznego banku”, aby nieść szczęście sobie i innym ludziom, nawet tym, których tak naprawdę nie zna, bo nie uważa, by zdołał wydać taką sumę dziennie tylko na siebie i swoich bliskich. „Ale do czego zmierzasz?” - zapytał. „My wszyscy mamy ten magiczny bank! Konto w tym banku to czas! To róg obfitości sekund, które mijają w ciągu dnia!”

Każdego ranka, po przebudzeniu, otrzymujemy kredyt w wysokości osiemdziesięciu sześciu tysięcy czterystu sekund życia na dany dzień. Kiedy wieczorem kładziemy się spać, niewykorzystana reszta sekund nie przejdzie na następny dzień; to, czego nie przeżyliśmy w ciągu dnia, jest na zawsze stracone, pochłonięte przez wczoraj. Każdego następnego ranka rozpoczyna się ta sama magia, znowu otrzymujemy taką liczbę sekund życia i wszyscy zaczynamy grać w tę nieodwracalną grę:

bank może zamknąć nam konto w najbardziej nieoczekiwanym momencie, bez żadnego ostrzeżenia - w każdej chwili może zatrzymać się nasze życie. Co więc robimy z tymi osiemdziesięcioma sześcioma tysiącami czterystu sekundami, które codziennie dostajemy w prezencie? „Czy te sekundy życia nie są ważniejsze od pieniędzy?”

Od wypadku coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że niewielu ludzi pojmuje, jaką wartością jest czas i jak trzeba go cenić. Ujawniła mu wnioski, jakie nasunęła jej własna opowieść: „Wyobraź sobie, że chcesz zrozumieć, czym naprawdę jest rok życia; zapytaj o to studenta, który oblał roczny egzamin. A miesiąc życia? Porozmawiaj o tym z matką, która urodziła wcześniaka i czeka, aby wyjęto go z inkubatora, bo dopiero wtedy będzie mogła przytulić swoje maleństwo, całe i zdrowe. A tydzień? Zapytaj człowieka, który pracuje w fabryce czy kopalni, żeby wyżywić rodzinę. Dzień? O tym powiedzą ci zakochani, rozdzieleni przez los i czekający na następne spotkanie. Czym jest godzina? O to trzeba zapytać osobę cierpiącą na klaustrofobię, którą awaria uwięziła na godzinę w windzie. Sekunda: popatrz w oczy człowiekowi, któremu udało się uniknąć wypadku samochodowego. O ułamek sekundy możesz zapytać sportowca, który na Igrzyskach Olimpijskich zdobywa srebrny medal, nie ten złoty, dla zdobycia którego trenował całe życie. Życie jest magią, Arthurze, mówię ci o tym, bo sama przez to przeszłam; po wypadku poznałam smak każdej sekundy i dobrze znam jej wartość. Dlatego, proszę cię, korzystajmy z tych wszystkich sekund, które nam jeszcze zostały”.

Arthur przytulił ją do siebie i szepnął do ucha: „Każda sekunda z tobą liczy się bardziej niż wszystkie inne bez ciebie”. Pozostali tak, przytuleni do siebie, przez resztę nocy. Zasnęli dopiero nad

ranem; burza nie uspokoiła się, a nawet się wzmogła. Około dziesiątej obudził ich dzwonek telefonu komórkowego. Był to Pilguez. Spytał, czy architekt go przyjmie. Musiał z nim porozmawiać. I przeproszał za wczorajsze zachowanie. Arthur wahał się; nie wiedział, czy policjant mówi szczerze, czy też chce nim manipulować. Pomyślał o ulewnym deszczu, który nie pozwoli mu przyjąć inspektora na zewnątrz, i o tym, że Pilguez zechce wykorzystać złą pogodę i pomyszkować w domu. Bez zastanowienia zaprosił go na obiad do kuchni. Może chciał w ten sposób okazać się silniejszy psychicznie od niego, bardziej przebiegły. Lauren nie skomentowała tego ani słowem, uśmiechnęła się tylko smutno, ale Arthur tego nie zauważył. Inspektor zajechał pod dom dwie godziny później. Kiedy Arthur otworzył drzwi, do korytarza wtargnął tak gwałtowny podmuch wiatru, że musiał je zamykać przy pomocy Pilgueza.

-To prawdziwy huragan! - zawołał policjant.

-Nie przyjechał pan chyba po to, żeby porozmawiać o pogodzie.

Lauren poszła za nimi do kuchni. Inspektor rzucił nieprzemakalny płaszcz na krzesło i usiadł przy stole. Stały na nim przygotowane dwa nakrycia i sałatka z kurczakiem z grilla. Potem mieli zjeść omlety z grzybami, popijając wszystko butelką caberneta z Napa Valley.

-To miłe, że tak mnie pan gości, naprawdę nie chciałem sprawiać kłopotu.

-Kłopot sprawia mi pan tym, inspektorze, że próbuje mi pan wcisnąć jakąś makabryczną historię.

-Skoro pan uważa, że jest makabryczna, nie będę panu długo zwracał głowy. A więc do rzeczy, jest pan architektem?

-Przecież pan już to wie!

-A jaki rodzaj architektury pan uprawia?

-Pasjonuję się renowacją zabytków, skarbów dziedzictwa narodowego.

-To znaczy?

-Przywracaniem życia starym budynkom, konserwacją kamienia. To znaczy takim zastosowaniem kamienia, by pasował do współczesnej architektury.

Pilguez osiągnął cel, wciągając Arthura w pasjonujący go temat. Ale nie przewidział, że okaże się to tak interesujące także dla niego samego. W ten sposób stary gliniarz wpadł we własne sidła: zamierzał wciągnąć Arthura w dyskusję i w ten sposób stworzyć most porozumienia, a tymczasem okazało się, że dał się porwać swadzie, z jaką architekt opowiadał o swoich pasjach.

Arthur dał mu najprawdziwszą lekcję historii kamienia, poprzez architekturę antyczną i tradycyjną aż do współczesnej i nowoczesnej. Stary policjant słuchał jak zaczarowany, wtrącając od czasu do czasu jakieś pytanie, a Arthur chętnie i wyczerpująco na nie odpowiadał. Tak przegadali ponad dwie godziny i nawet tego nie zauważyli. Pilguez dowiedział się, jak po wielkim trzęsieniu ziemi odbudowywano jego rodzinne miasto, poznał historię budynków, które codziennie widywał, i mnóstwo anegdotek o narodzinach miast i ulic, które, jak mu się dotąd wydawało, tak dobrze znał.

Pili jedną kawę po drugiej, a zaskoczona Lauren bez ruchu patrzyła na obu mężczyzn i widziała, jak między policjantem a Arthurem powstaje jakiś dziwny rodzaj porozumienia.

Młody człowiek opowiadał właśnie o powstawaniu Golden Gate, gdy Pilguez przerwał mu, kładąc rękę na jego dłoni, i nagle zmienił temat. Chciał z nim pomówić jak mężczyzna z mężczyzną, więc zapomnijmy o odznace. Musi wiedzieć, zrozumieć tę sprawę. Mówił, że jest starym policjantem, którego

instynkt nigdy nie zawiódł. Czuł to i wiedział, że ciało porwanej kobiety znajduje się w tym domu, w tym zamkniętym pokoju w końcu korytarza. Nie potrafi tylko zrozumieć, jakie były motywy porwania. Musiał jednocześnie przyznać, że każdy mężczyzna pragnąłby mieć syna takiego jak Arthur: zdrowego, wykształconego, pełnego zainteresowań i sympatycznego. Dlaczego więc taki człowiek bierze na siebie podobne ryzyko i stawia na szali całe swoje życie, porywając ze szpitala ciało pograżonej w śpiączce kobiety?

-Szkoda, a już pomyślałem, że nawiązała się między nami nie sympatii - powiedział Arthur, wstając.

-Ależ właśnie tak się stało, to nie ma nic wspólnego, chociaż nie, to ma bardzo dużo wspólnego z tą sprawą. Jestem przekonany, że miał pan poważne powody, i chciałbym panu zaoferować swoją pomoc.

Starł się być uczciwy aż po czubki palców. Zaczął od tego, że dzisiaj wieczorem z pewnością nie dostanie nakazu rewizji, nie miał na to wystarczających dowodów. Musiałby pojechać do San Francisco, spotkać się z sędzią, przekonać go i nakłonić do podjęcia takiej decyzji. I jest pewien, że zdobędzie nakaz. To zajmie mu trzy lub cztery dni, podczas których Arthur będzie miał dość czasu, by przenieść ciało w inne miejsce, ale chce go zapewnić, że takie postępowanie byłoby wielkim błędem. Choć nie zna motywów, radzi mu nie marnować życia. Jeszcze raz proponuje pomoc, jeśli Arthur zgodziłby się szczerze z nim porozmawiać i wyjaśnić całą zagadkę. Odpowiedź Arthura zabarwiona była nutką ironii. Doceniał życzliwość inspektora i jego wielkoduszność, a jednocześnie był zdziwiony, że podczas dwóch godzin rozmowy poczuli do siebie aż taką sympatię. Ale i on z przykrością musi przyznać, że nie może zrozumieć swego gościa. Inspektor został zaproszony do tego domu, został

zyczliwie przyjęty i poczęstowany obiadem, a jednak w dalszym ciągu upierał się przy swoim i oskarżał gospodarza o jakieś absurdalne przestępstwo, choć ani nie miał na to dowodów, ani nie znał motywów.

-Nie, to pan się upiera - odparł Pilguez.

-Proszę więc mi powiedzieć, dlaczego chce mi pan pomóc, choć uważa, że jestem winny. Jeden powód jest oczywisty: chce pan rozwiązać zagadkę.

Stary policjant odpowiedział rozbijając szczerze. Rozwiązał w swoim życiu już wiele zagadek, zetknął się z setkami absurdalnych motywów i potwornymi zbrodniami, ale wszyscy ci przestępcy mieli jedną wspólną cechę: byli to kryminaliści, zboczeńcy i maniacy. Arthur nie pasował do żadnej z tych kategorii. Skoro więc spędził całe życie na wsadzaniu najrozmaitszych świrów za kratki, mógł chyba uchronić przed więzieniem porządnego człowieka, który wpakował się w niebezpieczną sytuację. „Będę miał przynajmniej satysfakcję, że znalazłem się po właściwej stronie” - dodał na zakończenie.

- To bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony, wcale nie żartuję. Obiad w towarzystwie pana był dla mnie przyjemnością, ale naprawdę nie wplątałem się w sprawę, o której pan mówi. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale mam jeszcze sporo pracy. Może jeszcze kiedyś nadarzy się okazja do rozmowy.

Pilguez pokiwał ze smutkiem głową, podniósł się z krzesła i sięgnął po płaszcz. Lauren przez cały czas siedziała na kuchennym blacie. Teraz zeskoczyła na podłogę i ruszyła za nimi do przedpokoju.

Przed drzwiami gabinetu inspektor przystanął i spojrzał na klamkę.

-Czy już pan otworzył to pudełko wspomnień?

-Nie, jeszcze nie - odparł Arthur.

-Czasem jest bardzo trudno sięgnąć do przeszłości. Trzeba mieć dużo siły i tyle samo odwagi.

-Coś o tym wiem. Staram się to w sobie odnaleźć.

-Jestem pewny, że się nie mylę, młody człowieku, mój instynkt nigdy mnie nie zawiódł.

Kiedy Arthur usiłował jak najprędzej pozbyć się niewygodnego gościa, klamka nagle poruszyła się, jakby ktoś nacisnął ją od wewnątrz. Drzwi się otworzyły. Odwrócił się, zaskoczony.

Lauren stała w progu, uśmiechała się smutno.

-Dlaczego to zrobiłaś? - wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

-Bo cię kocham.

Pilguez odwrócił się także. Z miejsca, w którym stał, natychmiast zobaczył leżące na łóżku ciało i podłączoną do niego kroplówkę.

Jeszcze żyje, dzięki Bogu - pomyślał. Wszedł do pokoju, zostawiając Arthura w korytarzu, zbliżył się i przyklęknął obok łóżka. Lauren objęła Arthura ramionami i pocałowała czule w policzek.

- Ty byś nie mógł tego zrobić, ale ja nie chcę, żebyś przeze mnie zmarnował resztę życia. Pragnę, żebyś był wolny. Chcę twojego szczęścia.

-Ale to ty jesteś moim szczęściem.

Położyła mu palec na ustach.

-Nie, nie w ten sposób, nie w takich okolicznościach.

-Do kogo pan mówi? - zapytał stary policjant bardzo przyjaznym głosem.

-Do niej.

-Teraz musi mi pan naprawdę wszystko wyjaśnić, jeśli chce pan mojej pomocy.

Arthur spojrział na Lauren oczami pełnymi rozpacz.

-Musisz mu powiedzieć całą prawdę. Bez względu na to, czy ci uwierzy, czy nie, trzymaj się prawdy.

-Przejdźmy do salonu - zwrócił się do inspektora. - Postaram się wszystko panu wyjaśnić.

Usiedli na dużej kanapie w salonie i Arthur opowiedział mu wszystko od początku. O tym, jak pewnego wieczoru w mieszkaniu znalazł w łazienkowej szafie nieznaną kobietę i usłyszał od niej następujące słowa: „To, co zamierzam panu opowiedzieć, jest trudne do zrozumienia, a jeszcze trudniej w to uwierzyć. Jeśli jednak zechciałby pan wysłuchać mojej historii i zaufać mi, to może w końcu uwierzyłby mi pan. To ogromnie ważne, bo chyba jest pan, wcale o tym nie wiedząc, 'jedyną osobą na świecie, której mogę powierzyć swój sekret'".

Pilguez słuchał, nie przerywając mu ani słowem. Późnym wieczorem, kiedy Arthur skończył swoją opowieść, wstał i uważnie przyjrzał się swojemu rozmówcy.

-Widzi pan, inspektorze, z taką historią może mnie pan spokojnie włączyć do kolekcji pańskich szaleńców!

-Czy ona tu jest razem z nami? - spytał Pilguez.

-Siedzi w fotelu naprzeciwko i przygląda się panu.

Inspektor podrapał się po brodzie i kiwnął głową.

-Oczywiście - powiedział. - Oczywiście.

-Co zamierza pan teraz zrobić? - zapytał Arthur. Zamierzał mu uwierzyć! A gdyby Arthur spytał, dlaczego, powiedziałby mu, że odpowiedź jest bardzo prosta. Aby wymyślić podobną historię i uwierzyć w nią do tego stopnia, by narażać się potem na takie ryzyko, musiałby być nie wariatem, szaleńcem, ale kompletnym debilem. A mężczyzna, który kilka godzin wcześniej opowiadał mu przy stole historię miasta, miasta, któremu on, Pilguez, służył od trzydziestu lat, nie miał w sobie nic z debila. „Pańska historia musi być cholernie prawdziwa,

skoro zdecydował się pan na te wszystkie działania. Nie za bardzo wierzę w Boga, ale wierzę w ludzką duszę. Poza tym jestem tuż przed emeryturą. Ale przede wszystkim chcę panu uwierzyć".

-Co teraz pan zrobi?

-Czy mogę zawieźć ją do szpitala moim samochodem, nie narażając jej na żadne niebezpieczeństwo?

-Tak, może pan - odpowiedział Arthur. W jego głosie wyczuwało się rozpaczą.

Pilguez zapewnił go, że dotrzyma obietnicy i wyciągnie Arthura z opresji.

- Ale ja nie mogę się z nią rozstawać! Nie mogę dopuścić, by poddali ją eutanazji!

To już była odrębna batalia. „Chłopie, nie mogę załatwić wszystkiego naraz!” I tak sam się narażał, zabierając ciało, wioząc je nocą przez trzy godziny, kombinując po drodze, jak ma wytłumaczyć, że znalazł ciało, ale nie znalazł porywacza. Ponieważ porwana żyła i właściwie nie stała jej się żadna krzywda, sądzi, że bez większych trudności uda mu się umorzyć sprawę. Jeśli chodzi o resztę, nie mógł zrobić nic więcej, „ale to chyba i tak sporo, prawda?”

-Tak. I bardzo dziękuję - zgodził się Arthur.

-No dobrze, zostawię wam jeszcze tę jedną noc. Przyjadę około ósmej rano, niech pan przygotowuje ją do podróży.

-Dlaczego pan to wszystko robi?

-Już mówiłem, bo czuję do pana nie tylko sympatię, ale i szacunek. Pewnie nigdy się nie dowiem, czy pańska historia jest prawdziwa, czy może tylko się panu przyśniła. W każdym razie, gdyby przyjął pański tok rozumowania, działał pan dla jej dobra. Można by nawet przyjąć, że działał pan w obronie własnej, a także w obronie osoby znajdującej się w

niebezpieczeństwie, ale osobiście nic mnie nie obchodzą te prawne kruczki. A ci, co działają w imię dobra czy lepszej sprawy i nie liczą się z wynikającymi z tego konsekwencjami, tylko robią, co do nich należy, są dla mnie ludźmi dużej odwagi. No, dosyć już tego gadania, korzystajcie z czasu, który wam pozostał.

Policjant wstał. Arthur i Lauren odprowadzili go do wyjścia. Kiedy otworzyli drzwi, do domu znów wtargnął gwałtowny podmuch wiatru.

-Do jutra - rzekł.

-Do jutra - odparł Arthur, chowając ręce do kieszeni. Pilguez zniknął w ulewnym deszczu.

Arthur przez całą noc nie zmrużył oka, a wczesnym rankiem wszedł do gabinetu. Przygotował ciało Lauren do podróży, potem udał się na górę, by spakować walizkę. Pozamykał wszystkie okiennice, odciął dopływ gazu i elektryczności. Musieli oboje wrócić do San Francisco, bo Lauren nie mogła pozostawać długo z dala od swojego ciała; czuła wtedy ogromne wyczerpanie. Rozmawiali o tym w nocy i uzgodnili, że tak właśnie postąpią. Jak tylko Pilguez zabierze ciało, oni także wyruszą w drogę powrotną do miasta.

Inspektor przyjechał punktualnie o ustalonej porze. Kwadrans zabrało im opatulenie Lauren kocami i ułożenie jej na tylnym siedzeniu samochodu policjanta. O dziewiątej dom był już pozamykany i opustoszały, a dwa auta jechały w kierunku miasta. Pilguez dotarł do szpitala około południa, a Lauren i Arthur znaleźli się w mieszkaniu mniej więcej o tej samej porze. Pilguez dotrzymał słowa. Odstawił swoją nieruchomą pasażerkę do Izby Przyjęć. W niecałą godzinę ciało Lauren znalazło się z powrotem w pokoju, z którego zostało zabrane. Inspektor wrócił na komisariat i od razu udał się do gabinetu przełożonego. Nikt

nigdy nie poznał treści ich rozmowy, która trwała ponad dwie godziny. Wiadomo tylko, że po wyjściu z gabinetu szefa Pilguez, z grubymi aktami pod pachą, podszedł do biurka Nathalii. Rzucił papiery, spojrzął jej prosto w oczy i polecił włożyć akta do szuflady spraw definitywnie umorzonych. Arthur i Lauren zadomowili się w mieszkaniu przy Green Street; popołudnie spędzili w Marinie, spacerując wzdłuż wybrzeża. Pojawił się nowy promyk nadziei: nic nie wskazywało na to, by ponownie wszczęto procedurę zmierzającą do przeprowadzenia eutanazji. Wydarzenia i przeżycia ostatnich dni tak wstrząsnęły matką Lauren, że postanowiła zmienić decyzję. Zjedli kolację u „Perry'ego” i wrócili około dziesiątej, by obejrzeć film w telewizji. Życie nabrało normalnego rytmu. Każdy kolejny dzień sprawiał, że powoli zapominali o sprawie, która jeszcze niedawno zaprzętała ich umysły.

Arthur wpadał od czasu do czasu do biura, by podpisać jakieś dokumenty. Resztę dnia spędzali razem; chodzili do kina, spacerowali godzinami po Golden Gate Park. Któregoś weekendu wybrali się do Tiburon, gdzie przyjaciel Arthura udostępnił mu dom na czas swojej podróży do Azji. W innym tygodniu przez kilka dni pływali żaglówką od zatoczki do zatoczki.

Chodzili na różne spektakle w mieście, oglądali musicale, balety, bywali na koncertach i przedstawieniach teatralnych. Czas płynął wolno, zupełnie jakby trafiły im się długie, leniwe wakacje, kiedy człowiek niczego nie może sobie odmówić. Chcieli żyć terazniejszością. Nie myśleli o tym, co przyniesie jutro, interesowało ich, co się w danej chwili działo. Nazywali to teorią sekund. Mijający ich ludzie brali Arthura za nieszkodliwego wariata, widząc, jak mówi sam do siebie lub

trzyma ramię w górze, jakby kogoś obejmował. W restauracjach, w których często bywali, kelnerzy przyzwyczaili się do tego dziwnego mężczyzny, który przychodził sam, siadał przy stoliku i nagle pochylał się, jakby dotykał czyjejs, niewidocznej dla innych ręki, a potem podnosił ją do ust, mówił do siebie łagodnym i czułym głosem i przytrzymywał drzwi, przepuszczając przodem nieistniejącą osobę. Niektórzy sądzili, że postradał zmysły, inni przypuszczali, że niedawno został wdowcem i, nie mogąc się pogodzić z utratą żony, wydaje mu się, że ciągle jest przy nim. Arthur przestał zwracać na to uwagę, napawał się każdą podarowaną im przez los chwilą. W ciągu tych kilku tygodni stali się najbliższymi sobie ludźmi, kochankami i towarzyszami życia. Paul przestał się w końcu niepokoić, uznał, że przyjaciel przechodzi jakiś kryzys. Odetchnął z ulgą na wiadomość, że porwanie nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji, kierował sprawnie firmą w przekonaniu, że pewnego dnia jego wspólnik odzyska równowagę psychiczną i wszystko ułoży się jak dawniej. Nie spieszyło mu się, mógł poczekać. Za najważniejsze uznał, że ten, którego nazywał swoim bratem, miewa się całkiem nieźle, a wkrótce - w co głęboko wierzył - będzie miewał się jeszcze lepiej, bez względu na to, czy pozostanie w swoim własnym świecie, czy pewnego dnia powróci do rzeczywistości. I tak minęły trzy spokojne miesiące, bez wstrząsów i nieprzewidzianych zdarzeń. A potem nadszedł ten wtorkowy wieczór. Spędzili go w domu, a potem leżeli w łóżku. Po wymianie czułości powrócili do czytanej wspólnie książki; czytali ją razem, bo Lauren nie mogła samodzielnie przewracać kartek. Zasnęli tuż przed świtem, przytuleni do siebie. Około szóstej nad ranem Lauren gwałtownie usiadła na łóżku i wykrzyknęła jego imię. Natychmiast się obudził i otworzył

szeroko oczy. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, jej twarz była blada, niemal przezroczysta.

-Co się stało? - zapytał pełnym niepokoju głosem.

-Obejmij mnie szybko, błagam!

Natychmiast usłuchał. Nie zdążył ponownie zadać pytania, bo położyła mu rękę na pokrytym delikatnym zarostem policzku, pogłaskała delikatnie po brodzie. Poglądziła po karku i objęła z niezwykle czułością. Kiedy zaczęła mówić, jej oczy wypełniły się łzami.

-Nadszedł ten moment, kochany, zabierają mnie, zaczynam znikać.

-Nie! - krzyknął, przytulając ją jeszcze mocniej.

-Dobry Boże, jak ja nie chcę cię opuszczać! Tak bym chciała, żeby nasze wspólne życie trwało wiecznie, chociaż tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło.

-Nie możesz teraz odejść, tak nie można, walcz z nimi, błagam!

-Nic nie mów, posłuchaj, czuję, że mam już niewiele czasu.

Dałeś mi coś, czego istnienia nawet nie podejrzewałam; zanim cię poznałam i zaczęłam z tobą wspólne życie, nie wyobrażałam sobie, że miłość może dostarczyć tylu prostych, a tak niezwyklej doznań. To wszystko, co przeżyłam przed spotkaniem ciebie, nie jest warte ani jednej sekundy, którą spędziliśmy we dwoje. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo cię kochałam. Nie wiem, czy odpływam ku jakimś nieznanym brzegom, ale jeśli jakiś brzeg w ogóle gdzieś istnieje, będę cię dalej stamtąd kochać, ze wszystkich sił i z całą radością, jaką wypełniłeś moje życie.

-Nie chcę, żebyś odeszła!

-Ciiii, cicho, nic nie mów, słuchaj!

Mówiła dalej, a jej postać stawała się coraz bardziej przezroczysta. Skóra przypominała kolor wody. Czuł, że w jego

ramionach pojawia się coraz większa próżnia, że z każdą chwilą jest coraz mniej Lauren. Jej kontury powoli zaczęły się zacierać.

- Mam ciągle przed oczyma barwę twoich uśmiechów -mówiła.

- Dziękuję za każdy twój śmiech, za każdą czułość. Chcę, żebyś żył, byś znów powrócił do normalnego życia, kiedy mnie już nie będzie.

-Bez ciebie już bym nie mógł!

-Nie, pamiętaj, że tego, co nosisz w sobie, nie możesz zatrzymywać wyłącznie dla siebie. Powinieneś ofiarować to innej kobiecie, nie wolno ci tego zmarnować.

-Lauren, błagam cię, nie odchodź. Spróbuj walczyć.

-Nie mogę, to silniejsze ode mnie. To nie boli, wiesz, mam tylko wrażenie, że się ode mnie oddalasz, twój głos dochodzi do mnie jak zza gęstej mgły, stajesz się niewyraźny. Arthurze, tak bardzo się boję. Tak się boję zostać bez ciebie. Zatrzymaj mnie jeszcze choć na chwilę.

-Obejmuję cię z całej siły, już mnie nie czujesz?

-Prawie wcale, kochany.

Rozplakali się oboje, w zupełnej ciszy i jakby wstydliwie; teraz już naprawdę zrozumieli sens i znaczenie każdej sekundy życia, wartość każdej chwili, znaczenie i wagę każdego słowa. Jeszcze raz spróbowali przyłgnąć do siebie. A po kilku minutach niedokończonego pocałunku po prostu zniknęła. Ramiona Arthura nie obejmowały już niczego, nie było już nic prócz przerażającej pustki. Ogarnęło go uczucie nieznanego dotąd rozpacz, osunął się na łóżko, głośno płacząc. Drżał na całym ciele. Głowa bezwładnie chwiała się na boki niekontrolowanym ruchem. Tak mocno zaciskał palce, że na poranionych dłoniach pokazała się krew. „Nie!!!!”, które wykrzykiwał niczym dzikie, śmiertelnie zranione zwierzę, odbijało się echem po meblach i wprawiało w drżenie szyby okienne. Usiłował wstać, ale

zachwiał się i upadł na podłogę; ramiona wciąż trzymał w uścisku. Stracił przytomność, odzyskał ją dopiero po kilku godzinach. Był błądy i zupełnie wyzuty z sił. Doczołgał się do parapetu, na którym Lauren tak lubiła przesiadywać. Położył się na nim i tak pozostał, nieruchomo, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Arthur zanurzył się głęboko w świat pustki i przyzwyczyił się do jej głuchego dźwięku, który przytłumionym echem wypełnia wnętrze głowy. A potem ta pustka przeniknęła jego żyły i dotarła do serca, które odąd każdego dnia biło innym rytmem. W pierwszych dniach czuł niepokonany gniew, zwątpienie i zazdrość. Nie zazdrość o innych, lecz o skradzione mu chwile, o przemijający czas. Złowroga pustka przenikała do każdego zakamarka, zmieniała emocje i doznania, wyostrzała je, polerowała, sprawiała fizyczny ból. Na początku wydawało się, że pustka chce go chwilowo zranić, ale nie, zadomowiła się na dobre i stawała się coraz dotkliwsza. Odczuwał brak ukochanej osoby i miłości każdą najmniejszą cząsteczką swojego ciała, szarpało nim pożądanie, nozdrza szukały znajomego zapachu, ręka- łona, które chciała pogłaskać. Wypełnione łzami oczy nie widziały już nic oprócz wspomnień, skóra żądała dotyku innej skóry, dłoń bezsilnie chwyciła tylko pustą przestrzeń, palce zaciskały się w rytmie narzuconym przez umysł, a noga bezmyślnie balansowała w powietrzu.

W takiej otepiającej rozpaczycy spędził kilka długich dni i nocy. Miotał się między biurkiem, na którym pisał listy do ducha, a łóżkiem. Leżał i patrzył w sufit, nawet go nie widząc. Telefon milczał; Arthur nie zauważył, że aparat spadł na podłogę, a słuchawka leżała obok. Nic by go to zresztą nie obchodziło, i tak nie czekał na żaden telefon. Teraz nic nie miało znaczenia.

Pewnego wieczoru wyszedł w końcu z domu po upalnym dniu, próbując się trochę ochłodzić. Padał deszcz, więc włożył płaszcz. Był bardzo osłabiony, zdołał tylko przejść na drugą stronę ulicy i stanął na wprost swojego domu.

Przysiadł na murku, uliczka o tej porze wydawała się białoczarna. Przypominała korytarz, u wylotu którego stał wiktoriański, otoczony ogródkiem dom. Tylko w jednym oknie paliło się jeszcze światło, rozpraszając mrok bezksiężycowej nocy, to było okno jego salonu. Deszcz przestał padać, ale Arthur i tak zdążył już przemoknąć. Wpatrywał się w okno i wciąż widział za szybą Lauren i jej zwinne ruchy.

Po chwili zniknęła, a on poczuł ostre ukłucie w sercu.

Zdawało mu się przez chwilę, że na mokrym bruku widzi jeszcze delikatny cień jej sylwetki, znikający za rogiem ulicy.

Poczuł się niepewnie, wsunął więc, jak zwykle w takich chwilach, rękę do kieszeni i ruszył przed siebie.

Szedł wzdłuż szarobiałego muru, dostosowując krok do jej kroków, ale zbyt powoli, by móc ją dogonić. U wylotu uliczki zawahał się, znowu zaczęło padać, wstrząsnął nim chłód, więc się zatrzymał.

Znów usiadł na murku i raz jeszcze przeżywał, minuta po minucie, wspólne chwile, które przerwano tak brutalnie.

„Arthurze, wątpliwości i wybory, na które się natykasz, są tymi dwiema siłami, które wprawiają w drganie struny naszych emocji. Pamiętaj, że tylko harmonia tych wibracji ma najważniejsze znaczenie”.

W głębi duszy poczuł i usłyszał głos matki. Podniósł się ciężko, raz jeszcze spojrzął w okno i odwrócił się z poczuciem winy, jakby oblał jakiś egzamin.

Niebo zaczęło jaśnieć, zapowiadając szary dzień. Wszystkie wczesne poranki są ciche, ale istnieje taka cisza, która jest

synonimem samotności; inna bywa przyjazna i radosna. O takiej właśnie ciszy myślał Arthur, wracając do domu.

Leżał na dywanie w salonie i zdawał się rozmawiać z ptakami za oknem, kiedy usłyszał walenie do drzwi wejściowych. Nawet się nie poruszył.

- Arthur, jesteś tam? Wiem, że jesteś w domu! Psiakrew, otwieraj wreszcie! - Paul wrzeszczał na całe gardło. - Otwieraj, bo wyważę te cholerne drzwi!

Futryna drgnęła po pierwszym uderzeniu ramieniem.

- Szlag by trafił, ależ mnie boli, chyba zwichnąłem sobie obojczyk! Otwierasz czy nie?!

Arthur wstał, podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i, nie czekając, rozłożył się na kanapie. Kiedy Paul wszedł do salonu, przeraził go panujący tu bałagan. Po podłodze wałały się dziesiątki zapisanych odręcznie kartek. Na kuchennych szafkach i stołach poniewierały się puszki po konserwach, a w zlewozmywaku nie było już miejsca na brudne naczynia.

- No tak, staczałeś tu bitwę i przegrałeś?

Arthur nie odpowiadał.

- Dobra, poddano ci torturom i wycięto ci struny głosowe.

Halo, powiedz coś, głuchy jesteś czy co, to ja, twój wspólnik!

Paul zauważył, że Arthur zaczął płakać. Usiadł obok niego i położył mu rękę na ramieniu.

-Arthurze, co się właściwie stało?

-Ona umarła! Umarła dziesięć dni temu. Odeszła, tak po prostu, pewnego ranka. Zabili ją. Nie mogę tego znieść, Paul, nie mogę tego znieść!

-Widzę.

Objął go ramionami.

-Płacz, stary, wypłacz się, ile tylko możesz. Podobno łyż łągodzą smutek.

-Nic innego nie robię, tylko płaczę!

-To dobrze, rób tak dalej. Widać, że jeszcze masz zapas, jeszcze nie wypłakałeś wszystkiego.

Paul dostrzegł leżący na podłodze telefon. Poniósł go i odłożył słuchawkę na widełki.

-Dzwoniłem do ciebie chyba ze dwieście razy, ale nie chciało ci się nawet położyć porządnie słuchawki!

-Nie zauważyłem.

-Telefon nie dzwoni od dziesięciu dni, a ty nie zauważyłeś?

-Mam w nosie telefony, Paul!

-Posłuchaj mnie, stary, trzeba z tym skoczyć. Ta sprawa przerastała mnie od samego początku, ale teraz widzę, że ciebie też przerosła. Żyłeś marzeniami, Arthurze, zostałeś wciągnięty w niesamowitą historię. Ale teraz musisz twardo stanąć na ziemi, bo zaczynasz niszczyć własne życie. Przestałeś pracować, wyglądasz jak harcerz na biwaku w dżungli, jesteś chudy jak szczapa, zupełnie jakbyś wyszedł z obozu koncentracyjnego. Od tygodni nie pokazujesz się w biurze, a ludzie zastanawiają się, czy jeszcze w ogóle żyjesz. Zakochałeś się w kobiecie pogrążonej w śpiączce, wymyśliłeś jakąś historię nie z tej ziemi, wywoziłeś ciało ze szpitala, a teraz nosisz żałobę po duchu. Czy do ciebie w ogóle dociera, że w tym mieście mieszka sobie psychiatra, który wkrótce zostanie milionerem, chociaż jeszcze wcale o tym nie wie? Potrzebujesz pomocy lekarskiej, przyjacielu. Nie masz wyboru, bo ja nie mogę cię zostawić w podobnym stanie. To wszystko było tylko snem, który zamienił się w koszmar.

Przerwał mu dzwonek telefonu. Paul wstał, podniósł słuchawkę i po chwili podał ją Arthurowi.

-To ten policjant, aż się w nim gotuje. On też od dziesięciu dni usiłuje się do ciebie dodzwonić. Chce z tobą rozmawiać natychmiast.

-Nie mam mu nic do powiedzenia.

Paul położył dłoń na słuchawce: „Albo będziesz z nim rozmawiał, albo wsadzę ci ten telefon do gardła”. Przycisnął mu słuchawkę do ucha. Arthur słuchał. Nagle skoczył na równe nogi. Podziękował swemu rozmówcy i zaczął nerwowo biegać po mieszkaniu w poszukiwaniu kluczyków do samochodu, zawieruszonych gdzieś w panującym bałaganie.

-Czy mógłbym się chociaż dowiedzieć, co się stało? - zapytał Paul.

-Nie mam teraz czasu. Muszę znaleźć kluczyki.

-Chcą cię zapuszkować?

-Ależ nie! Zamiast pleść głupoty mógłbyś mi pomóc!

-Oho, poczuł się lepiej. Już zaczyna pyskować.

Arthur znalazł w końcu kluczyki, przeprosił Paula, że nie ma czasu na wyjaśnienia, bo bardzo mu się teraz spieszy. Ale wieczorem zadzwoni. Paul stał jak wryty w ziemię i wytrzeszczał oczy.

- Nie mam pojęcia, dokąd idziesz, ale jeśli jest to miejsce publiczne, to naprawdę ci radzę, żebyś zmienił te ciuchy. I mógłbyś umyć przynajmniej twarz.

Arthur zawahał się chwilę, potem zerknął do lustra w salonie i pobiegł do łazienki. Starał się nie patrzeć na szafę -są takie miejsca, które wywołują bolesne wspomnienia. W ciągu kilku minut zdążył wziąć prysznic, ogolić się i przebrać. Potem wybiegł pędem z mieszkania, zbiegł po schodach do garażu. Nawet nie pożegnał się z Pauliem.

Samochód z dużą prędkością mknął przez miasto. Arthur zaparkował auto na parkingu Memorial Hospital. Nie tracił

czasu na zamknięcie drzwi kluczykiem i popędził prosto do głównego holu. Kiedy wpadł tam zdyszany, Pilguez już na niego czekał, siedząc w fotelu w poczekalni. Inspektor podniósł się i ujął go za ramię, prosząc, żeby się uspokoił. W szpitalu była matka Lauren. Ze względu na okoliczności Pilguez o wszystkim jej opowiedział, no, prawie o wszystkim. Pani Kline czekała na Arthura w holu na piątym piętrze.

Matka Lauren siedziała na krześle niedaleko sali intensywnej terapii. Kiedy go zobaczyła, wstała i ruszyła w jego kierunku. Wzięła go w ramiona i ucałowała w policzek.

- Właściwie pana nie znam, spotkaliśmy się zaledwie jeden raz, pewnie pan pamięta, to było w Marinie. To suczka pana rozpoznała. Zupełnie nie wiem dlaczego, nie wszystko potrafię zrozumieć, ale tyle panu zawdzięczam, że nigdy nie zdołam tego panu wynagrodzić.

Potem opisała mu obecną sytuację. Dziesięć dni temu Lauren obudziła się ze śpiączki. Nikt nie umiał wytłumaczyć, jak to się stało. Pewnego ranka płaski od tyłu mięsicy elektroencefalogram nagle się poruszył, wykazując dużą aktywność elektryczną. To pielęgniarka dyżurna pierwsza zauważyła tę zmianę. Natychmiast powiadomiła lekarza i przez kilka następnych godzin szpitalny pokój zamienił się w istny ul; pojawiali się kolejni lekarze, aby wyrazić swoją opinię lub po prostu popatrzeć na pacjentkę, która wyszła z głębokiej śpiączki. Przez kilka pierwszych dni Lauren była nieprzytomna. A potem, stopniowo, zaczęła poruszać palcami i rękami. Od wczoraj przez kilka godzin miała otwarte oczy, przyglądając się uważnie wszystkiemu, co działo się wokół niej, ale jeszcze nie mogła mówić ani w ogóle wydać żadnego dźwięku. Niektórzy profesorowie uważali, że będzie musiała od nowa uczyć się mowy; inni byli zdania, że to powróci samo, jak inne funkcje

organizmu, w odpowiednim czasie. Wczoraj wieczorem odpowiedziała na pytanie zmrużeniem oczu. Była bardzo słaba i nie budziło wątpliwości, że nawet podniesienie ręki jest dla niej ogromnym wysiłkiem. Lekarze tłumaczyli to atrofią mięśni wskutek długotrwałego leżenia i braku jakiegokolwiek ruchu. Ale po jakimś czasie i z pomocą rehabilitacji wszystko powinno wrócić do normy. Najważniejsze, że wyniki tomografii komputerowej mózgu okazały się optymistyczne. Wszystko szło w dobrym kierunku.

Arthur nie słuchał reszty wyjaśnień i wszedł do pokoju.

Elektrokardiograf pikał regularnie i uspokajająco. Lauren miała zamknięte powieki, spała. Była bardzo blada, ale nadal tak samo piękna. Patrzył na nią i czuł, jak ogarnia go silne wzruszenie.

Przysiadł na skraju łóżka, wziął ją za rękę i ucałował wewnętrzną stronę dłoni. Potem ustawił obok krzesło i spędził na nim długie godziny. Nic nie robił, tylko na nią patrzył. Pod wieczór otworzyła oczy, spojrzała na niego uważnie i uśmiechnęła się.

- Jestem przy tobie, wszystko będzie dobrze - powiedział cicho.

- Nie męcz się, już niedługo zaczniesz mówić.

Zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem znowu obdarzyła go uśmiechem i zasnęła.

Arthur codziennie przychodził do szpitala. Siadał przy łóżku Lauren i czekał, aż się obudzi. Kiedy otwierała oczy, opowiadał jej o wszystkim, co się działo na zewnątrz. Jeszcze nie mogła mówić, ale patrzyła na niego uważnie, gdy się do niej zwracał, a potem spokojnie zasypiała.

Dziesięć kolejnych dni minęło w podobny sposób. Matka Lauren i Arthur na zmianę czuwali przy łóżku. Dwa tygodnie później, kiedy szedł korytarzem, pani Kline wyszła z pokoju i powiedziała mu, że poprzedniego wieczoru córka odzyskała

mowę. Wypowiedziała kilka słów ochryłym, gardłowym głosem. Arthur wszedł do pokoju i usiadł obok łóżka. Lauren spała, przesunął palcami po jej włosach i delikatnie pogładził po czole.

- Tak mi brakowało dźwięku twego głosu - powiedział.

Otworzyła oczy, wzięła go za rękę, spojrzała na niego niepewnie i spytała:

- Ale kim pan jest? I dlaczego codziennie jest pan przy moim łóżku?

Arthur natychmiast zrozumiał. Poczł silne ukłucie w sercu, ale uśmiechnął się. Postarał się wyrazić w tym uśmiechu całą swoją czułość i miłość. A potem rzekł:

- To, co zamierzam pani opowiedzieć, jest trudne do zrozumienia, a jeszcze trudniej w to uwierzyć. Jeśli jednak zechciałaby pani wysłuchać naszej historii i zaufać mi, to może w końcu uwierzyłaby mi pani. To ogromnie ważne, bo chyba jest pani, wcale o tym nie wiedząc, jedyną osobą na świecie, której mogę powierzyć swój sekret...

Koniec.

=====